

Jean Brashear

Późna miłość

scandalous

Kochany Remy!

To, co mam Ci do powiedzenia, będzie dla Ciebie trudne do przyjęcia, ale może właśnie dlatego w ogóle zaczęłam do Ciebie pisać? Wciążu ostatnich miesięcy zaczęłam się spotykać z Williamem Armstrongiem. Wiem! Wiem! Był twoim rywalem, ale wtedy wszyscy byliśmy bardzo młodzi. Posłuchaj, Remy, cudownie jest mieć znowu kogoś, komu mogę się zwierzyć... kogoś, kto tak jak on zna się na hotelarstwie. Z początku były to zwykłe spotkania towarzyskie, ale dłużej nie mogę zaprzeczać, że charakter naszej znajomości się zmienia.

*Remy! To jest dla mnie bardzo trudne. Byłeś moim życiem, moją miłością, i zawsze będziesz ze mną, w moim sercu i w oczach naszych pięknych córek. Mam kompletny mętlik w głowie. Myślałam, że ze-
starzejemy się razem, i po twojej śmierci byłam gotowa żyć dalej w samotności już do końca moich dni. Ale teraz...*

Musiałam Ci o tym powiedzieć. Może potrzebowałam sama przed sobą przyznać, że William z każdym dniem staje się mi bliższy? Och, mój najdroższy! Mamy tyle kłopotów z hotelem, że sercowe emocje są ostatnią rzeczą, jakiej mi jeszcze potrzeba. Gdzie jesteś, żeby mi

*przypomnieć, ma doucet, że tu toczy się gra życia
i miłości? .*

*Czy to możliwe, żeby los okazał się dla mnie tak
łaskawy, że dał mi drugą miłość?*

Twoja Anne

scandalous

Droga Czytelniczko!

Nowy Orlean zawsze miał swój magiczny czar płynący z bogatej mieszanki smaków, dźwięków i ulicznych obrazów, jakich nie znajdziesz nigdzie indziej na świecie. Żaden huragan z piekła rodem nie zmieni tego, czym to miasto dla nas było, nie wpłynie na miłość, jaką je darzyliśmy, na determinację, z jaką mieszkańcy przystąpili do jego odbudowy.

Nowy Orlean nadal istnieje, może trochę przypomina Śpiącą Królownę przykrytą welonem smutku, przysypaną gruzami i śmieciami, jakie huragan na niego narzucił. Lecz miasto nie śpi, nie, nie, nie ono. Może tylko łapie oddech, ale już zaczyna przytupywać i szykować się do tańca? Zobaczycie, znowu będziemy się bawić jak za dawnych dobrych czasów!

Jutro Nowy Orlean pod wieloma względami będzie inny, lecz jego duch pozostanie taki jak dawniej. Mam szczęście znać tam wielu cudownych ludzi, ludzi, którzy nigdy nie rezygnują, ludzi, którzy nigdy się nie poddają. Oni, i wielu im podobnych, obudzą kajuńską Śpiącą Królownę z jej burzą kruczoczarnych włosów, sznurami koralików, falbaniastymi spódnicami i tańczącymi bosymi stopami. A jeśli my wszyscy, którzy nie jesteśmy mieszkańcami Nowego Orleanu, przyłączymy się do tego wysiłku, odwiedzając to miasto i zostawiając tam trochę grosza, ten dzień się przybliży. Ja, na przykład, będę uradowana. Spotkajmy się

W Cafe du Monde na francuskich pączkach „beignet”,
eh bien!

Dwie z takich dzielnych dusz, Marcie Maxwell Lemoine i Becky Maxwell Ancira, złożyły hołd temu, co najlepsze w Nowym Orleanie, i jeśli odwiedzicie moją stronę internetową www.jeanbrashear.com, będziecie mogli przeczytać przewodnik „Atrakcje Nowego Orleanu według sióstr Maxwell” wraz z napisanym przeze mnie opowiadaniem „Ósma rano w Dzielnicy Francuskiej”. Znajdziecie tam też garść przepysznych przepisów kulinarnych.

Uczestniczenie w pisaniu tej serii powieści wysławiających cuda Nowego Orleanu sprawiło mi ogromną radość. Mam nadzieję, że dobrze spędziłyście czas w towarzystwie Anne i Williama i przekonaliście się, że stara miłość nie rdzewieje.

Wszystkiego najlepszego,
Jean

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tuż przed świtem, gdy świat spowijała różowo-perłowa poświata, Anne Marchand przystanęła, nad krawędzią basenu. Efektownie rozmieszczone lampy rzucały tańczące cienie na wodę i patio, a wiatr poruszał koronami palm posadzonych w ogromnych donicach z brązu. Liście bananowców szumiały i szeptały niczym duchy dawno zmarłych kobiet.

Anne przytrzymała pod brodą kłapy czerwonego kaszmirowego płaszcza kąpielowego, który dostała od córek w prezencie gwiazdkowym. W porównaniu z innymi miejscami w kraju, luty w Nowym Orleanie był łagodny, niemniej pięć stopni ciepła, na dodatek w wietrzny dzień, to zawsze tylko pięć stopni.

Stanowczo za zimno jak na jej kreolską krew.

Z tęsknotą pomyślała o wygodnym łóżku w sypialni na piętrze, jedwabnej kołdrze i pościeli ogrzanej ciepłem jej ciała. Wbrew życzeniom swoich czterech nadopiekuńczych córek, stopniowo, krok po kroku, przenosiła się do własnego apartamentu w Hotelu Marchand i wyprowadzała z wytwornej, lecz sztywnej i nieprzytulnej rezydencji matki w Garden District.

Narzuciłaś sobie ćwiczeniowy reżim, żeby im udowodnić, że nie jesteś inwalidką, nauczyła siebie w du-

chu. Więc zdejmuj szlafrok i wskakuj do basenu. Jeśli nie będziesz tryskać zdrowiem, nie przestaną się nad tobą trząść.

Anne uwielbiała pływać. Poza tym powzięła mocne postanowienie, że w wieku sześćdziesięciu dwóch lat będzie miała ciało tak sprawne, jak to tylko możliwe. Nigdy nie zamierzała przeżyć Remy'ego o tyle długich lat. Po jego tragicznym wypadku jakaś część jej duszy pragnęła podążyć za ukochanym mężem, lecz przez wzgląd na pogrążone w rozpacz dzieci wzięła się w garść.

Nie tylko przez wzgląd na nie, lecz również na Hotel Marchand, dziedzictwo Remy'ego, w którego stworzenie oboje włożyli i serca, i dusze. Ich piąte dziecko znajdowało się obecnie w poważnym niebezpieczeństwie i Anne postanowiła nie poddawać się bez walki. Była kobietą o twardym charakterze, która uciekła grabarzowi spod łopaty.

Atak serca, na szczęście niezbyt groźny, uświadomił jej kilka rzeczy. Po pierwsze, że praca od rana do nocy nie zastąpi ruchu i ćwiczeń fizycznych, mimo że tylko ona trzyma ją przy życiu po stracie jej największej miłości. Po drugie, że córki mogą być świetnymi partnerkami w biznesie. Nigdy nie przestanie być wdzięczna Renee, Sylvie i Melanie za to, że pospieszyły z pomocą najstarszej siostrze, Charlotte, zarządzającej hotelem od czasu choroby matki.

Anne miała nowe i kuszące plany na najbliższe lata, lecz wiedziała, że muszą one poczekać, aż czarne chmury wiszące nad hotelem zostaną rozpędzone.

Kiedy tak się stanie - a mogła się tylko modlić o to, żeby im się powiodło - zrealizuje porzucone dziewczęce marzenia. Jak mówi stare porzekadło, zatrzyma się, by powąchać róże.

Tymczasem jednak miała już dość rekonwalescencji, chociaż córki najchętniej by ją widziały wylegującą się w łóżku, w najlepszym przypadku siedzącą gdzieś w kącie i oddającą się lekturze.

No, wyskakuj z tego szlafroka. I nie myśl o tym, że woda jest lodowata.

Wspólnie z Remym ciężką pracą i dzięki narzuconej sobie żelaznej dyscyplinie zbudowali ten hotel, podczas gdy niektórzy, a w szczególności matka Anne, krytykowali ten pomysł.

Celeste Robichaux zaplanowała całkiem inną przyszłość dla córki: odpowiednie małżeństwo, najchętniej z synem najlepszej przyjaciółki, Williamem Armstrongiem, zapewniające jej wysoką pozycję w eleganckim towarzystwie. Życie Anne miało przypominać życie jej matki i upływać na nieustannych wizytach i partyjkach brydża.

Anne zaś ciągnęło na lewy brzeg rzeki, marzyła o zostaniu artystką i wyjeździe do Paryża, gdzie tworzyłaby wybitne dzieła sztuki.

Nie ziściły się marzenia ani jednej, ani drugiej.

W dniu, kiedy Remy Marchand podniósł głowę znad skomplikowanego dania, które właśnie przyrządzał, i ujrzał stażystkę przygotowującą plany zmodernizowania wnętrza hotelowej restauracji, ich los był przesądzony.

Anne uśmiechnęła się na wspomnienie owej chwili,

kiedy po raz pierwszy zobaczyła wysokiego mężczyznę z falującymi rudymi włosami. Cztery lata po tragicznym wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę coraz częściej się uśmiechała, a coraz rzadziej płakała, chociaż nie przestawała tęsknić za mężem, którego pragnęła kochać do końca swoich dni.

Zadrżała z zimna i zmusiła się do postawienia stopy na pierwszym stopniu.

Merde. Anne nie miała zwyczaju używać brzydkich słów, lecz w tej chwili żałowała, że hotelu nie stać na całodobowe podgrzewanie basenu.

Zacisnęła zęby, wyjęła stopę z wody i z determinacją przeszła w drugi koniec basenu. Tam zrobiła coś, czego nikt by się nie spodziewał po kobiecie uznawanej za jedną z pierwszych dam Nowego Orleanu.

Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła nos i skoczyła na nogi do lodowatej wody.

William Armstrong, ukryty w cieniu budynku, uśmiechnął się na ten widok.

Oto cała Anne, pomyślał. W kruchym ciele żelazny duch. Ona nigdy nie cofa się przed wyzwaniem.

Przyjechał z nadzieją, że zastanie ją przy wczesnym śniadaniu, ponieważ od kilku dni nie nocowała u matki, jego bliskiej sąsiadki. Brakowało mu jej towarzystwa podczas porannych spacerów z młodym rozbrykanym labradorem Bo jako przyzwoitką. W ostatnich tygodniach często wstępowała potem na kawę w oranżerii.

Rozmawiali o wszystkim, co rusz się dziwić, jak

wiele mają wspólnych zainteresowań. Od czasu do czasu udawało mu się wyciągnąć z niej szczegóły zagadkowych incydentów, jakie miały miejsce w hotelu. Córkę starały się tać przed nią te wydarzenia, lecz nie doceniały talentu matki do składania strzępów informacji w całość.

William umiał czytać między wierszami i wytworzył sobie obraz sytuacji. Domyślił się, że Anne zbiera siły, by na nowo włączyć się w zarządzanie hotelem i toczyć walkę o utrzymanie się na powierzchni po ciosie, jaki huragan Katrina zadał całej gospodarce Nowego Orleanu. Powrót do apartamentu w hotelu był znakiem, że już całkiem odzyskała siły. Jeśli córki nie zechcą jej słuchać, jest gotowa sama wyznaczyć zupełnie nową strategię. Nie zważając na nic, uczyni wszystko, co konieczne, aby uratować Hotel Marchand.

Jako kolega po fachu, również hotelarz, chociaż działający na znacznie większą skalę, potrafił ją zrozumieć. Podziwiał jej samozaparcie w tym samym stopniu, co je potępiał. Odczuwał coraz silniejsze pragnienie zasłonięcia jej sobą, chronienia przed przeciwnościami losu. Pragnął ją porwać w ramiona i umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu tak, żeby już więcej nie narażała zdrowia.

Wiedział jednak, że ona nigdy się na to nie zgodzi.

Jest piękna, zawsze będzie piękna, bez względu na wiek, lecz jego pociągało w niej coś znacznie głębszego niż wygląd. Nie żeby nie doceniał jej urody. Po sześćdziesiątce Anne Robichaux Marchand wciąż była kreolską pięknoscią z wyrazistymi, szlachetnymi

rysami twarzy, śniadą cerą i orzechowymi oczami. W przeciwieństwie do innych kobiet, które z wiekiem zaczynały preferować coraz krótsze fryzury, Anne nosiła bujne ciemne włosy gęsto poprzątkane srebrnymi nitkami, sięgające ramion. Jej uczesanie zdawało się odzwierciedlać nastrój - czasami włosy miała spięte szpilkami przypominającymi chińskie pałeczki do jedzenia, czasami rozpuszczone, czasami ujarzmione grzebieniami filigranowej roboty. Miała wyjątkowe wycucie elegancji i stylu. Zauważył, że stopniowo zaczyna wprowadzać do strojów coraz więcej kolorów, co oznaczało, że wychodzi z żałoby.

Sam od ośmiu lat był wdowcem i doskonale rozumiał ten proces. Dobrze przeżyli z Isabel trzydzieści sześć lat małżeństwa. Pokazny majątek i rezydencja w Garden District sprawiły, że zajmował wysoką pozycję na nowoorleańskim rynku matrymonialnym, lecz on sam nie przejawiał specjalnego zainteresowania potencjalnymi kandydatkami na nową żonę.

Natomiast jego Anne - bo tak właśnie zaczął o niej myśleć, chociaż ona jeszcze nie zdecydowała, co zrobić z zacieśniającą się przyjaźnią między nimi - była wspaniałą kobietą, a on uwielbiał odkrywać jej coraz to nowe wcielenia.

Rozmarzona, uzdolniona artystycznie uczennica. Kompetentna kobieta interesu z determinacją dążąca do celu. Pełna ciepła, kochająca matka i babka.

Oraz wdowa, wbrew samej sobie coraz bardziej zafascynowana odwiecznym rywalem ukochanego zmarłego męża. Wszystko zmierza w dobrym kierunku.

ku, myślał, oczywiście pod warunkiem, że Anne nie odkryje, do czego się posunął.

Spoza kręgu światła jeszcze inna para oczu śledziła ich dwoje, knując zgubę.

scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

Po przepłynięciu stu długości basenu Anne miała mięśnie tak rozgrzane, że kusiło ją, aby pozostać w wodzie i czekać, aż wszędzie słońce. Wiedziała, że wyjście z wody będzie tak samo nieprzyjemne, jak zanurzenie się w niej.

Niebo z szaroróżowego zaczęło już, co prawda, zmieniać barwę na coraz bardziej błękitną, a ona miała dzień wypełniony zajęciami i dokładnie rozplanowany. Żałowała, że Zack, hotelowy ratownik, jeszcze nie rozpoczął pracy. Podałby jej rozpostarty ręcznik i skróciłby w ten sposób czas, kiedy będzie czuła się jak lód na patyku.

Trudno. Przepłynęła w płytki koniec basenu, gdzie zostawiła rzeczy, i weszła na pierwszy stopień...

Ktoś jednak trzymał rozpostarty jaskrawoczerwony płaszcz kąpielowy.

- Zack, jesteś moim bohaterem! - wykrzyknęła, podniosła głowę i uśmiech zamarł na jej ustach. Zamiast burzy ciemnobrązowych włosów ujrzała srebrną grzywę i niebieskie oczy. - William?

Zwalczyła chęć wskoczenia z powrotem do basenu. Kostium kąpielowy to co prawda nie całkowita nagość, ale... A jej ciało, mimo że ciężko pracowała nad tym, by utrzymać linię, zaokrągliło się i straciło jędrność.

Czy kiedykolwiek będzie gotowa pokazać się in-
nemu mężczyźnie niż Remy bez ubrania?

- Jesteś albo najodważniejszą, albo najbardziej
szaloną kobietą w Nowym Orleanie - stwierdził gość.

Równe białe zęby błysnęły w przystojnej ogorzałej
twarzy, która coraz bardziej fascynowała Anne.

- Obojętne, kim jestem, sądziłam, że jestem sama
- wypaliła.

- Zamarzniesz. Podejdz, pozwól, że cię ogrzeję.
- Musiał dostrzec w jej oczach błysk zaskoczenia,
gdyż natychmiast dodał: - Tym płaszczem kąpielowym,
Anne.

- Czy długie lata małżeństwa nie nauczyły cię, że
żadna kobieta po trzydziestce nie lubi być oglądana
w mokrym kostiumie kąpielowym? A właściwie, co ty
tu robisz o tej porze?

- W wodzie też widać, jak siniejesz z zimna. - Ra-
cja. Przemarzała do szpiku kości. - Stęskniłem się za
tobą - wyznał. - Szczególnie brakowało mi naszych
porannych rozmów przed rzuceniem się w wir zajęć.
- Kiedy nadal milczała, zaczął składać płaszcz. - Nie
to nie. Widzę, że mój szlachetny odruch nie spotkał się
z uznaniem. - Odwrócił się, by odłożyć szlafrok z po-
wrotem na krzesło.

- Zaczekaj...

Anne ogarnęły wyrzuty sumienia, że jest niespra-
wiedliwa. Jej też brakowało tych porannych spotkań,
choć nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, kie-
dy weszły im w zwyczaj. Pamiętała tylko, że stało się
to jakoś łatwo, może nawet zbyt łatwo, biorąc pod
uwagę antagonizm pomiędzy Williamem a Remyem.

Och, Remy, westchnęła w duchu.

Tymczasem William znowu się do niej odwrócił, a z jego twarzy zniknął wyraz przekory. Wyglądał godnie i władczo. Oto mężczyzna, którego towarzystwo jest dla niej coraz ważniejsze. Gdybym tylko przez to, że polubiłam Williama, nie czuła się niełojalna wobec Remy'ego, myślała Anne.

Czy tak czuje się każda wdowa, która kochała męża do szaleństwa?

- Bardzo kochałeś Isabel, prawda?

W pierwszej chwili William zdawał się zaskoczony tym pytaniem.

- Oczywiście, że tak. - Nagle zrozumiał, na czym polega jej dylemat, bo dodał: - To nie grzech zacząć życie od nowa. - Anne nie była pewna, czy ma się cieszyć, że William tak dobrze potrafi czytać w jej myślach.

Niemniej wyszła z wody. Na jedno mgnienie jego wzrok przesunął się niżej, oczy się rozszerzyły. Co? Och, nie! Zwalczyła pokusę spojrzenia w dół. No tak, zimno. Szybko się odwróciła. Siłą powstrzymywała się, by nie zasłonić piersi skrzyżowanymi ramionami.

- Anne - przemówił do niej czule, z lekką nutą pobłażania w głosie. Wziął płaszcz kąpielowy i ponownie go rozłożył. - Jak na rodowitą mieszkankę Nowego Orleanu straszna z ciebie purytanko. Udawaj, że jestem niewidomy, i podejdź bliżej, zanim ta twoja śliczna pupcia ci przemarznie i odpadnie.

Posłuchała go, chociaż nie należała do kobiet, które łatwo podporządkowują się rozkazom, no chyba tylko tym, co do których zasadności nie mogą mieć zastrze-

żeń. Wsunęła ręce w rękawy, starając się przełknąć uwagę o ślicznej pupci, którą William rzucił tak swobodnie, jak gdyby to była prawda. A teraz, zamiast puścić poły płaszcza kąpielowego, sam ją nimi owinał, przedłużając moment jej wewnętrznej rozterki, gdyż nie wiedziała, czy odsunąć się, czy oprzeć o niego.

Wybrała to pierwsze.

William wypuścił powietrze z płuc, następnie obrócił Anne przodem do siebie i czułym gestem otulił jej szyję kołnierzem. Potem zawiązał pasek szlafroka i znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w punkt pomiędzy jej oczami a wargami.

Całował ją już przedtem, oczywiście, lecz był to przyjęty w ich kręgach całus w policzek przy okazjach towarzyskich lub muśnięcie wargami ust na zakończenie wieczoru. Nie była gotowa na więcej, chociaż widziała, że on wyraźnie do tego dąży. Jednak jako dżentelmen z krwi i kości nie naciskał.

Ale teraz...

- Williamie - zaczęła, lecz nie wiedziała, jak skończyć. Nie wiedziała, czego chce.

Pochylił się ku niej, cały czas nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Zrób to. Po prostu zrób. Nie pozwól mi za dużo filozofować... William odpowiedział przelotnym uśmiechem, jak gdyby usłyszał jej myśli.

- Nie bądź tchórzem - mruknął. - Jesteś na to zbyt odważna. Zrób pół kroku do przodu.

Zamarła. Oczy jej nagle zwilgotniały. Kiedyś nie miała takich zahamowań.

Poczuła ukłucie żalu w sercu. Oprócz Remy'ego

w jej życiu nie było żadnego mężczyzny. Nigdy nie spodziewała się, że kiedyś zapragnie kogoś innego.

Ale William ma rację. Nigdy nie stchórzyła przed żadnym wyzwaniem, jakie życie jej zgotowało.

Do tej chwili. Do momentu spotkania Williama, mężczyzny, który zaczyna zbyt wiele dla niej znaczyć.

- A niech tam. Raz kozie śmierć - zdecydowała, zła na siebie.

Roześmiał się, a ona zrobiła owe pół kroku do przodu, o które prosił. Jej śmiech natychmiast umilkł.

Usta, które przed momentem się śmiały, usta, które wyzwalały w niej dawno zapomniane doznania, droczyły się z nią, drwiły z niej, wabiły, by zbliżyła się do ognia, podczas gdy ona nie zdawała sobie sprawy z tego, że tkwi pogrążona w ciemności i samotności.

Pragnęła tego. Przestała filozofować, zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce i oddała pocałunek.

William nie pozwolił, żeby ta szansa wysliznęła mu się z rąk. W ułamku sekundy Anne znalazła się w objęciach jego silnych ramion.

Och, jak cudownie czuć na sobie dłonie mężczyzny. Czuć, jak ciało zaczyna wydzielać soki. William Armstrong potrafi całować, chociaż robi to inaczej niż...

Och, Remy...

Niż mężczyzna, do którego pieścizot przywykła. Który wiedział, co lubi. Który znał każdy centymetr jej ciała.

Zesztywniała. William natychmiast to wyczuł, ode-rwał wargi od jej warg, cofnął się o krok i spojrział na nią ze smutkiem.

- Pewnego dnia - rzekł, ujął jej dłoń, podniósł do ust i pocałował - pomyślisz o mnie bez poczucia winy.

Zauważyła, że patrzy teraz na nią twardszym wzrokiem.

- Williamie, przepraszam...

Położył palec na jej ustach.

- Ciii. Potrafię to zrozumieć. - Ponownie pocałował ją w rękę, a potem nie puszczając jej dłoni, rzekł:

- A teraz chętnie zjadłbym śniadanie. Słyszałem z pewnego źródła, że tutaj podają prawie tak dobre śniadania jak u mnie w Regency. - Uśmiechnął się przy tym, ponieważ hotel Regency był okrętem flagowym należącej do niego sieci. I tym uśmiechem rozładował napięcie. - Ile potrzebujesz czasu, żeby się przebrać?

- spytał.

Gdyby pozostawił decyzję jej, uciekłyby do siebie, chcąc zyskać czas na zastanowienie się.

William jednak był zaprawionym w bojach zawodnikiem, który zaczynał jako młody nieznany nikomu menedżer i stoczył zwycięski pojedynek ze starymi wygami w branży. Teraz był jednym z nich. Da jej czas... ale nie za wiele.

- Dziesięć minut - poprosiła. Naprawdę stęskniła się za jego towarzystwem.

William prychnął.

- Zapominasz, że byłem żonaty i wychowałem córkę. Zacznę od kawy i gazety i uznam się za szczęściarza, jeśli zjawisz się po półgodzinie.

- W takim razie spotka cię niespodzianka.

- Nie pierwszy raz, moja droga. Liczę, że wniesiesz w moje życie wiele emocji.

I ponownie w jego oczach było tyle ciepła i obietnicy, jak gdyby nie popełniła *faux pas*,

Albo jak gdyby naprawdę ją rozumiał.

Możliwe. Może jej miłość do Remy'ego nie była jedyna w świecie, wyjątkowa? William również stracił bratnią duszę, swoją drugą połowę.

Podniesiona na duchu, puściła do niego oko.

- Poczekaj. Jeszcze nie pokazałam, co potrafię.

Z tymi słowami odeszła. Przecięła patio i skierowała się ku schodom prowadzącym do prywatnego apartamentu znajdującego się nad barem.

Na szczycie schodów przystanąła i obejrzała się.

Stał tam. Wysoki. Mocny.

I obserwował ją.

Już ją prawie miał.

Przez długie sekundy nareszcie należała do niego. -Dziewczyna, którą niegdyś znał, którą jego matka i jej matka przeznaczyły mu na żonę.

Miałby szanse, gdyby nie spotkała Remy'ego.

Ale wówczas on nie był jeszcze gotowy. Ona również nie. Zdecydowana nie poddawać się woli apodyktycznej matki, Anne była jak gałązka wierzby, gięła się, lecz nie łamała. Grała na czas, buntowała się na swój cichy, spokojny sposób.

On tymczasem miał własne plany. Nie myślał jeszcze o ustatkowaniu się. Potem firma, której jego ojciec zlecił zmodernizowanie wnętrza hotelu Regency, zaangażowała Anne jako stażystkę. I tak poznała szefa kuchni, wschodzącą gwiazdę Remy'ego Marchanda, rywala Williama o względy ojca. Bennett Armstrong wie-

rzył, że rywalizacja zaostrza wolę walki, że obaj, i William, i Remy, współzawodnicząc o pierwszeństwo w zarządzaniu hotelem, dadzą z siebie wszystko i każdy z nich w swojej dziedzinie dojdzie do perfekcji.

Remy wygrał jedną walkę, lecz przegrał drugą. Od dnia, kiedy Anne na niego spojrzała, a on na nią, wszyscy inni przestali dla nich istnieć.

Lecz kiedy Remy zrezygnował z tworzenia sieci restauracji dla Bennetta Armstronga i zdecydował się otworzyć hotel i restaurację pod własnym szyldem, William odzyskał względy ojca. Bennett podburzał go, aby pobił rywala jego własną bronią, żeby wykorzystał pozycję, jaką mu daje Regency do szkodenia raczkującemu Hotelowi Marchand, lecz William wolał podążać swoją drogą. Odszedł z przedsiębiorstwa ojca i założył własne imperium. Ożenił się z uroczą kobietą, z którą miał córkę. Teraz Judith z nim współpracowała.

Dopiero po śmierci ojca wrócił do Nowego Orleanu i włączył Regency do swojej sieci. Przez następnych dwadzieścia lat wiedli z Isabel szczęśliwe życie, aż do jej śmierci osiem lat temu. Od ezasu do czasu spotykali się z Anne, lecz zawsze tylko z daleka. Kilkakrotnie zgłaszał oferty odkupienia Hotelu Marchand, lecz Remy i Anne niezmiennie je odrzucali. Obracali się w zbliżonych kręgach towarzyskich - trudno mieszkać w Nowym Orleanie i nie znać Anne i Remy'ego Marchandów ani Isabel i Williama Armstrongów. Jego bratanek, Jackson, kiedyś nawet chodził z ich najstarszą córką, Charlotte.

Ale właściwie wiedli osobne życie. William wiele

podróżował, podczas gdy Anne i Remy pochłonięci byli rodziną i firmą. Już bardzo dawno temu William porzucił chłopięce zainteresowanie żywą dziewczyną o magnetyzującej osobowości, orzechowych oczach i długich czarnych włosach. Obecnie, jako wdowiec, stał się poszukiwaną partią i nie mógł się opędzić od bywalczyń salonów, które zastawiały na niego sidła i chciały wprowadzić się do jego rezydencji w Garden District, o wiele za dużej dla samotnego mężczyzny.

I nagle cztery lata temu Anne owdowiała.

Nie ucieszyło go to tak bardzo, jak się spodziewał. Anne była zdruzgotana, jej ogromny żal był widoczny dla wszystkich. William rozważał nawet ponowne złożenie oferty kupna hotelu, lecz zbyt się pospieszył z tym pomysłem. Wraz z całym nowoorleańskim towarzystwem z podziwem obserwował, jak Anne dzielnie walczy o utrzymanie pozycji na trudnym rynku. Niestabilna sytuacja ekonomiczna odbiła się i na jego przedsiębiorstwie, na szczęście jednak on miał inne źródła kapitału, które go ratowały.

Anne natomiast tego nie miała. Zaciągnęła drugi kredyt hipoteczny. Podejrzywał, iż wolała takie rozwiązanie niż skorzystanie z pieniędzy matki! Był przekonany, że Celeste Robichaux dysponuje odpowiednimi środkami.

Lecz Anne miała nie tylko zdecydowany charakter, miała też dumę. Może nawet zbyt wiele dumy.

Zmobilizowała wszystkie siły, pracowała jeszcze ciężiej z najstarszą córką, Charlotte, jako swoją prawą ręką. Powoli zaczynały wychodzić na prostą.

I wtedy, ostatniej jesieni, jej serce się zbuntowało. Atak, dzięki Bogu niezbyt groźny, ściął ją z nóg. Trafiała do szpitala, a pozostałe córki zjechały się z całych Stanów, by wziąć sprawy w swoje ręce. Anne przystała na ich żądania i przeprowadziła się do rezydencji matki w Garden District, sąsiadującej z jego domem.

Wówczas William przystąpił do działania. Wiele lat minęło od czasu ich młodzieńczego flirtu, z jej mężem napsuli sobie wiele krwi. Możliwe, myślał, że nie ma dla nich wspólnej przyszłości, że nie znajdują nawet żadnej płaszczyzny porozumienia, postanowił jednak spróbować.

- Ha!

Zamrugął oczami. Stała przed nim.

- Dziękuję, Robercie - mówiła do mężczyzny, który odsunął jej krzesło, żeby mogła usiąść. - Williamie - teraz zwracała się do niego - poznaj najlepszego szefa kuchni w Nowym Orleanie, Roberta LeSoeura. A to pan William Armstrong, który trwa w błędnym przekonaniu, że szef kuchni Regency jest od ciebie lepszy.

- Cóż, musimy udowodnić, że nie ma racji, prawda? - odezwał się Robert LeSoeur i wyciągnął do Williama rękę. - Miło mi pana poznać.

William wstał i uściśnął mu dłoń.

- Muszę przyznać, że już jestem pod wrażeniem - rzekł. - U mnie szef nie przygotowuje śniadania.

- Jako szef kuchni rzadko osobiście cokolwiek przygotowuję - sprostował Robert LeSoeur - ale pańskie oko konia tuczy. Poza tym szef kuchni Regency

pewnie nie zamierza ożenić się z córką swojego pracodawcy - dodał i puścił oko do Anne.

Anne wybuchnęła śmiechem.

- Twoja pozycja, Robercie, była niezagrożona na długo przez przyjazdem Melanie - zapewniła go i dodała: - O ile dobrze pamiętam, umawialiście się z Charlotte z samego rana na spotkanie, prawda?

Robert wyglądał tylko na odrobinę zaskoczonego.

- Twoje córki powinny pamiętać, że nic się przed tobą nie ukryje.

- Moje córki powinny zawsze pamiętać, kto je nauczył tego fachu - odparowała.

- Tylko głupiec by się wtrącał między matkę i córki - filozoficznie stwierdził Robert LeSoeur. Pochylił się i pocałował Anne w policzek. - Miło mi było pana poznać - rzekł, zwracając się do Williama. Jego oczy zdradzały ciekawość, co go łączy z Anne Marchand.

- Jestem pewien, że będziemy się częściej widywać - odparł William.

Robert LeSoeur uniósł wysoko brwi, Anne zaś, również lekko zdziwiona, machnęła ręką, jak gdyby chciała się go pozbyć.

- Dobrego dnia, Robercie.- rzuciła.

Robert LeSoeur odszedł, a William mógł sobie tylko wyobrażać, jak to poranne spotkanie wzmoże sceptycyzm Charlotte i opór Melanie wobec każdego mężczyzny chcącego zająć miejsce ich ukochanego ojca.

Niedobrze. Jego własna córka nie jest przychylnie nastawiona do pomysłu ponownego ożenku ojca, lecz uznał, że nie będzie się kierować uczuciami dzieci. To są sprawy wyłącznie pomiędzy nim a Anne.

Anne zerknęła na zegarek.

- Minał kwadrans, z czego przynajmniej pięć minut zajęła nam rozmowa z Robertem.

- Dwie - poprawił ją.

- Pięć - upierała się.

- Trudno cię przekonać, moja pani.

- Kiedy rozmawia się z mistrzem negocjacji, trzeba mocno obstawać przy swoim - odcięła się.

- Nie osiągnąłem jeszcze wszystkiego, co zamierzam, Anne - rzekł, patrząc jej prosto w oczy.

- Zajmę się śniadaniem, a potem zobaczymy.

William pomyślał o tym, jak wyglądała w wodzie, jak trzymał ją w ramionach. Jedną z naczelnych zasad dobrego negocjatora jest brak pośpiechu. Wiedział już, że będą mu potrzebne nieprzebrane zasoby cierpliwości. Nawet gdyby miało to go zabić.

Bo Anne Marchand nie jest łatwą przeciwniczką.

Świadomość, że stoi przed wyzwaniem, dodała mu wigoru.

- Postawię ci i śniadanie, i kolację - oświadczył - i jeszcze zaproszę potem na kawę. Do siebie - dodał.

Anne uśmiechnęła się. Oczy jej zabłyśły.

- Co do kolacji, zgoda. A w sprawie kawy rzucimy monetą.

- Umowa stoi - odparł i ujął filiżankę takim gestem, jak gdyby wznosił toast.

Od czasów studenckich w kieszeni nosił szczęśliwą monetę właśnie na takie okazje.

Shczęśliwą, bo awers i rewers miała identyczne.

ROZDZIAŁ TRZECI

- A dokąd to się wybierasz? - Charlotte Marchand odezwała się do Luca, animatora czasu wolnego, właśnie kiedy sięgał do klamki drzwi sali konferencyjnej.

W trakcie zebrania personelu komórka w jego kieszeni wibrowała w regularnych odstępach czasu. Luc przeczuwał, kto dzwoni, i nie chciał odbierać telefonu. Dwaj mężczyźni, którzy załatwili mu tę posadę, naciskali, aby wywiązał się z powierzonego zadania. Wyznaczony termin, czyli koniec karnawału, zbliżał się wielkimi krokami.

Charlotte nie spuszczała z niego wzroku i do Luca doszło, że zbyt długo zwleka z odpowiedzią.

- Obowiązki wzywają - odpowiedział kobiecie, którą darzył coraz większą sympatią. Ku swojemu zresztą zdziwieniu.

Łączyło ich bliskie pokrewieństwo.

Jego nieżyjący już ojciec i jej matka byli rodzeństwem, lecz jeszcze przed narodzeniem syna Pierre Robichaux zerwał wszelkie związki z rodziną. Matką Luca była kelnerka, jedna z wielu przelotnych partnerek Pierre'a. Nawet się z nią ożenił, przybierając fałszywe nazwisko, Poiret.

Kiedy Luc miał sześć lat, ojciec zniknął na dobre i pojawił się znowu, gdy już był umierający. Wszyst-

ko, co zostawił synowi, to rozgoryczenie i żądza zemsty, która jednak słabła, w miarę jak poznawał ciotkę i jej córki.

Niemniej było za późno się wycofać. Zbyt daleko zabrnął i nie miał drogi odwrotu.

— Rozumiem i doceniam twoje zaangażowanie, ale my tutaj też ciebie potrzebujemy. - Charlotte obeszała stół konferencyjny i zbliżyła się do niego.

Luc nie był wysoki, miał metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, lecz Charlotte sięgała mu ledwie brody. Jednakże ci, którzy, patrząc na nią, widzieli tylko filigranową brunetkę, popełniali ogromny błąd. Charlotte była tytanem, który zaangażował wszystkie siły, aby ratować schedę po ojcu. On natomiast brał czynny udział w matactwach, które miały pogrzyść rodzinne przedsiębiorstwo. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu usunął z komputera rezerwacje pokoi dla weselnych gości z dwóch prominentnych nowoorleańskich rodzin.

- Odkryję, skąd się biorą te wszystkie wpadki, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokonam - oświadczyła. - Huragan bardzo nadwerżył nasze zasoby finansowe. Nie możemy sobie pozwolić na złą prasę. Kradzież i akty wandalizmu podczas awarii prądu, rezerwacje, które wyparowały, przecieki do prasy o pobycie w hotelu ważnych osobistości... To zaczyna wyglądać na jakąś celową robotę, a nie tylko pechowy zbieg okoliczności. Gdyby tylko udało mi się znaleźć wspólny element...

Bracia Corbinowie obiecali Lucowi współwłasność w zamian za przyczynienie się do tego, że Hotel

Marchand wpadnie im w ręce jak dojrzały owoc jeszcze przed końcem karnawału. Pamiętając o tym, że krewni ojca odwrócili się od niego, że on z matką ledwie wiązali koniec z końcem, podczas gdy mają prawo do części majątku rodziny Robichaux...

Dawniej ów plan wydawał się idealnie trafiać w jego chęć zemsty na członkach rodziny, która pozwoliła ojcu umrzeć w nędzy, która nie kiwnęłaby palcem w jego sprawie, nawet gdyby wiedzieli o jego istnieniu.

Był tylko jeden kłopot. Babka, Celeste Robichaux, okazała się dokładnie taka, jak mówił ojciec - nieugięta i bezwzględna, bez serca. Kobieta, dla której opinia rodziny była cenniejsza od więzów krwi.

Natomiast ciotka, Anne, i jej córki, były całkowitym przeciwieństwem Geleste. Coraz bardziej je lubił. Zaprzagnął ujawnić, kim jest, i zostać przyjętym na łono rodziny.

Bracia Gorbinowie mieli jednakże inne zamiary i, znając jego niechlubną przeszłość, zaciskali mu pętlę na szyi.

Właśnie w tej chwili komórka znowu zaczęła wibrować.

- Wszystko się jakoś ułoży - zapewnił Charlotte i oddalił się w pośpiechu.

Jak doprowadzić do pomyślnego zakończenia, kiedy dwa sępy już krążą nad ofiarą?

- Uroczą - Anne skomentowała kolejne zdjęcie.
- Musi pani być bardzo dumna z wnuków - dodała.

- Och, oczywiście. Gdyby tylko nie mieszkali tak daleko - westchnęła kobieta. - A pani ma wnuki? - spytała.

- Trzyletnią dziewczuszkę - podparła Anne i uśmiechnęła się na myśl o ulubienicy, Daisy Rose. - Ale podejrzewam, że za rok o tej porze będę miała kolejnego wnuka albo wnuczkę.

- Dzieci mieszkają tutaj?

- *Oui*. Tak mi przykro, że pani rodzina mieszka tak daleko. Nie wyobrażam sobie, że nie mogłabym widywać mojej Daisy Rose, kiedy tylko zapragnę. A może pani i mąż chcieliby zorganizować zjazd rodziny w Hotelu Marchand? - zaproponowała. - Razem z mężem i córkami mieszkaliśmy tutaj. - Urwała i wskazała skrzydło, gdzie znajdował się jej prywatny apartament. - Doskonale rozumiemy, jak ważna jest rodzina i dokładamy wszelkich starań, żeby nasi goście, w każdym wieku, czuli się tu jak w drugim domu. Czy widziała już pani nasz plac zabaw? Kiedy dorośli są zajęci, zapewniany dzieciom fachową opiekę. Sama doбираłam opiekunki, kierując się jednym kryterium, a mianowicie tym, czy powierzyłabym moją wnuczkę ich pieczy.

Kobieta zrobiła okrągłe oczy.

- Niemożliwe! Co za cudowny pomysł! W przyszłym roku obchodzimy z mężem pięćdziesiątą rocznicę ślubu!

Anne zignorowała uczucie zazdrości, że ona i Remy wspólnie przeżyli zaledwie trzydzieści siedem lat, które przeleciały jak z bicia trząśł. Zmusiła się do uśmiechu.

- Może zechciałaby pani porozmawiać z Denise Sinclair, która zajmuje się rezerwacjami? Z chęcią pokaże pani wolne terminy na przyszły rok.

- Oczywiście, że tak. Gdzie ją znaleźć?

Anne dojrzała Luca stojącego w drzwiach prowadzących do recepcji.

- Luc! Pozwól, proszę - zawołała do niego, a kiedy podszedł, ciągnęła: - Czy mógłbyś skontaktować panią Branson z Denise? Chodzi o pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

Zostawiwszy panią Branson z Lukiem, Anne odwróciła się i natknęła na Charlotte.

;- Jak się masz, *doucettel* - powitała córkę.

-. Od samego rana jestem ze wszystkim spóźniona.

- Znowu coś? Czy od czasu tej afery z rezerwacjami wydarzyło się coś nowego?

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Mam swoje sposoby. No mów.

- Nie bardzo jest o czym...

- Nie rozumiem.

- Miałam kolejny telefon od Richarda Corbina.

- Podniósł stawkę?

- Nie. Za to postawił ultimatum. Powiedział, że ich oferta jest ważna jeszcze tylko przez tydzień.

- Co? *Cochon*. On ma czelność...

- Zgadzam się z tobą. Powtórzyłam, że nie szukamy kupca, ale...

- Co ale?

- A jeśli nie uda nam się stanąć na nogi? Może postępujemy głupio, zniechęcając go? Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek z nas mógł pracować jeszcze

więcej niż teraz. I czekam na następną katastrofę. Odnoszę wrażenie, że to jakiś spisek przeciwko nam.

Anne myślała dokładnie to samo, lecz nie chciała się ujawniać ze swoimi obawami.

- Poradzimy sobie. Jesteśmy Marchandami. Hotel to my, kochanie. Częstka nas samych. Nie pozwolimy, żeby odebrano nam to, co zbudował wasz ojciec.

- Z twoją pomocą. Gdybyśmy miały te pieniądze, które tata...

Anne nie chciała nawet myśleć o poważnych sumach, które w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły z konta hotelu na krótko przed wypadkiem Remy'ego.

- Ale nie mamy - ucięła. - Oboje z ojcem zbudowaliśmy ten hotel, dysponując znacznie mniejszymi środkami. Wspólnie, wy, jego córki, i ja, urzeczywistnimy jego marzenie.

Jej dzielna córka, Charlotte, wyprężyła się niczym żołnierz przed dowódcą.

- Tak jest!

- *Je t'aime* - odpowiedziała Anne.

- Ja ciebie też, Mama - zapewniła ją Charlotte. W ich rodzinie kajunskie *Mama* przyjęło się zamiast kreolskiego *mere*. - Biegnę do Julie, zanim mnie tu znajdzie - dodała. Jej asystentka miała węż psa myśliwskiego.

Anne odprowadziła córkę wzrokiem. Ucieszyła się, że chociaż raz Charlotte zwierzyła się jej z kłopotów.

Zastanawiała się również, jak długo będą jeszcze udawać przed sobą nawzajem, że wszystko idzie ku

dobremu, podczas gdy czarne chmury nad nimi stają się coraz gęstsze.

- Babi! - godzinę później rozległ się cieniutki głosik.

- Dziękuję, Leo. - Anne poklepała po ręku barmana pracującego w hotelu od niepamiętnych czasów, chociaż plotki, jakie jej powtórzył, były niepokojące.

- Później jeszcze porozmawiamy.

- Oczywiście, szefowo - odparł Leo i odwrócił się razem z nią. - Och, idzie moja królowna! - wykrzyknął.

- Dzień dobry, panie Leo! - zawołała Daisy Rose, przeskakując z nogi na nogę. - Babi zabiera mnie do zoo! - pochwaliła się, a potem zadarła głowę i zapytała: - Prawda, Babi?

- Absolutnie.

Pochyliła się, żeby wziąć wnuczkę na rękę, chociaż blisko czteroletnią dziewczynkę nie było tak łatwo podnieść jak niemowlaka. Niemniej nie potrafiła odmówić sobie tej przyjemności.

- Mama, ona jest za ciężka - zaprotestowała trzecia córka Anne, Sylvie. - Podźwigniesz się.

- Nie przesadzaj - odrzekła Anne i w duchu westchnęła. Wszyscy się nad nią trzęsą.

- Kocham cię, Babi - zaszczębiotała Daisy Rose i przytuliła się do niej.

- Ja ciebie też, skarbie — zapewniła ją Anne i zaczęła kołysać w ramionach tym samym instynktownym ruchem, jakim kołysała własne dzieci.

- Pić mi się chce - poskarżyła się dziewczynka

i spojrzała na barmana swoimi ogromnymi niebieskimi oczami.

Leo poszukał wzrokiem Sylvie, czekając na jej zgodę.

- Tylko odrobinę - odrzekła Sylvie. - Nie zapakowałam zapasowych majteczek - dodała, zwracając się do matki. - Przepraszam.

- Daisy Rose doskonale sobie radzi - uspokoiła ją Anne. - Nie tak jak niektórzy - dodała znaczącym tonem i uśmiechnęła się do córki.

- Nie musisz mi tego ciągle wypominać ^- obruszyła się Sylvie.

- Zawsze byłaś indywidualistką - skomentowała Anne.

To prawda, pomyślała, podziwiając niepowtarzalny styl ubierania się córki. Dzisiaj Sylvie miała na sobie fioletowy komplet, długą wąską spódnicę i bluzkę, do tego zielony pasek w odcieniu limonki i taki sam agresywny szal.

- Dużo czasu zabierało ci osiągnięcie pożądanego celu, ale zazwyczaj robiłaś to z większym wdziękiem niż twoje siostry.

Każda z jej córek była inna. Nie zawsze miały podobne zdanie, właściwie prawie nigdy. Jednak łączyła je bardzo silna więź. I ostatecznie tylko to się liczyło.

- Za to jeśli chodzi o Jeffersona, nie zasypiałam gruszek w popiele. - Sylvie miała na myśli narzeczonego poznanego zaledwie kilka tygodni temu. - Wciąż czuję zawrót głowy - zwierzyła się i nagle spoważniała. - Ale chyba nie uważasz, że wzięliśmy zbyt szybkie tempo, prawda?

Anne przyjrzała się bacznie swojej zawsze niezależnej córce. Wahanie było do niej całkiem niepodobne.

- Nikt z nas nigdy by nie podejrzewał, że zwiążesz się z kimś takim jak on - odparła. Jefferson Lambert był wdowcem o dwanaście lat starszym od Sylvie, i na dodatek ojcem nastoletniej córki. - Ale czasami wystarczy jedno spojrzenie i już wiesz. Tak przecież było ze mną i z twoim ojcem.

- W naszym przypadku było inaczej. Byłam wściekła na moje siostry, że zostawiły mnie samą ze starym zramolałym prawnikiem.

- Ale złość szybko ci przeszła - Anne zaczęła się z nią droczyć. Sylvie zaczerwieniła się aż po cebulki rudych włosów. Córki Anne święcie wierzyły, iż udało im się ukryć przed matką, że Sylvie i Jefferson poszli do łóżka podczas swojej pierwszej randki w noc awarii prądu w całym Nowym Orleanie. Dlaczego młodym zawsze się wydaje, że ich rodzice wiedzą mniej od nich o seksie? Delikatnie dotknęła ręki córki. - Dokończyłaś właściwego wyboru i tylko to się liczy, kochanie.

Sylvie westchnęła.

- Za trzy dni, cztery godziny - zerknęła na ozdobny zegarek-broszkę przypięty do bluzki - i szesnaście minut wracają z Emily z Bostonu.

- Lubię Emily - rzekła Anne, mając na myśli przyszłą pasierbicę Sylvie. - A Daisy Rose ją uwielbia.

— Ja też, chociaż... - Sylvie zamilkła i potrząsnęła głową - chociaż nie mogę uwierzyć, że zostanę matką nastolatki. Wyobrażasz to sobie?

- Na dodatek nastolatki z kolczykiem w pępku.

Dobrze ci tak - zażartowała Anne. Niemniej ucieszyła się, że Sylvie nazywa się matką dziewczyny, nie macochą.

Sylvie skrzywiła się.

- Na szczęście zgodziła się przestać nosić kolczyk w języku i poczekać, aż się zrośnie - oznajmiła.

- Nastolatki lubią wystawiać rodziców na próbę - odparła Anne, pamiętając o wyczynach Sylvie, nie wspominając już o najmłodszej córce, Melanie.

- To się chyba nazywa sprawiedliwość dziejowa - rzekła Sylvie. - Sądziłam jednak, że los da mi jeszcze trochę czasu, zanim zażąda zapłaty za moje grzechy.

- Nie zasłużyłaś na to - zapewniła ją Anne i pociągnęła za rude włosy. - Chociaż zawsze starałam się nie okłamywać moich bliskich.

Obie wybuchnęły serdecznym śmiechem i wyściskały się nawzajem.

- Kocham cię, Mama. Jak dobrze znowu usłyszeć twój śmiech. Podejrzewam, że to zasługa Williama, czy tak?

Anne odwróciła wzrok. Nie chciała napotkać przenikliwego spojrzenia córki. Nie chciała usłyszeć kolejnego kazania.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Powiem tylko - Sylvie nachyliła się do ucha matki - tak trzymać! Jest super. Jak wino, im starsze, tym lepsze.

Skonsternowana Anne pomachała rękami.

- Nie myślę o nim w ten sposób - zaprotestowała.

- Posłuchaj, Mama. - Sylvie przybrała poważny

ton. - Papa nie chciałby, żebyś była sama. Za bardzo cię kochał, żeby pragnąć dla ciebie takiego życia.

Anne poczuła dławienie w gardle. Wiedziała, że Sylvie ma trochę racji. Remy był bardzo zaborczy, niejednemu mężczyźnie pokazał, gdzie jego miejsce, kiedy zaczynał z nią flirtować. A żaden z nich nie był jego wrogiem, natomiast William owszem. Może Remy nie chciałby, aby była samotna, lecz to nie znaczy, że zaaprobowałby umizgi Williama Armstronga.

Pocałunki. Aluzje, że jej pragnie i pożąda.

- Nie wiem, córeńko, naprawdę nie' wiem...

- To dobry człowiek, Mama. Oczu z ciebie nie spuszcza.

Anne wyswobodziła się z objęć córki.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Wracaj do pracy. Dzisiaj mój umysł zaprzęta tylko i wyłącznie pewna młoda dama, którą zabieram do zoo. Jestem babką i to mi wystarczy. Rodzina i hotel. Ja już swoje życie przeżyłam. Teraz wasza kolej.

- Mylisz się - zaprotestowała Sylvie ze smutkiem w oczach. - Ale nie będę się z tobą spierać, kiedy wpadasz w taki nastrój. William nie potrzebuje adwokata, sam sobie poradzi - dokończyła z uśmiechem.

- Lepiej zmykaj, bo... - zażartowała Anne. - Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Z mocnym postanowieniem niemyślenia o nim więcej i odwołania kolacji, udała się na poszukiwanie Daisy Rose.

ROZDZIAŁ CZWARTY

William spoglądał przez oszkloną ścianę swojego biura na Canal Street i rozważał najnowsze doniesienia od swego informatora z Hotelu Marchand. W związku ze złą sytuacją hotelu uznał, że warto mieć kogoś zaufanego na miejscu. Podobnie jak Anne doskonale zdawał sobie sprawę, że córki, chcąc oszczędzić jej zmartwień, przekazują matce ocenioną wersję wydarzeń.

Rozumiał je, sam czuł podobną potrzebę, by ją chronić. Im lepiej poznawał obecną Anne Marchand, tym cieplejsze uczucia w nim wzbudzała. Była zupełnym przeciwieństwem jego zmarłej żony; w kwestiach, w których Isabel ulegała jego woli, Anne mu się sprzeciwiała. Isabel całą energię poświęciła domowi i życiu towarzyskiemu, Anne tymczasem, wraz z mężem, budowała rodzinne przedsiębiorstwo. Zaczął sobie uświadamiać, że wbrew powszechnej opinii była nie tylko pomocnicą Remy'ego, lecz siłą napędową sukcesu Hotelu Marchand. Remy, kucharz wirtuoz, poza restauracją mało interesował się komfortem gości.

Obie, i Isabel, i Anne, bardzo kochały dzieci, lecz podczas gdy Isabel żyła życiem Judith, Anne pozwalała swoim córkom rozwinąć skrzydła.

Świat Isabel kręcił się wokół niego. Dopiero teraz dostrzegał, jak uprzywilejowaną pozycję zajmował w domu. Nigdy nie zniechęcał żony do kultywowania swoich zainteresowań, lecz jej ambicje były skromniejsze niż ambicje Anne.

Anne Marchand działała na szerszym polu. W przeciwieństwie do Isabel, która nie była w stanie tego pojąć, ona potrafiła zrozumieć wyzwania, jakim musiał stawić czoło, kiedy tworzył swoje imperium. Dlatego teraz on potrafił zrozumieć trudności, wobec których stanęła Anne. Na swój skromny sposób była tak samo dumna jak on i, uśmiechnął się na tę myśl, prawdopodobnie tak samo uparta.

Obecnie nie dążył już, jak dawniej, do przejęcia Hotelu Marchand, lecz przeciwnie, pragnął pomóc Anne uratować marzenie jej życia.

Mógłby jej zaproponować pieniądze potrzebne do spłacenia drugiej pożyczki hipotecznej, którą zmuszona była zaciągnąć po śmierci Remy'ego, lecz jej reakcję łatwo było przewidzieć. Nie wykluczał, że w jakimś momencie wystąpi z taką propozycją, lecz tymczasem postanowił przedsięwziąć inne kroki.

Był przekonany, że Anne uczyni niemal wszystko, by uniknąć sprzedaży hotelu grupie, która złożyła ofertę i która uparcie nie przyjmuje odmowy do wiadomości. Na wszelki wypadek jednak on sam rozpoczął wstępne przygotowania do złożenia własnej oferty. Nie jako William Armstrong, nie jako Regency Corporation. Uciekł się do wybiegu, posłużył się firmą prawniczą, dzięki czemu mógł zachować anonimowość. Robił to wszystko, by pomóc Anne, lecz podej-

rzewał, że gdyby wiedziała o jego działaniach, dzisiaj rano by z nim nie rozmawiała, a już na pewno nie pozwoliłaby się pocałować.

Co to był za pocałunek! William przyłożył dłoń do serca. Może skończył sześćdziesiąt pięć lat, ale jak jego ciało zareagowało! Czuł się jak ogier, który zwierzył klacz.

Czyż to nie cudowny początek dnia?

- Tato?

Z uśmiechem błąkającym się na ustach odwrócił się ku drzwiom, w których stała Judith.

- Witaj!

- Masz chwilkę?

- Dla ciebie zawsze. - Gestem zaprosił ją, by usiadła na obitej skórą kanapie. - Mam poprosić Margo o kawę?

- Nie, dziękuję. Zdażyłam już wypić mój dzisiejszy przydział.

Chociaż William zatrudnił córkę u siebie początkowo tylko po to, by po rozstaniu z mężem miała jakieś zajęcie, Judith pozytywnie go zaskoczyła. Pracowała bardzo ciężko, czasami nawet za ciężko. Przesiadł się do niej i spytał:

- Kłopoty?,

- I kto to mówi! - Judith spojrzała mu prosto w oczy i ciągnęła: - Wstąpiłam do ciebie wcześniej rano. Miałam nadzieję, że zjemy razem śniadanie, ale już cię nie zastałam.

Na pewno nie ucieszyłaby jej wiadomość, że niepokoił się o Anne i pojechał jej szukać.

- Racja. Wcześniej dziś zacząłem dzień. Chciałaś coś ode mnie?

- Byliśmy...

- Umówieni? - Jęknął w duchu. Anne tak zdominowała jego myśli, że spotkanie z Judith o ósmej kompletnie wyleciało mu z pamięci. Sama go o nie prosiła, nie wyjawiając, o co chodzi. - Przepraszam, kochanie. Nie mam usprawiedliwienia. Chyba tylko to, że się starzeję - skłamał. Dawno nie czuł się tak młody.

- Ty nigdy nie będziesz stary, tato - rzekła. Spojrzały teraz na niego bacznie jego własne niebieskie oczy w twarzy obramowanej jasnymi gładkimi włosami. - Gdzie byłeś? - zapytała.

Jej mina świadczyła o tym, że się domyśla. Ale to nie jej interes. Nie tylko Anne ma nadopiekuńcze córki.

Judith wciąż przeżywała rozwód z mężem, który zostawił ją dla młodszej kobiety, oczekującej jego dziecka. William nie chciał jej dodatkowo ranić, lecz nie chciał też kłamać.

- Pojechałem zobaczyć się z Anne.

Twarz Judith stężała.

- Uważasz, że to rozsądne? - spytała.

- O co ci chodzi?

Siłą woli opanował się, by nie wybuchnąć. Już dawno nikt nie ośmielił się podawać w wątpliwość jego postępowania. Judith była bardzo zżyta z matką, lecz od śmierci Isabel minęło osiem lat. Ile czasu można nosić żałobę?

Kolejny raz powtórzył sobie w myślach, że mężczyzna może mieć kilka żon, lecz dziecko ma tylko jedną matkę. Judith ciężko odczuła stratę Isabel, a po-

za tym długo nie zdawał sobie sprawy z tego, że jej małżeństwo się nie układa, że bez powodzenia stara się mieć dziecko. Potrzebowała czułego serca matki. On starał się jak mógł ją zastąpić, lecz jakoś mu to nie wychodziło.

" Kiedy dorastała, poświęcał wiele czasu budowaniu swojego imperium. Teraz próbował nadrobić stracony czas. Sprowadził ją z Chicago do Nowego Orleanu, zatrudnił jako asystentkę bardzo ambitnego Glena Schaefera, człowieka, który najwyraźniej chciał zostać jego następcą, kiedy William zdecyduje się wycofać z interesów.

Dopóki nie odnowił znajomości z Anne, William nie myślał o przejściu na emeryturę, żył pracą, lecz ostatnio zaczął zmieniać wiele ze swoich z góry założonych planów.

- Mam pewien pomysł, tato. - Judith przystąpiła do rzeczy. - Analizuję sytuację, a Glen jest za. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Ale twoja... twoja zażyłość z tą kobietą może zaszkodzić interesom Regency Corporation.

- Co? - William gwałtownie odwrócił głowę.

W innych okolicznościach może podziwiałby inicjatywę córki. Zaczynał nawet dostrzegać w niej zadatki na swoją następczynię. Niemniej wciąż jest jego dzieckiem, a jej komentarze dotyczą nie tylko jego życia osobistego, lecz również kwestionują oddanie firmie, którą od czterdziestu lat tworzy.

- Wyjaśnij, proszę, bliżej.

- Zgoda. - Rezerwa ustąpiła entuzjazmowi. - Marchand upada. Budynek jest przestarzały, a odrestaurow-

wanie go byłoby bardzo ryzykowne ze względu na koszty. Pewna grupa z Tajlandii złożyła ofertę kupna.

- Judith przerwała i spojrzała na ojca, chcąc sprawdzić, czy ta wiadomość jest dla niego nowa.

- Mów dalej.

- Marchandówny i ich matka grają na zwłokę w nadziei, że zarobią na karnawale. Osobiście wątpię, czy im się uda, a ostatnie kłopoty tylko potwierdzają moją diagnozę. Opinia hotelu została poważnie nadzarpnięta. Jeszcze jedna wpadka i będzie po nich. Sądzę, że Charlotte zdaje sobie z tego sprawę, obojętne, co twierdzi jej matka. - Judith zrobiła krótką przerwę, lecz po chwili ciągnęła: - Charlotte uchodzi za osobę zdecydowaną za wszelką cenę ratować firmę, lecz również pragmatyczną. Uważam, że można się do niej zwrócić pod warunkiem, że zrobi się to umiejętnie. Zaproponujemy jej tylko niewiele więcej niż tamta grupa z Tajlandii, ale zagwarantujemy zachowanie nazwy i oczywiście posadę.

William założyłby się o grube pieniądze, że Judith nie wzięła pod uwagę jeszcze jednej cechy Charlotte, a mianowicie całkowitego oddania matce. Na dodatek zapomniała, że to Anne jest rzeczywistą właścicielką hotelu, jedyną osobą, która może podpisać akt sprzedaży. Poza tym zatrudnia w hotelu pozostałe trzy córki, nie mówiąc o personelu wiernie pracującym z nią od lat. Obietnica zachowania nazwy na pewno jej się spodoba, lecz wiedział, że Judith nie kieruje się sentymentem, a twardą ekonomią.

- W jaki sposób jest to opłacalne dla nas? - spytał.

Od powrotu z Chicago nie widział jej tak ożywionej, poza tym paliła go ciekawość, co wymyśliła.

Oczy Judith zabłysły, kiedy uświadomiła sobie, że ojciec nie odrzuca jej planu.

- Po pierwsze ograniczymy zatrudnienie, potem zamkniemy restaurację i urządzimy tam pokoje dla gości, to samo zrobimy z częścią prywatną. Goście dostaną rabat na stołowanie się w Regency. To tylko kilka kroków.

Anne nigdy, przenigdy się nie zgodzi zamknąć restauracji Remy'ego, pomyślał William.

- Ta restauracja od lat jest jedną z nowoorleańskich atrakcji.

- Możemy włączyć niektóre ich firmowe dania do menu w Regency. Goście na tym nie stracą, a nawet zyskają. Dzisiaj turyści bardzo liczą pieniądze. Możemy też obniżyć ceny noclegów i wciąż wyjdziemy na swoje.

- A co z Anne?

I ze mną, chciał dodać. Ale musi postępować ostrożnie. Judith jest jego dzieckiem. Kocha ją i się o nią martwi.

- Po chorobie całkiem, albo prawie, wycofała się z zarządzania hotelem. Dwie z jej córek prawdopodobnie wkrótce wyjadą z miasta ze swoimi nowymi mężami, Melanie i Robert założą w końcu własną restaurację. A o Charlotte my zadbamy. - Oczy jej błyszczały całkiem nowym, nieznanym mu blaskiem. - Glen uważa, że to świetny plan - ciągnęła. - Och, on przeprowadziłby jeszcze więcej cięć. Wyraził się nawet, że to szkoda, że tak trudno otrzymać pozwolenie na budowę

czegokolwiek w samym sercu Dzielnicy Francuskiej, bo inaczej dobrze by było zburzyć budynek i na jego miejscu wybudować całkiem nowy obiekt. Ale ja jestem w stanie zrozumieć dumę kobiety... - Zamilkła, a na jej twarzy odmalował się smutek. - Udało mi się go przekonać, że musimy i to wziąć pod uwagę.

William spojrział na córkę z aprobatą. Kiedy nabierze większego doświadczenia, będzie nie do pobicia. Dobrze się przygotowała, na temat córek Anne zdobyła nawet takie informacje, do jakich jemu nie udało się dotrzeć. Ale... na litość boską, nie wiedział, od czego zacząć. Chyba najlepiej od wezwania Glena Schaefera. Nie może złożyć dwóch konkurencyjnych ofert wykupienia Hotelu Marchand, nawet jeśli pominąć trudności z wyjaśnieniem motywów złożenia tej pierwszej. Przecież Anne nigdy się nie zgodzi na plan Judith.

- Tato? - Mina Judith wyraźnie wskazywała, że za długo milczy. - Nie podoba ci się moje rozwiązanie z jej powodu, tak? Dawniej bez mrugnięcia okiem zgodziłbyś się ze mną. To dobry plan i doskonale o tym wiesz.

Tylko ostrożnie. William miał wrażenie, że nie chcąc urazić żadnej z dwóch kobiet, które liczą się w jego życiu, stąpa po linii rozciągniętej nad przepaścią.

- Posłuchaj. Rozumiem, że kochałaś swoją matkę - zaczął. - Ja również ją kochałem. Nie uczyniłbym niczego, co by pomniejszało więź, jaka istniała między nami. Ale Anne Marchand nie jest mi obojętna.

Judith odsunęła się gwałtownie, jak gdyby ją uderzył. Milczała chwilę, potem odezwała się cicho:

- Wiem, że doskwiera ci samotność...

William wyprostował się nagle.

- Czyli uważasz mnie za samotnego wdowca, którego zdanie należy traktować protekcjonalnie?

Jakaś nuta w jego głosie musiała ją ostrzec, iż wkroczyła na grząski grunt.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie zaprzeczaj. - Podniósł się gwałtownie z fotela i podszedł do biurka. Chciał się uspokoić. Atmosfera stawała się napięta. - Muszę ci przypomnieć, że wciąż jestem dyrektorem naczelnym tego przedsiębiorstwa, które, dodam, zbudowałem sam, nie korzystając z twoich cennych rad. Dodam również, że przez czterdzieści lat udało mi się nim kierować i osiągać coraz większe sukcesy.

Judith lekko poblądła i zacisnęła wargi.

- Wiem, że ty tu rządysz - przemówiła w końcu, lecz w każdej wypowiedzianej sylabie brzmiał bunt.

- Bez względu na to, co czuję czy czego nie czuję do Anne Marchand, decyzja, co zrobię, należy do mnie. Niemniej w żadnym wypadku nie będzie ona skierowana przeciwko tobie ani przeciwko pamięci matki, lecz pragnąłbym, abyś nie uprzedzała się do tej kobiety. Wracając do Hotelu Marchand, jaka część twojego planu ma na celu skonfliktowanie mnie z Anne?

- Ktoś ten hotel w końcu przejmie - odrzekła Judith. - Dlaczego nie my? - dokończyła i zadarła podbródek w sposób, jaki tysiące razy oglądał w lustrze.

Ucieszył się, że mimo tłumionej wściekłości Judith odzyskuje hart ducha i determinację.

Nie zamierzał temu przeszkadzać. Postanowił na jakimś etapie wtajemniczyć ją w szczegóły własnej oferty, ale dopóki nie było to absolutnie konieczne, milczał. Przewidywał bowiem, jak zareaguje na wzmiankę o Anne.

Opanował się już całkiem i z aprobatą pokiwał głową.

- Brawo. Podoba mi się, z jaką wnikliwością opracowałaś swój plan - odezwał się.

- Ale zamierzasz go odrzucić.

Widział, jak ją to dotknęło.

- Tego nie powiedziałem. Widzisz, sytuacja jest skomplikowana.

- Przez nią - odparła oskarżycielskim tonem. - Przez tę kobietę.

- Uważaj, co mówisz, Judith. - Gdzie się podziała ta mała dziewczynka, która wierzyła, że tatuś ma zawsze rację? Spróbował jeszcze raz. - Kochanie, co masz przeciwko niej? Uważasz, że jestem niełojalny w stosunku do twojej matki, tak?

Dochował wierności Isabel i głęboko przeżył jej odejście. Judith reaguje jak dziecko, nie jak dorosła kobieta.

- Jej chodzi o twoje pieniądze. Czy tego nie widzisz?

- Nie znasz jej - wycodził przez zęby.

- Ona i jej córki walczą o przetrwanie, ale to walka skazana na przegraną.

- Nie skreślałbym jej jeszcze. Cały Nowy Orlean

tak zrobił po śmierci Remy'ego, a ona jakoś utrzymała się na powierzchni.

Dzięki sile woli i odwadze, mógłby dodać.

- Tym razem jej się nie uda - oświadczyła Judith, odczekała chwilkę i dokończyła: - Chyba że pospieszysz jej na ratunek. - Wizja siebie na białym koniu i Anne jako damy w opałach biernie oczekującej wybawcy rozśmieszyła go. - Jak możesz się śmiać? - oburzyła się Judith. - W Nowym Orleanie aż się roi od kobiet, które mają taką samą chrapkę na twoje pieniądze jak Anne Marchand.

- Dostyc! - warknął. Judith natychmiast zrozumiała, że posunęła się za daleko. Tymczasem William zdołał zapanować nad nerwami. - Nie czuję się urażony tym, że nie widzisz, czego kobieta mogłaby ode mnie oczekiwać poza pieniędzmi...

- Źle mnie zrozumiałeś, tato...

Uniósł dłoń, nakazując jej milczenie.

- Zapomnę o tym, że uważasz mnie za tak starego, że aż niezdolnego do racjonalnego myślenia. - Judith już otwierała usta, by zaprzeczyć, lecz zamilkła, widząc, że ojciec gwałtownie potrząsa głową. - Ale nie będę tolerował - ciągnął - sugestii, że Anne Marchand jest jakąś harpią mającą wobec mnie nikczemne zamiary ani - uśmiechnął się - że kiedykolwiek, nawet za milion lat, zgodzi się, żeby ktoś uzurpował sobie prawa do przejęcia jej pozycji albo traktował ją jako osobę słabą. Zapewniam cię, że tak nie jest, a poza tym ona nie ma żadnych zakusów na mój majątek.

Zamilkł. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Potem jeszcze jeden, zanim dokończył:

- Zostaw mi swój projekt. Przejrzę go na spokojnie.

- Dobrze. Dziękuję. Jako biznesmen wiesz, że to dobry plan.

Intencja tej wypowiedzi była jasna: nie myśli jak biznesmen.

Nie mógł odmówić Judith racji. Dawniej to on byłby mózgiem całej akcji.

Ale tu chodzi o hotel Anne.

O jej serce.

Wszystkie pytania jego córki były na temat, jej uwagi trafne. Jest jego dzieckiem, jedynym dzieckiem, ale przeciwstawia się kobiecie, której pragnął.

William należał do mężczyzn nienawykłych do uczucia bezsilności, lecz w tej chwili znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem, pomiędzy ukochaną córką a kobietą, która z każdym dniem zajmowała coraz więcej miejsca w jego myślach.

- Muszę cię prosić, żebyś mi w tej sprawie zaufała. Daj mi czas do namysłu. Chcę sprawdzić, czy istnieje jakieś rozwiązanie kompromisowe.

Nie chciał jej ponownie przypominać, że to do niego należy ostatnie słowo. Nie podobało mu się to, co się dzieje w Hotelu Marchand, i nie opuszczało go przeczucie, że Anne znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie mógł ryzykować, że się dowie, iż to on stoi za jakąkolwiek ofertą kupna hotelu, bo odwróciłaby się od niego i już nigdy nie mógłby jej chronić.

- I jeszcze jedno. Obiecuj, że od ciebie Anne o niczym się nie dowie. W tej sprawie jest wiele wątków,

których nie rozumiesz. - Judith wyglądała na dotkniętą, bo uznał za konieczne prosić ją o dochowanie tajemnicy, lecz nie wyjaśnił dlaczego, ponieważ nie chciał mieszać jej w nic podejrzanego. - Co powiesz na wspólną kolację u mnie, Anne, ja i ty? Może w przyszłym tygodniu? Miałabyś okazję przekonać się na własne oczy, jaka ona jest.

- Raczej nie. - Judith podniosła się, elegancka jak zawsze, i stanęła przed nim niczym młoda królowa. Jej twarz przypominała maskę. - Jak byłeś uprzejmy stwierdzić, to nie mój interes.

William już miał odpowiedzieć, lecz rozległ się sygnał telefonu wewnętrznego.

- Londyn na linii - odezwał się głos sekretarki.

- Poproś, żeby się nie rozłączali, Margo - polecił i odwrócił się z powrotem do córki, chcąc kontynuować rozmowę.

Lecz Judith zdążyła już opuścić gabinet.

William zaklął pod nosem. Potem jej poszukam i jakoś to wszystko załagodzę, pomyślał.

Tymczasem trzeba zająć się pilnymi sprawami.

Już drugi raz dzisiejszego dnia Anne czuła się zdenerwowana. I po raz drugi powodem jej zdenerwowania był William.

Absurd. Przecież nie jestem podlotkiem! To nie randka, to tylko...

Przyłożyła dłoń do żołądka. Tylko wspólna kolacja. Spotkanie dwojga starych przyjaciół.

Wcale nie czuła się stara, przeciwnie, czuła się młoda, prawie jak zalotna nastolatka. Poza tym, czy

są z Williamem przyjaciółmi? Podejrzewała, że dawno, dawno temu, mogli nimi zostać, gdyby ona nie była nieśmiałą uczennicą, pierwszoklasistką w gimnazjum dla dziewcząt, a on kapitanem drużyny piłkarskiej, przewodniczącym samorządu szkolnego, gwiazdą klubu dyskusyjnego i na dodatek maturzystą.

Zanim wróciła z college'u, on już pracował w Regency, podążając śladem ojca, biznesmena liczącego się w mieście, które ona pragnęła opuścić. Ich matki bardzo się przyjaźniły i snuły plany połączenia obu rodzin, wciąż urządzały jakieś wspólne imprezy towarzyskie, na których młodzi się spotykali. William był tak przystojny i atrakcyjny, że jego bliskość przyprawiała ją o ściskanie w dołku, lecz nie był gotowy do zakładania rodziny, a zresztą ona sama także się nie spieszyła do zamążpójścia.

A potem poznała Remy'ego.

Trafiona, zatopiona.

Czterdzieści lat później, na przekór samej sobie, znowu czuła ściskanie w dołku.

Na dźwięk pukania do drzwi ściskanie jeszcze się wzmogło.

To nonsens, powtarzała sobie, idąc otworzyć.

Przekreśliła gałkę. Gość obrzucił ją taksującym spojrzeniem od stóp do głów i cicho gwizdnął.

- Przestań - upomniała go, lecz nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem na jego uśmiech. - *Mon dieu*, przecież jestem babcia!

- A czujesz się jak babcia? - spytał, unosząc brwi.

- Po całym dniu spędzonym w zoo zdecydowanie tak.

William pochylił się, złożył na jej policzku gorący pocałunek i cofnął się, zanim zdążyła zaprotestować.

- Cudownie pachniesz - szepnął.

Oszołomiona jego zachowaniem, uchwyciła się bezpiecznego tematu i rzekła:

- Umieram z głodu.

W jego spojrzeniu dostrzegła lekką kpinę.

- Nie mogę do tego dopuścić, chyba - zrobił efektowną przerwę - chyba że wolisz poprosić, żeby nam przyniesiono coś tutaj - dokończył.

W jego głosie pobrzmiwała nuta przekory. Od kilku lat znowu był kawalerem, który lubił się zabawić, natomiast w jej życiu był tylko jeden mężczyzna, szanse więc były nierówne. Lecz nie zamierzała rezygnować z walki. Poza tym szybko się uczyła.

- Nie sędzę, abyś chciał, żeby plotkowano na nasz temat jeszcze więcej, niż już to robią.

- To mnie nie peszy, że widzą nas razem - odparował. Anne nie znalazła ciętej odpowiedzi. Wybawił ją z kłopotu, z galanterią przeplótł jej rękę przez swoje zgięte ramię i obrócił się w stronę drzwi.
- A więc opowiadaj, jak się bawiła uroczą Daisy Rose, Babi...

Uśmiezek błakający się w kąciakach jego warg świadczył o tym, że przejrzał jej grę i że jej wysiłki, aby zasłonić się statusem babci, są skazane na niepowodzenie.

- Dopytywała się o Bo. Pytała, kiedy będzie mogła się pobawić z nim i z panem Willem.

Kiedy Sylvie podrzucała Daisy Rose pod opiekę babki i prababki, Anne zabierała dziewczynkę na poranne spacerunki z Williamem i jego labradorem.

Błysnęły białe zęby.

- Powiedz jej, że pan Will i Bo będą zaszczyceni - odparł. - Może sam do niej zadzwonię i ją zaproszę - zamilkł i puścił do niej oko - sugerując, żeby poprosiła Babi o podwiezienie?

Co za niebezpieczny mężczyzna, pomyślała Anne. Jego awanse przyprawiły ją o zawrót głowy. Od dawna nie czuła się tak... tak kobieco.

- Nie masz nade mną litości - oskarżyła go z uśmiechem. - Przestań mnie uwodzić. Zaprosiłeś mnie na kolację, a ja umieram z głodu.

- Proszę o kolację spełnię - rzekł, po czym ujął jej wolną dłoń, ucałował i dokończył: - Ale tej drugiej prośby nie. W żadnym wypadku.

Gdy jego usta dotykały jej dłoni, Anne wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Ciepły oddech musnął jej skórę. Zadrżała.

William nie posunął się dalej, lecz wyraz jego oczu świadczył, iż nie uszło to jego uwagi.

Widywali się regularnie już od kilku miesięcy, ostаточно coraz częściej, lecz nagle ich znajomość nabrała szybszego tempa. Jeśli nie będzie miała się na baczności, straci głowę dla tego przystojnego, charyzmatycznego mężczyzny. A teraz, kiedy przyszłość hotelu - majątek jej dzieci - jest zagrożona, nie może uczynić fałszywego kroku.

Stojący po przeciwnej stronie ulicy mężczyzna cof-

nał się w cień i bacznie obserwował parę, która wyszła z hotelu i skierowała się w stronę czarnego jaguara. Kobieta wsiadła, jej towarzysz zatrzasnął drzwi, okrążył auto i zajął miejsce dla kierowcy. Cały czas się uśmiechał. Samochód ruszył, warkot silnika przypominał gardłowe charczenie drapieżcy.

Mężczyzna odchylił klapkę telefonu komórkowego i wcisnął dwa klawisze.

- Znowu jest z nią - zameldował. - Mam za nimi jechać?

- Nie dzisiaj. Czekał tam, gdzie jesteś. Zawiadom mnie, kiedy ją odwiezie.

- Jeśli to zrobi. Strasznie się do siebie migdalili.

- Hm - rozległo się w słuchawce, potem słychać było, jak rozmówca zaciąga się papierosem. - Nie podoba mi się to. Niestety nie mam nikogo, kto by cię mógł zmienić.

- Oboje są starzy. Może poprzestaną na kolacji? Chociaż ta babka całkiem nieźle się trzyma jak na swoje lata.

Zaległo milczenie.

- Dzwonię do szefa - odezwał się głos. - Nie podoba mi się to - powtórzył i zakończył rozmowę.

Mężczyzna zamknął klapkę telefonu i zaczął przyglądać się czterem dziewczętom wysoko zadzierającym spódnicę i ćwiczącym taneczne kroki przed ostatnim dniem karnawału.

- Jak znalazłeś to miejsce? - spytała Anne, obierając ze skorupki przyprawioną na ostro krewetkę.
- Wyśmienicie tu karnią.

- Wiem, że to nie jest odpowiednie dla ciebie otoczenie - sumitował się.

Anne uniosła brwi.

- A jakie otoczenie byłoby dla mnie odpowiednie?

- Białe wykrochmalone obrusy, świece, świeże kwiaty...

Anne rozejrzała się po skromnym lokalu mieszczącym się w dzielnicy, do jakiej nigdy się nie zapuszczała. Ściany były ozdobione plakatami reklamującymi Mardi Gras, a metalowe stoliki nakryte plastikowymi obrusami.

- Świecę mamy.

- W świeczniku za dwa grosze.

- A jednak przyprowadziłeś mnie tutaj.

- Bo uznałem, że potrzebujesz zmiany otoczenia.

- Niemożliwe? - Anne uniosła brwi jeszcze wyżej.

- A mnie się wydawało, że potrzebuję tylko jeszcze jednej serwetki. Oczywiście zawsze mogę oblizać palce - powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić nad swymi słowami.

Oczy mu pociemniały, nozdrza się rozszerzyły.

- Wtedy nie musielibyśmy rzucać monetą. Pognalibyśmy prosto do mnie.

- Och? - Nie odwróciła wzroku, chociaż czuła się tak, jak gdyby zastawiła sidła na dzikiego zwierza. William otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz nie dopuściła go do głosu. - A co z tą kukurydzą, jaką mi obiecałeś? - spytała.

Stchórzyłaś, dodała w myślach.

William prychnął coś pod nosem, potem przywołał szczupłego nastolatka, który ich obsługiwał.

- Czym mogę służyć, panie Armstrong?

- Powiedz Celii, że przeszła samą siebie - rzekł William i mrugnął do niego porozumiewawczo. - Pani chciałaby spróbować kukurydzy na kolbie. Aha, i przynieś serwetki.

- Oczywiście. - Chłopak odwrócił się na pięcie, lecz William zawołał za nim:

- I...

- Proszę nie mówić. Wiem, o co chodzi. Więcej kukurydzianych ciasteczek - odgadł kelner.

- Świetnie mnie rozumiesz, Jerome.

- Gdyby nie pan, babcia nadal by harowała w kuchni tego domu opieki...

Anne zauważyła, że William daje nastolatkowi znak, aby zamilkł.

- Usiądź, proszę, Jerome - wtrąciła - i opowiedz mi więcej o babci.

Jerome zerknął niepewnie na Williama.

- Ale... - zająknął się - babcia obedrze mnie ze skóry, jeśli zaraz nie wrócę do kuchni.

Jego wyraźne zażenowanie, gdy nie wiedział, kogo posłuchać, swojego bohatera czy jej, rozbawiło Anne.

- Rozumiem - zapewniła go. - W takim razie sama wyciągnę z pana Armstronga, co się da.

Na twarzy Jerome'a odmalowała się ulga.

- Tak, proszę pani. Zaraz przyniosę serwetki, proszę pani. I kukurydzę - dodał i pospiesznie się oddalił.

Anne wytarła palce w ostatnią serwetkę.

- Czyli jesteś aniołem wybawicielem, Williamie - zaczęła.

Ku jej zaskoczeniu William wyraźnie się zmieszał.

- Och, to nic wielkiego - rzekł wymijająco.

- Oszust z ciebie. Wielki, groźny potentat ma miękkie serce, które starannie ukrywa.

William wyraźnie się zaczerwienił. W skupieniu przyglądał się jakiejś plamce na obrusie. Anne nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Pomyślała, że wygląda uroczo.

- Anne... - rzekł i podniósł głowę. W tym jednym słowie kryły się całe pokłady znaczeń.

Mon dieu. Poczuła, że oblewa ją fala gorąca. Miała ochotę uciec jak najdalej od mężczyzny, który sprawia, że nie jest matką, babką, lecz kobietą.

Dlaczego właśnie ten mężczyzna, przy którym krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach, musi być odwiecznym wrogiem Remy'ego?

Wstała gwałtownie i oznajmiła:

- Idę po swoją kukurydzę.

Tym razem William nie wykazał się refleksem.

- Po co? Jerome zaraz ci ją przyniesie.

Oczywiście, że tak. Ale ona musi uciec od jego niepokojącej bliskości, uporządkować rozbiegane myśli.

- Chcę poznać panią Celię - rzuciła i udała się prosto do kuchni.

William odprowadził ją wzrokiem, całkowicie zbity z tropu. W jednej chwili przekomarzała się z nim, w następnej jej orzechowe oczy pociemniały od namiętności równej uczuciu, jakiego i on doznał. Potem nagle zerwała się z krzesła i...

Uśmiech, jaki Anne z pewnością określiłaby jako szelmowski, pojawił się na jego ustach.

No tak, przeraziła się własnej reakcji i uciekła.

Czyli robimy postępy.

W tej samej chwili z kuchni wyszedł Jerome z miską kukurydzy w kolbach, plikiem serwetek i bardzo nietęgą miną.

William wstał i przywołał go ruchem ręki.

- Proszę pana... ta... ta pani... Kukurydza całkiem jej wystygnie i...

William rozejrzył się po niewielkiej salce, dostrzegł samotną matkę z dwoma roślými synami i poleciał:

- Serwetki zostaw, a kukurydzę zanieś tamtej pani z życzeniami ode mnie. Dopisz do mojego rachunku.

Kończąc, chciał wyminąć Jerome'a, lecz zaniepokojony chłopak spytał:

- A pan? Dokąd pan idzie?

William skinął głową w stronę kuchni i klepnął chłopaka po plecach.

- Ja? Ja, synu, udaję się właśnie tam.

Zanim otworzył drzwi, zerknął przez okrągłe okno do środka. Celia była poczciwą kobietą, lecz w kuchni zmieniała się w tyrana. Do gotowania i do wnuka miała niewyczerpane pokłady cierpliwości, lecz wszystko inne wyprowadzało ją z równowagi. Najbardziej nie lubiła, jak jej się przeszkadzało w pracy. Dlatego uznał za rozsądne rozejrzenie się w sytuacji na wypadek, gdyby Anne potrzebowała odsieczy.

Płonne obawy. Tam, gdzie spodziewał się burzy, ujrzał obie kobiety w znakomitej komitywie. Celia co prawda mieszała w garnkach i nakładała potrawy na

półmiski i robiła sto rozmaitych rzeczy z wprawą, jaką osiagają tylko wytrawne kucharki, lecz nie przestawała mówić i uśmiechać się do Anne.

William pchnął lekko drzwi, by usłyszeć, o czym rozmawiają.

- Pani Marchand, nikt nigdy nie porównał mnie z szefami z restauracji w Dzielnicy Francuskiej.

- Mam na imię Anne, proszę. I powtarzam ci, Remy był najlepszym kuchaczem, jakiego znałam, ale ty dokonałaś z tymi krewetkami czegoś takiego, że zazrzytałby zębami z zazdrości. Błagałby, żebyś przeniosła się do jego restauracji.

- No, no. A to ci pochwała - ucieszyła się Celia i pokręciła głową. - Dać ci może przepis?

Anne roześmiała się.

- Moja córka i jej narzeczony, który teraz jest szefem kuchni, posunęliby się do morderstwa, żeby go tylko zdobyć, ale nie dziękuję. Twoja knajpka to klejnot, Celio. Niemniej - ciągnęła - gdybyś kiedykolwiek znudziła się pracą tutaj, chcę być pierwszą osobą, która się o tym dowie. Hotel Marchand przyjmie cię z otwartymi ramionami. Ale wydaje mi się, że kochasz swoje królestwo, a ja wtargnęłam tu tylko po to, żeby złożyć ci moje uszanowanie.

Co za zdumiewająca kobieta, pomyślał William i jego szacunek dla Anne wzrósł. Potrafiła rozmawiać z każdym, bez względu na różnicę w statusie społecznym czy wykształceniu.

- Dziękuję - rzekła Celia. - Jestem zaszczycona. Remy Marchand to legenda Nowego Orleanu. Ale pan Armstrong dał mi...

W tej samej chwili William postanowił wkroczyć do akcji.

- Celio, kochana, czy ta kobieta próbuje sprzątnąć mi ciebie sprzed nosa? - spytał.

- Przecież doskonale pan wie, że ja nigdy panu nie zapomnę...

- Krewetki były jak zwykle wyśmienite - wpadł jej w słowo.

Anne spojrzała na niego z wyrzutem i rzekła:

- Nie mógłbyś zostawić nas samych? Chciałybyśmy dokończyć rozmowę - wyjaśniła i zwracając się do kucharki, spytała: - To jaką właściwie rolę odegrał pan Armstrong w tym biznesie, jeśli to nie tajemnica?

- Jaka tam tajemnica. Pan Armstrong uwierzył we mnie, kiedy już wszyscy machnęli na mnie ręką. Kucharzyłam w domu opieki, gdzie przebywała jego daleka kuzynka. Miałam szczęście, że mnie zatrudnili, bo kilka lat przedtem zadarłam z prawem.

- Celio, proszę, naprawdę nie ma o czym mówić...

- William usiłował jej przerwać, lecz kobieta zgromiła go wzrokiem.

- Ależ jest, jest. Całe życie marzyłam o własnej restauracji. Zgodziłabym się pracować u kogoś innego tylko pod warunkiem, że zarcie byłoby dobre. - Zamilkła i kątem oka spojrzała na Anne. - U pana Marchanda czułabym się jak w raju - dodała.

- Dziękuję - odezwała się Anne. - Doceniłby komplement takiej mistrzyni jak ty.

- Remy Marchand i Celia Dubois w jednej kuchni. No, no - rozmarzyła się, lecz po chwili ciągnęła: - Ale wracając do pana Armstronga, to usłyszał od kuzynki

o moim gotowaniu i przyszedł zobaczyć na własne oczy. Żeby już nie przedłużać, powiem, że zaraz zaproponował, że pomoże mi stanąć na własnych nogach. Pomyślałam sobie, że to tylko takie gadanie stukniętego białego, ale nie zawadzi wysłuchać, nie?

Anne posłała Williamowi badawcze spojrzenie, które odebrał jak pieszczotę. Nie przyprowadził jej tutaj, by przekonała się, że jest filantropem, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Oczywiście, że nie zawadzi - mruknęła Anne, nie spuszczając wzroku z Williama.

- W każdym razie z początku chciał mnie zatrudnić u siebie w Regency, ale tam pracował taki kucharz z Francji, co to zjadł wszystkie rozumy, i nie przypadliśmy sobie do gustu. Skończyło się na tym, że pan Armstrong pożyczył mi pieniądze, na bardzo dobrych warunkach. - Spojrzała na Williama, potem przeniosła wzrok na Anne. - W całym Nowym Orleanie nie ma takiego drugiego dżentelmena. Całej mojej rodzinie dał szansę na nową przyszłość. No, widzę, że nie podoba mu się, że go tak wychwalam, więc wracajcie do stolika. Przyszykuję wam pyszny deser.

- Och, Celio, nie rób sobie kłopotu - zaprotestowała Anne i dotknęła biodra. - Już i tak za dużo zjadłam.

- Żaden kłopot - oświadczyła Celia. - Zawsze szykuję coś specjalnego dla pana Williama. Poza tym to dla mnie zaszczyt gościć u siebie żonę samego Remy'ego Marchanda.

Anne zmieszała się. Czyżby sprawiła to wzmianka o mężu?

William nie był pewien, ale nagle przyszło mu do głowy, że z powodu niedawnych kłopotów zdrowotnych Anne ma zaleconą dietę, o czym nie pomyślał.

- Może wystarczy nam jedna porcja, Gelio? - zaproponował. - Podzielimy się.

Anne podziękowała mu wzrokiem za ratunek.

- Tak, tak, podzielimy się - podchwyciła.

William pochylił się i ucałował Celię w policzek.

- Nie będziemy ci przeszkadzać. I dzięki za wyśmienite jedzenie.

Celia promieniała.

- Karmiłabym pana codziennie i nie spłaciłabym nawet części długu. Przyprowdzi pan kiedyś znowu tę damę, prawda?

- Postaram się - obiecał.

- Ty oszuście - Anne szepnęła mu do ucha, kiedy wyszli z kuchni.

Jej twarz znalazła się tak blisko, że widział delikatną skórę poznaczoną liniami życia, w którym on nie uczestniczył. Radości i smutki, namiętność i samotność, złość i gniew... Zapragnął zajrzeć pod maskę, za którą Anne kryła myśli, potrzeby, tęsknoty.

Nagle wszystkie otaczające ich dźwięki ucichły. William czuł na skórze pachnący przyprawami oddech Anne. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, uważnie, jak nigdy przedtem. Zrozumiał, że chociaż życie ją zahartowało, uczyniło zdolną do stawienia czoła burzom i wyzwaniom, pozostała łagodną, dobrą istotą, znającą lęk, chociaż na zewnątrz przybierającą postawę silaczki.

W tej samej chwili silne postanowienie, by ją

osłaniać, uczynić wszystko, co w jego mocy, aby bronić jej sekretu, jeszcze się w nim umocniło.

Zaprzagnął dać jej więcej okazji do śmiechu, pomóc jej zapomnieć o zmartwieniach. Postanowił zaproponować pomoc w przezwyciężeniu obecnego kryzysu i wprowadzić ją w nowe życie, które podsunie jej nowe zagadki do rozwiązania. Będzie wspólnie z nią przeżywać radość odkrywania szerokiego świata, którego zawsze była taka ciekawa. Na co mu wszystkie pieniądze, jakie zgromadził, jeśli nie może ich spożytkować, by pomóc kobiecie, w której się zakochał...

- Williamie? - Milczał, pochłonięty szaloną wizją. Czyżby kochał Anne Marchand? Nigdy nie sądził, że taki dzień kiedyś nadejdzie, i nie mógł się powstrzymać od uśmiechu zdziwienia. - Dobrze się czujesz?
- spytała, natychmiast przybierając rolę osoby, która jest silna i samotna i zawsze troszczy się o innych.

Przyciągnął ją do siebie i lekko drżącym palcem powiódł po czole tuż przy nasadzie włosów. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że znajdują się pośrodku sali restauracyjnej.

- Czuję się wspaniale - odrzekł cicho.

Oczy Anne pociemniały, dotarł do niej ukryty podtekst jego słów, chociaż jeszcze nie była w pełni gotowa go przyjąć.

Uratował ją więc, odgadując, że przystępuje do najważniejszych negocjacji w życiu.

Wypuścił Anne z objęć i odsunął jej krzesło.

- A więc masz mnie za oszusta - skomentował.
- Mocne słowo.

Anne wyraźnie się odprężyła, słysząc lekki, kpiarski ton, i wynagrodziła go zalotnym uśmiechem.

- Ale trafne. Co jeszcze przede mną ukrywasz?

Wzdrygnął się. Na szczęście, obchodząc stolik, by zająć swoje miejsce, musiał odwrócić się do niej plecami, niczego więc nie zauważyła. Gdyby składając ofertę kupna hotelu, wiedział, że gra o najwyższą stawkę!

Lecz było już za późno, by się wycofać.

scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Późnym wieczorem telefon Luca radośnie zaćwierkał. Widząc numer, jaki się pojawił na wyświetlaczu, Luc z niezadowoleniem zmarszczył czoło i, nie odbierając, po prostu wcisnął komórkę do etui.

- Nie musisz odebrać? - zdziwiła się blondynka przy hotelowym barze.

- Nie. Nagrają wiadomość.

Dla odmiany nie szukał go żaden z braci Corbinów. Numer był międzynarodowy.

- Namolna dziewczyna? - sondowała blondynka, najwyraźniej zainteresowana przystojnym nieznajomym. - W takiej pracy jak ta na pewno spotykasz wiele kobiet. Któraś jest dla ciebie ważna?

- Tylko ty - odparł i przyłożył dłoń do piersi. - Moje biedne serce jeszcze się nie uspokoiło, odkąd tu weszłaś. - Dziewczyna uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki. - Czy ktoś już mówił ci, że ten uśmiech to niebezpieczna broń?

Leo, barman, świadek tej rozmowy, prychnął pogardliwie i wzniósł oczy do nieba. Luc, który to zauważył, zwrócił się teraz do niego:

- Nie masz dla mnie litości.

- A dlaczego miałbym mieć? - odciął się Leo.

Blondynka roześmiała się.

- Pewnie musisz opędzać się od kobiet - zażartowała.

- Och, skarbie, moja praca polega na dostarczaniu im przyjemności, nie przykrości. - Przerwał mu irytujący sygnał oznaczający nadejście SMS-a. - Wybacz - rzucił - skończyłem już dyżur, ale dopóki tu przebywam, jestem jak gdyby wciąż na służbie. - Skinął na Lea i polecił: - Przygotuj pani drinka na mój rachunek, dobrze?

Kiedy się odwracał, by w spokoju odczytać wiadomość, której z pewnością nie chciał znać, dziewczyna zatrzymała go pytaniem:

- Wrócisz tu jeszcze? Moglibyśmy gdzieś się wypuścić, gdzie... - zawiesiła głos - gdzie by ci nie przeszkadzano - dokończyła.

- Kusząca propozycja, ale miałem ciężki dzień - odparł wymijająco.

Zbyt mu zależało na tej posadzie. Flirtowanie z hotelowymi gośćmi było surowo zabronione. Jeśli kiedykolwiek zdecydowałyby się zatrzymać pociąg z dynamitem pędzący na Hotel Marchand, musi być na miejscu. Zresztą lubił tę pracę. Lubiał to miejsce i ludzi. Są jedną rodziną, chociaż Anne i jej córki o tym nie wiedzą.

Blondynka zrobiła niezadowoloną minę, lecz na szczęście Leo zachował przytomność umysłu i zajął ją rozmową o drinkach, pytając, na co miałyby ochotę.

Luc odszedł w spokojne miejsce, otworzył kłapkę telefonu i wystukał numer poczty głosowej.

- Luc, tu Ram Singh. - Aha, kumpel z Tajlandii. - Mam nowe wiadomości, właściwie plotki, ale pomyślałem, że mogłyby cię zainteresować. Oddzwon.

Luc zaczął wystukiwać numer.

Kiedy wychodzili z restauracji Celi, świecił piękny księżyc. Jego urok był tak sugestywny, tajemniczy i fascynujący, że Anne ogarnął przypływ namiętności, jakiej nie doświadczyła od bardzo, bardzo dawna.

Na plecach czuła dotyk dłoni Williama, po całym jej ciele rozchodziło się kuszące, niepokojące ciepło. Zadrżała nie z lęku, lecz z napięcia, z oczekiwania.

- Zimno ci? - Głęboki głos Williama zabrzmiał jak pieszczota.

Przestań, chciała go błagać. Muszę być twarda jak skała.

- Williamie - zaczęła - pamiętam, że żartowaliśmy na temat kawy i...

- Ja nie żartowałem - przerwał jej. Wsunął palec pod brodę, uniósł jej twarz i obrócił do siebie. - Pragnę cię, Anne - wyznał, patrząc jej w oczy. - Z wielu powodów. Tu nie chodzi tylko o seks.

Boże, czy naprawdę się zaczerwieniłam?

- Williamie... - Nie znajdowała właściwych słów na wyjaśnienie prawdy. - Te rzeczy przestały już dla mnie istnieć. Jestem za stara. - Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy. - Zazwyczaj widuje się ciebie ze znacznie młodszymi kobietami.

Milczał tak długo, że pomyślała, iż przyznał jej rację. Westchnął, potem cicho zachichotał, chociaż w tym śmiechu pobrzmiwała nuta melancholii.

- Nie wiem doprawdy, czy mam traktować twoje zainteresowanie moim życiem prywatnym jako po-chlebstwo, czy obrazę, bo podejrzewasz, że muszę

podbudowywać swoje ego. Jeśli ty jesteś za stara na seks, to co ze mną? - Anne już otwierała usta, by odpowiedzieć, lecz nie dał jej szansy. - Ani przez sekundę nie uwierzę, że jesteś za stara, żeby się kochać. I nie oszukuj sama siebie, Anne. To, co może się stać pomiędzy nami, to nie będzie po prostu seks. Ty i ja będziemy się kochać.

- Zawsze jesteś taki pewny siebie? To musi być miłe uczucie.

Nawet ona dosłyszała nutę irytacji w swoim głosie. William się roześmiał.

- Łatwiej mi było wynegocjować kredyty na kupno zrujnowanego hotelu, niż zaciągnąć cię do łóżka!

- Nie rezygnujesz?

- Nie. - Jego białe zęby błysnęły w uśmiechu.

- Ale proponowałem rzut monetą, czy idziemy do ciebie, czy do mnie. - Jakaś cząstka w Anne wołałaby, żeby rozmawiali tylko o seksie. Kłamała przecież, mówiąc, że William jej nie pociąga. Natomiast świadomość, że połączy ich coś więcej niż akt fizyczny, przerażała ją. Nie może sobie teraz pozwolić na nic, co by ją rozpraszało. - Gdzie się podziała ta Anne, która chciała wyjechać do Paryża?

- zapytał.

- O, pamiętasz?

- Mam wiele wspomnień związanych z tobą - odrzekł i powiodł palcem po linii jej podbródka. - A chcę mieć jeszcze więcej - dodał. Pochylił się lekko, dotknął wargami jej warg. - Spędź ze mną tę noc. Pozwól, żebym ci przypomniał, jaka jesteś młoda.

Och, jak to miło zabrzmiało! Jak kusząco!

- Nie wiem -szepnęła, przymykając powieki.

Ponownie ją pocałował, powoli i delikatnie.

- Zgódź się. Pozwól, żebym ofiarował ci ten azyl
- prosił, jak gdyby odgadując jej rozterki.

Przed oczami Anne pojawiła się zatroskana twarz Charlotte. Potem przypomniała sobie ufną Daisy Rose, całą rodzinę i ich wspólną walkę. Uniosła powieki.

- Chciałabym...

- Nie odmawiaj - prosił, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Chciałabym, Williamie, ale to nie jest takie proste.

- Powiedz mi, co nie jest proste. Podziel się tym ze mną. Zaufaj mi. - Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy się na to odważy. William jest jej rywalem w branży, chociaż jego operacje mają tak rozległą skalę, że nie sądziła, iż jej niewielki hotel może mieć jakieś znaczenie dla jego interesów. Nowe ultimatum postawione przez braci Corbinów martwiło ją, ale nie chciała o tym rozmawiać z Williamem. - Zatem kawa - stwierdził i wyjął z kieszeni monetę. - Zadowolę się kawą - dodał. - Na razie.

„Zaufaj mi. Podziel się tym ze mną”. Jakże pragnęła komuś się ze wszystkiego zwierzyć. Wysłuchać rady, która pomogłaby jej spojrzeć na sprawę z innej perspektywy.

- Dobrze. Niech będzie kawa - zgodziła się.

William dwukrotnie podrzucił monetę, lecz nie pokazał Anne wyniku. Wręczył pieniążek jej. Zamknęła go w dłoni. Metal zachował ciepło jego ręki.

- Mam rzucić? - zapytała.

- Nie, weź ją w dowód zaufania. Ta moneta przynosi szczęście.

- Przyda mi się.

- Wiem.

Czuła, że to prawda. To, z czego chciała mu się zwierzyć, widocznie nie jest aż taką tajemnicą.

- Dzięki.

- Jeszcze nie dziękuj. Obejrzyj ją z obu stron.

Anne obróciła monetę, potem podniosła wzrok na ofiarodawcę. Zdziwił ją poważny wyraz jego twarzy. Spodziewała się raczej kpiącego uśmiešku.

- Chciałeś mnie oszukać. - A prosiłeś, żebym ci zaufała! - Masz mnie za tchórza. - Jego zaskoczenie nie było udawane. Uspokoila się trochę. - Uważasz, że jestem głupia, bo nie chcę zostać z tobą sam na sam.

- Przeciwnie. Uważam, że jesteś bardzo sprytna. - Miała do wyboru albo poczuć się zła, albo rozczarowana. Obie reakcje nie wydawały się zbyt mądre. Lecz tygrys nie traci prążków, a pirat nie zostaje sprzedawcą w sklepie. Uświadomiła sobie, iż ten mężczyzna w wytwornym garniturze ma bardziej skomplikowany charakter, niż podejrzewała. I że dzięki temu jest jeszcze bardziej fascynujący. - Zmieńmy zakład - zaproponował. - Mam wracać do domu sam, czy nie?

- Może tak byłoby lepiej? - Kiedy się lepiej bawiłam? Kiedy ktoś tak się ze mną droczył? Kiedy ostatni raz moje uporządkowane życie stawało na głowie? Anne, którą w młodości ciągnęło, aby przyłączyć się do artystycznej bohemy, ujrzała zawód na twarzy Williama i roześmiała się. - Chyba mi to pochlebia

- stwierdziła. Od razu zrobiło jej się lekko i przyjemnie na duszy. - Pojedziemy do ciebie - oświadczyła.

William zrobił wielkie oczy i już zaczynał coś mówić, lecz położyła mu palec na ustach i dodała:

- Na kawę.

Czekał, żeby cofnęła rękę, a gdy to uczyniła, spytał niskim głosem:

- Z winem?

- Bez.

- Cóż, na początek i to dobre.

- Właśnie - zgodziła się z nim.

Pomógł jej wsiąść do samochodu, potem obszedł auto i usiadł za kierownicą, cały czas nie odrywając od niej oczu.

Jechali w milczeniu. Anne wsłuchiwała się w siebie, czekając na oznaki żalu albo wyrzuty sumienia.

Lecz się nie doczekała.

- Ram? Tu Luc.

- Jak się miewasz?

Wdepnąłem w gówno.

- Dobrze. A ty?

- Też dobrze.

- Co jest z tymi Corbinami?

- Władze w Bangkoku, wiem to z dobrego źródła, przygotowują przeciwko nim akt oskarżenia; Chodzi o jakieś przekręty.

- O cholera! - Luc rzadko kłął, ale ta wiadomość była sensacyjna. Wspaniała. Najlepsza, jaką słyszał od tygodni. Od miesiący.

- Stracą wszystkie pakiety akcji, jakie mają tutaj. Grozi im parę lat więzienia.

Tylko że ich już nie ma w Tajlandii. Drobiazg.

- Co z ekstradycją?

- Wyjechali? - zdziwił się Ram. - Gdzie mogą być? Może u siebie w Lafayette?

Uważaj, Luc. Nikt nie wie o twojej umowie z nimi.

- A niby skąd ja mam to wiedzieć? Pamiętam tylko, że dużo podróżowali.

- Obiło mi się o uszy, że zamierzają rozszerzyć wpływ w Ameryce. Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec. Richard i Daniel to nie są dobrzy ludzie, Luc.

Jak gdybym o tym nie wiedział...

Odpowiadając Ramowi, Luc przybrał jednak radosny ton.

- Ameryka to wielki kraj. Dzięki za cynk. Gdybyś wywęszył coś jeszcze, to...

- Oczywiście dam ci znać. Nie wspominam ich dobrze.

To znaczy, że byłeś bystrzejszy ode mnie, przyjacielu.

- No to do usłyszenia. Jeszcze raz dziękuję. Pozdrów rodzinę.,

- Dziękuję. Trzymaj się, Luc.

- I ty też.

- Wiesz, zmieniłam zdanie - odezwała się Anne znienacka. - Jedźmy do mnie.

Od domu Williama dzieliła ich już tylko jedna przecznicza.

Spojrzał na nią. Zauważył, że jest bardzo blada.

Postanowił nie spierać się z nią, lecz uciec się do podstępu.

- Zgoda. Ale chciałbym wstąpić do siebie i coś zabrać, jeśli się zgodzisz - odrzekł.

W ciemności lśniły jej czarne oczy. Twarz stała się jeszcze bledsza, jeśli to w ogóle było możliwe. Nie patrzyła na niego, lecz wzrok miała utkwiony w jakiś niewidoczny punkt przed sobą.

- Och - szepnęła. - Nie przypuszczałam... - Znowu się zająknęła. Po chwili jednak zdołała zapanować nad emocjami i dokończyła: - Dziękuję, że pomyślałeś o zabezpieczeniu.

Dopiero po chwili dotarło do Williama, co miała na myśli. Z trudem powstrzymał śmiech. Wielkie nieba, pomyślał rozczulony. Chciał tylko zabrać butelkę wina, którą trzymał na specjalne okazje, a nie prezerwatywy, jak jej się wydawało.

Skręcił na podjazd przed domem i zatrzymał się. Te sprawę musi rozegrać bardzo ostrożnie.

- Anne - zaczął - spójrz na mnie. - W końcu spełniła jego prośbę. Wziął ją za rękę i ciągnął: - Pragnę cię. Nie ukrywam tego. - Zamilkł i czekał na jej reakcję. W końcu kiwnęła potakująco głową.— Staram się jak mogę nie wywierać na ciebie presji, chociaż podejrzewam, że ty to odbierasz inaczej. - Lekki uśmiech wykrzywił jej usta. - Chcę spędzić z tobą trochę czasu, obojętnie czym się będziemy zajmować. Nie rzucę się na ciebie. - W jej oczach dostrzegł tyle nadziei, że nie chcąc zdradzić rozbawienia, pochylił się i ucałował jej dłoń. - Czuję, że pożądanie jest wzajemne. Proszę, nie zaprzeczaj.

Anne ponownie udowodniła, że jest odważna. Spojrzała mu prosto w oczy i przytaknęła:

- Nie zamierzam.

- To dobrze. Nawet bardzo dobrze. - Z niezawodną intuicją, dzięki której zdobył majątek, poruszył temat, o którym ona wolałaby rozmawiać w ciemności. - Od śmierci Remy'ego nie byłeś z żadnym mężczyzną?

- Z żadnym. Przed nim też nie.

- Przed...?

Chyba oszaleję, pomyślał William.

Teraz ona się uśmiechnęła.

- Och, wy mężczyźni. Posiadacze. Nie jestem pierwszą naiwną, Williamie, chociaż w moim życiu był tylko jeden mężczyzna. Urodziłam czwórkę dzieci.

- Masz rację. To my jesteśmy słabszą płcią.

Nareszcie udało mu się ją rozśmieszyć i rozładować napięcie.

- Ja również nie jestem pierwszą naiwną - rzekł - chociaż przyznam się, że mam trochę więcej doświadczenia.

- Łagodnie powiedziane.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, jestem od ciebie starszy. Ożeniłem się późno...

- Już osiem lat jesteś wdowcem, tak?

- Zgadza się.

- Spotykałeś się z wieloma kobietami.

- Nie z tyloma, jak podejrzewasz. A wiele spotkań kończyło się na wspólnej kolacji albo tańcach.

Zaległo milczenie. W końcu Anne spytała:

- Dochowałaś wierności Isabel?

Ich oczy się spotkały. Wiedział, że to decydujące pytanie.

- Tak - zapewnił ją.

- To dobrze.

- W życiu zawodowym wiele razy podejmowałem ryzyko, ale nie jestem beztroski. Wszystko mam wykalkulowane.

- A co wykalkulowałaś w stosunku do mnie?

William parsknął śmiechem.

- Jesteś zbyt nieprzewidywalna.

- Nie oczekuj przeprosin - odparła.

- Zanim skończymy ten temat, chcę cię uspokoić.

Po pierwsze nie przyjechałem po prezerwatywy. - Anne chciała się odsunąć, lecz on nie puścił jej ręki. - Po drugie, nie potrzebujemy ich. Zawsze byłem bardzo ostrożny i często poddawałem się badaniom.

- Nie podejrzewałam, że... - zachnęła się i chciała wyrwać rękę.

- Oczywiście, że podejrzewałaś. Wciąż mi nie ufasz. - Zamilkł i ucałował wewnątrz jej dłoni. - Nawet gdyby mi to miało zabrać resztę życia, zmuszę cię do zmiany zdania.

- Williamie, to nie tak... - zaprotestowała. - Tu nie chodzi o ciebie. Po prostu mam teraz tyle na głowie. Martwię się.

- Wiem. I pragnę ci pomóc. Zdaję sobie sprawę z tego, że hotel przeżywa trudności i że się tym zadręczasz. - Puścił jej rękę i spytał: - Wejdiesz? Ręce będę trzymał przy sobie. Przyrzekam na głowę mojej matki. Porozmawiamy o wszystkim. Jeśli jest ktoś, kto

zrozumie, przez co przechodzisz, to tą osobą jestem ja. Coś się stało?

Anne milczała chwilę i przyglądała mu się badawczo, zanim odpowiedziała:

- Tak. Ewentualny nabywca zagroził wycofaniem oferty. Domaga się szybkiej odpowiedzi.

- Ale ty przecież nie chcesz sprzedawać hotelu.

- Mogę nie mieć wyjścia.

Robiła wrażenie tak kruchej i załamanej, że siłą woli opanował impuls, by otoczyć ją ramionami i przytulić. Wiedział jednak, że pogorszyłby tylko sytuację.

- Anne, wiesz, że mam pieniądze. Mógłbym ci pomóc.

Oczy jej zabłyśły.

- Nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Posłuchaj. Hotel to wszystko, co Remy zostawił córkom. Ty i on...

Byliśmy rywalami.

- To było wieki temu.

- Co ci powtarzał za każdym razem, kiedy chciałeś odkupić hotel?

Zauważył, że jej głos zabrzmiał chłodniej. Jeśli nie będzie uważał, wieczór skończy się kompletną klapą, a wiedział, że musiałby mocno się napracować, żeby ponownie się przed nim otworzyła i dopuściła go do swoich tajemnic.

- Oczywiście zawsze odmawiał, ale przecież teraz nie proponuję kupna. - Nie była to do końca prawda, lecz gdyby zdradził swoje prawdziwe intencje, wysiadłaby i nie czekała na wyjaśnienia, jak poskładał

fragmenty łamigłówek w całość. - Chodź. - Zapalił silnik, podjechał pod samo wejście i zaparkował. Nie czekając na jej zgodę, wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera. - Przewiń taśmę do tyłu. Powtórzmy ostatnie kilka zdań. Nie proponowałbym ci pieniędzy, gdyby moje życie od tego zależało. Przekonujące?

Zaczęła wysiadać tak powoli, że pomyślała, iż zaraz zerwie się do biegu. Nie miała daleko, dom jej matki stał tuż-tuż.

Oczywiście dogoniłby ją jeszcze na podjeździe. Uśmiechnął się na samą myśl o podobnej scenie.

- Co w tym takiego zabawnego? - zapytała. - Znalazłam się tutaj z człowiekiem, który nienawidził mojego męża, który w przeszłości nieraz usiłował wydrzeć mu jego marzenie, a teraz próbuje...

- Nie nienawidziłem Remy'ego - sprostował.

- Nie kłam, Williamie. Ty i on latami kąsaliście się po kostkach.

- To nie była nienawiść. - Położył jej dłonie na ramionach i wyjaśnił: - To była zazdrość.

Anne zmarszczyła brwi.

- Wygrałeś. Miałeś całe imperium ojca dla siebie. Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego rzuciłeś wszystko i odszedłeś. Co takiego posiadał Remy, że mu zazdrościłeś?

- Odszedłem po pierwsze dlatego, że miałem dość bycia pionkiem w rękach ojca. On musiał kontrolować wszystko i wszystkich. Nie było w nim miłości.

- Byłeś księciem. Miałeś cały Nowy Orlean na wyciągnięcie ręki.

- Nie cały - sprostował i zajrzał jej głęboko w oczy. - Nie tę część, której pragnąłem.

- Tak - szepnęła. - Nie chcesz chyba powiedzieć... Nie, to był taki niemądry pomysł naszych mam, mrzonka przyjaciółek, żeby pożenić dzieci. Ani ty, ani ja nie mieliśmy ochoty spełniać ich oczekiwań.

- Masz rację - zgodził się. - Miałem zbyt wiele własnych planów. - Przyciągnął ją do siebie. - Ale zawsze żałowałem, że tobie wystarczyło jedno spojrzenie na Remy'ego, aby zapomnieć o moim istnieniu.

- Ach, wy mężczyźni! - westchnęła. - Znaczący teren, walczyście o swoje samice.

- Kiedyś tak było, owszem. Kiedy od nas odszedł, chciałem mu udowodnić, że potrafię samodzielnie do czegoś dojść, a nie korzystać z tego, że ustąpił pola.

- Wsunął jej palec pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie. - Ale nie teraz, Anne. Nawet tak nie myśl. To, co jest między nami, nie ma nic wspólnego ze współzawodnictwem. To coś znacznie, znacznie więcej.

- Zanim zdążyła zaprotestować, obrócił ją ku drzewom. - A tymczasem będziemy udawać, że jesteśmy przyjaciółmi, którzy co rano chodzą razem na spacer. Zaparzę'kawę, jeśli zechcesz, otworzę butelkę wina, posiedzimy w oranżerii, skoro to twoje ulubione miejsce, i po prostu porozmawiamy.

- Czy ktoś kiedykolwiek ci czegokolwiek odmówił? Albo spytam inaczej... Czy ty w ogóle słyszysz, jak ktoś mówi „nie”?

Ucisnął jej ramię i odpowiedział:

- Dopiero za piątym razem.

Luc leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Termin, jaki wyznaczyli mu Corbinowie, Mardi Gras, zbliżał się nieubłaganie. Wiedział, że bracia zwiększą nacisk. Spodziewał się, że niedługo się z nim skontaktują. Nie byli z niego zadowoleni, ale nie wiedział, jak długo może ich zwodzić.

Potrzebował argumentu przeciwko nim i niewytkuzone, że właśnie coś takiego samo wpadło mu w ręce. Nie przebywali w Lafayette, lecz gdzieś w pobliżu. Domyślił się tego z luźno rzuconych słów podczas ich rozmów z nim.

Mógłbym dać cynk glinom i naprowadzić ich na ślad Corbinów. Musi się zastanowić, z jakim wydziałem najlepiej się skontaktować. Zostało mało czasu. Proces ekstradycyjny trwa długo, ale może udałoby mu się rzucić tyle podejrzeń na Richarda i Dana, żeby zajęli się sobą i odczepili od hotelu i rodziny?

Rodzina. Lucowi podobał się dźwięk tego słowa chociaż podejrzewał, że ciotka i jej córki nie byłyby zachwycone pokrewieństwem z nim, szczególnie gdy by się dowiedziały, w czym maczał palce.

Ale wdepnąłem.

Tato, tato! Ja tylko chciałem cię pomścić.

Zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji jego działania w najlepszym przypadku mogą go kosztować posadę, w najgorszym zaprowadzą go na kilka lat za kratki.

Nie stała się jeszcze żadna szkoda materialna, lecz opinia hotelu znacznie ucierpiała.

Gdybym zdołał się jakoś wyplątać i usunąć Corbinów z drogi, może mógłbym wynagrodzić ciotce

krzywdy? Pracować za mniejszą pensję, zostawać dłużej. Jestem doskonałym organizatorem czasu wolnego. Poświęciłbym się odbudowaniu pozycji hotelu.

Akurat będą chcieli trzymać u siebie syna czarnej owcy w rodzinie! Jestem dla nich nikim, marzenia, żeby było inaczej, na nic się nie zdają.

Może powinienem odejść? Gdyby mnie tu nie było, Corbinowie musieliby zrezygnować z planów.

Kogo chcę oszukać? Zastąpią mnie kimś innym, znacznie gorszym, niezwiązanym emocjonalnie z tymi kobietami i ich walką.

Muszę zostać.

I muszę znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania.

Na dodatek szybko.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O trzeciej nad ranem Anne zrezygnowała z wszelkich prób zaśnięcia i wstała z łóżka, które kiedy było jej azylem, ucieczką przed światem. Żałowała że pozbyła się tego, które dzieliła z Remy. Zastąpienie go innym było jedną z owych próżnych prób czynionych przez wdowy usiłujące dać sygnał sobie i innym, że są gotowe z powrotem włączyć się w nurt życia, że zakończyły żałobę po ukochanym mężczyźnie.

Psiakrew, Remy, dlaczego mnie zostawiłeś? Uśmiechnęła się lekko, kiedy wyobraziła sobie jego odpowiedź. Posłuchaj, *chere*, mówił, przeciągając samogłoski i obdarzając ją tym zuchwałym uśmiechem którym od pierwszej chwili ją oczarował, jesteś rozsądną kobietą. Wiesz, że nigdy z własnej woli nie opuściłbym mojej *doucette*, chyba żeby upomniał się o to ten stary drań, Szatan. Bo jak dwa a dwa cztery przedkładając miłość do ciebie nad miłość do *le bo Dieu*, naraziłem mu się, ale jesteś warta tej ceny.

Powtarzał to jej tysiące razy, lecz naturalnie ona mu nie wierzyła. Remy Marchand miał swoje wady, ale był człowiekiem o wielkim sercu i wiedziała, że Bóg w którego wierzyła i któremu ufała, docenił to i przyjął go do nieba z otwartymi ramionami.

Kilkakrotnie rozmawiali o tym, co będzie, jeśli ktoś z nich zostanie samo, lecz najczęściej unikała tego tematu, ponieważ nie mogła znieść myśli o odejściu Remy'ego. Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że umarł, gdy przebywała tysiące mil od niego. I nie miało znaczenia, że podróż z Melanie do Włoch była jego pomysłem, by pomóc córce dojść do siebie po rozwodzie. Niemożność pożegnania się z nim wydawała jej się okrutnym zrzędzeniem losu i tej zadry nie usunął czas. Pocieszała się jedynie tym, że wiele, wiele razy zapewniali się nawzajem o swojej miłości i na każdym kroku dawali jej dowody.

Często Remy zmuszał ją do wysłuchania rzeczy, których nie chciała słuchać. „Jesteś kobietą, która może wiele ofiarować mężczyźnie. Kiedy mnie zabraknie, nie bądź sama. Będziesz za mną tęskniła, *doucette* - jak mogłoby być inaczej? Jestem przecież wspaniałym mężczyzną”.

Zawsze śmiała się wtedy i starała się kierować rozmowę na inne tory, lecz pewnego razu nie dał się zbyć. Zajrzał jej głęboko w oczy i zmusił do wysłuchania. „Nie twierdzę, że podoba mi się wizja ciebie w objęciach innego mężczyzny - i niech Bóg ma w opiece tego, który by zechciał próbować, póki jeszcze żyję - ale serce będzie mi się krajało, *ma belle*, kiedy pomyślę, że zostaniesz sama, skoro wiem, co to znaczy widzieć cię szczęśliwą i bezpieczną. Wiem, że dasz sobie radę, ale jeśli napotkasz jakiegoś dobrego człowieka, który będzie wiedział, jak cię kochać, nie wahaj się, dobrze”?

Protestowała, usiłowała odwrócić jego uwagę poca-

łunkami zmieszanymi ze łzami, które zawsze napływały jej do oczu, ilekroć pomyślała o utracie ukochanego. Ale gdy smutek zelżał i znalazła ukojenie w ramionach męża, szepnął jej do ucha: „Wiem, co mówię Annie Belle. Nie musisz już teraz się ze mną zgadzać ale zapamiętaj moje słowa”.

Anne wzięła do ręki ulubioną fotografię męża, pa miątkę z wakacji w Toskanii. Och, Remy, dlaczego tak mało czasu poświęciliśmy na przyjemności? Śmiejące się niebieskozielone oczy zdawały się odpowiadać „Budowaliśmy coś, *chere*, i to też była ogromna frajda”.

Cały Remy. Jak pracował, to pracował, jak się bawił, to się bawił. Czasami trudno było odróżnić jedno od drugiego, bo w dusznej kuchni, otoczony swoim babińcem, zdawał się najszcześliwszy.

Jest mężczyzna, powiedziała do postaci na fotografii. Dobry człowiek, który chce mnie kochać. Już próbuje się mną opiekować. Cudownie by się nadawał na partnera, gdybym się zgodziła. Kłopot w tym, że... że to William Armstrong. I co ty na to? Powtórzysz to co tyle razy mi mówiłeś?

Ze zdjęcia spoglądał na nią mężczyzna, który nigdy przed niczym się nie ugiął. „Nie patrz na to przez pryzmat swoich lęków, *ma belle*. Bierz rzeczy takimi jakie są”.

Och, Remy. Łzy napłynęły jej do oczu. Boję się Boję się go pokochać, bo to oznaczałoby rozstanie z tobą...

Usiadła i przyciskając zdjęcie do piersi, wybuchnęła płaczem, chociaż myślała, że już wypłakaławszy

stkie łzy. Płakała z żalu po mężczyźnie, który był jej pierwszą miłością, wieloletnią miłością, i wydawało się jej, że pozostanie jedyną miłością jej życia. Lecz przed oczami pojawiała się jej również twarz Williama, twarz naznaczona wiekiem, jakiego Remy już nie osiągnie, a jego błękitne oczy patrzyły na nią i łagodnie, i rozkazująco.

Bierz rzeczy takimi, jakie są.

Więc kurczowo ścisnęła zdjęcie Remy'ego, chcąc czerpać z jego wizerunku odwagę i zachętę, by myśleć o innym mężczyźnie. Przestała płakać. Poczowała się... lżejsza, umysł miała jaśniejszy.

William miał twarz wyrazistą, może obecnie mniej agresywną niż w młodości, lecz bardziej zwracającą uwagę bijącą z niej siłą człowieka, który znalazł swoje miejsce w życiu. Był zdecydowany, lecz nie pozbawiony poczucia humoru. W kącikach oczu i wokół ust widniały mimiczne zmarszczki od częstego śmiechu. Rysy jego twarzy wyrzeźbił czas i walka z przeciwnościami losu. Podejrzewała, że stoczył wiele zwycięskich bitew. Doceniała, że wobec niej nie był natrętny, mimo że na pewno przywykł do tego, że zawsze zdobywa wszystko, czego pragnie.

Dobrze, dobrze, Kajunie, ciągnęła swoją rozmowę z Remy, zwracając się teraz do niego przezwiskiem, jakiego często używała. Wygrałeś. Dam miłości jeszcze jedną szansę.

Ucałowała zdjęcie i zamiast umieścić je koło łóżka, gdzie stało od dnia śmierci Remy'ego, zaniosiła je na dawne miejsce, na półce w salonie.

Potem, nareszcie senna, położyła się.

Nagle wpadł jej do głowy nowy pomysł. Winna jestem Williamowi przeprosiny za wczorajszy wieczór i zwodzenie go, pomyślała. Pora wyprowadzić naszą znajomość na prostą drogę. Z samego rana postaram się to zrobić.

Uśmiechnęła się do siebie, wstała i nastawiła budzik.

Rzeński po porannym prysznicu, William podniósł do ust filiżankę znakomitej kawy zaparzonej przez jego gospodynię i z rozkoszą wypił spory łyk. Źle spał.

- Jesteś boginią, Estelle - pochwalił.

Machnęła ścierką w jego kierunku.

- Niech pan da spokój, panie Williamie. Proszę siadać, migiem podaję śniadanie. Pies już się nie może doczekać spaceru.

- Jak zwykle.

William sięgnął po gazetę, lecz myśli miał zajęte czym innym, nie tylko randką z Anne, która przybrała tak niespodziewany obrót.

Odtworzył w pamięci wczorajszą rozmowę z Glenem Schaeferem. Nie był zadowolony z jej przebiegu.

Znał się na ludziach, sukces jego firmy świadczył o tym, że potrafi dobierać sobie współpracowników. Glen należał do owej starannie wyselekcjonowanej elity. Kiedyś William myślał nawet o nim jako o swoim następcy. Bystry, z determinacją dążący do celu, przypominał mu siebie samego z młodości. Gdyby spór dotyczył jakiegokolwiek innego hotelu, William zgodziłby się z jego oceną sytuacji.

Teraz jednak chodzi o majątek Anne, a każda chwi-

ła spędzona w jej towarzystwie coraz dobitniej uświadamiała mu, jakim ciosem byłaby dla niej utrata Hotelu Marchand.

Wartość Glena dla Regency Corporation polegała na tym, iż potrafił oddzielić interesy od emocji. Słusznie podchwycił pomysł Judith połączenia obu hoteli. Córka Williama udowodniła, że jest inteligentna i ma przed sobą przyszłość.

Lecz bez wtajemniczenia Glena i Judith w swoje zamiary w stosunku do Anne i zwierzenia się im z nadziei na wspólną przyszłość, William nie mógł liczyć na ich zrozumienie, jeśli odrzuci ich projekt.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego odmowa grozi zakłóceniem dotychczasowych wręcz idealnych stosunków między nimi trojgiem. Poza tym odbierze Judith tak potrzebne jej poczucie własnej wartości.

A to wszystko dla kobiety, która na każdym kroku mu się opiera, która odczuwa do niego fizyczny pociąg, lecz sama przed sobą się do tego nie przyznaje, a nawet stara się walczyć z tym uczuciem. Miał ochotę walnąć głową w stół, lecz się opanował.

Czuł się przy niej, jak gdyby znowu miał dwadzieścia lat. Opór Anne podniecał go, elektryzował.

Estelle postawiła na stole talerz i zapytała:

- Co ma znaczyć ta mina kota, który zjadł kanarka?

William zamknął gazetę, do której nawet nie zajrzał, i odrzekł:

- Piękny dzień, prawda?

Gospodyni zmrużyła powieki.

- Wiedziałam. Dziś rano wyczułam tu zapach perfum. Udało się wczorajsze spotkanie, szefie?

Estelle głosiła poglądy, że Williamowi potrzebna jest kobieta, i przy każdej okazji wtrącała się w nie swoje sprawy.

- Niespecjalnie - burknął.
- To skąd ten uśmiech?

William skończył przeżuwać kęs przepysznej jak zawsze grzanki francuskiej i zasugerował:

- Nie pomyślałaś, że to twoja wyśmienita kuchnia sprawia, że się uśmiecham?

Estelle prychnęła i wytarła rękę w fartuch.

- Będzie już siedem i pół roku, jak dla pana gotuję, ale nigdy jeszcze nie widziałam, żeby się pan tak uśmiechał przy jedzeniu. Tu chodzi o kobietę.

- To moja słodka tajemnica, a tobie wolno myśleć, co chcesz - odparował, chociaż wiedział, że przed Estelle nic się długo nie ukryje.

- Racja. To jak będzie - spytała - zaprosi pan panią Marchand do środka czy ja mam to zrobić?

William zerwał się z krzesła.

- Pani Marchand? To ona jest tutaj?
- A jest. Na ganku.

William cisnął zmiętą serwetkę na stół.

- Jak długo czeka? Dlaczego jej nie wprowadziłaś?

- Bo dopiero co weszła po schodkach. - Był przy drzwiach, kiedy Estelle dorzuciła: - Już wiem! To ona kryje się za tym uśmiechem. Podoba mi się. Nie jest taka jak te wszystkie blondynki wzdychające do pana.

William nie tracił czasu na dalsze przekomarzanie się z gospodynią. Gwizdnął na Bo.

- Niech pan zaczeka! - zawołała za nim Estelle.

- Nie skończył pan śniadania! A może pani Marchand miałyby ochotę coś zjeść?

Zatrzymał się. Po co Anne tu przyjechała?

- Przepraszam, że zmarnowałem tyle pysznego jedzenia, ale wpiery muszę porozmawiać z Anne na osobności.

Estelle pomogła mu wybrnąć z sytuacji.

- Zrobię więcej grzanek, a pan niech idzie i potem zaprosi panią Marchand na śniadanie. A ty, Bo, zachowuj się grzecznie - zwróciła się do psa. - Pani Marchand to dama.

William pomachał jej ręką i otworzył drzwi.

Na ten dźwięk Anne odwróciła się. Dłoń trzymała opartą o białą dorycką kolumnę, jak gdyby potrzebowała oparcia. Zauważył, że miała podkrążone oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem, podchodząc bliżej.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Zawsze myślisz najpierw o mnie, prawda? Źle spałam. - Zanim zdążył odpowiedzieć, ciągnęła: - Winna ci jestem przeprosiny.

Nie tak wyobrażał sobie ich następne spotkanie.

- Za co? - zdziwił się.

- Od czego by tu zacząć... Za wypłakiwanie ci się na ramieniu, a potem odmowę przyjęcia pomocy w kłopotach.

- Czyżbyś zmieniła zdanie?

- Nie - odrzekła i po raz pierwszy uśmiechnęła się. - Ale doceniam twój gest bardziej, niż się spodziewasz. To cudowne móc powiedzieć o swoich

zmartwieniach komuś, kto rozumie cały kontekst, komuś, kto pomoże mi spojrzeć na sytuację z innej perspektywy. Nigdy nie miałam takiej sposobności.

- Nigdy?

Wzięła głęboki oddech, potem powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Remy i ja byliśmy partnerami we wszystkim, lecz nie równorzędnymi partnerami. Jako szef kuchni i kierownik restauracji miał zbyt wiele na głowie. W obu rolach był cudowny, ale... - Zamilkła i wzruszyła ramionami.

- Ale tobie zostawił prowadzenie hotelu, tak? Przysłuchując ogrom pracy.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Wspólnie podejmowaliśmy wszystkie ważne decyzje, ale bieżące sprawy załatwiałam sama.

- Wystarczy. Wiem, jaki to kierat. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Nie wiedziałaś, ale pierwsze dwa hotele sam prowadziłem. Dopiero po kilku latach mogłem zatrudnić kierowników i przejść na wyższe stanowisko.

- To tłumaczy, dlaczego tak dobrze mnie rozumiesz. - Odwróciła wzrok. - Ale są jeszcze inne przeprosiny, trudniejsze. Chodzi o... o... o wczorajszy wieczór.

- Za nic nie musisz mnie przeproszać. Nalegałem, a ty nie byłaś gotowa.

Anne dumnie wyprostowała plecy i uniosła głowę.

- Ja cię prowokowałam, więc może jesteśmy kwita.

Zaległo kłopotliwe milczenie. Prowokowałam. Mo-

że nigdy nie będzie gotowa ofiarować mi niczego więcej niż przyjaźni? Cóż, muszę się z tym pogodzić.

- Ale nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - spytał. - Zostawmy to tymczasem. Jak widzisz, Bo nie może się już doczekać. - Zniecierpliwiony pies zdążył owinąć ich oboje smyczą. William zaczął ją rozplątywać. - Panie przodem...

- Zaczekaj - powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Dajesz za wygraną? Tak po prostu?

Czego, do diabła, jeszcze ode mnie chcesz, kobieto, miał ochotę wrzasnąć.

- Anne, postawiłaś sprawę wystarczająco jasno. Lubisz moje towarzystwo, ale w nic więcej nie chcesz się angażować. W porządku. Jestem realistą. Cenię...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Mocno.

William nie tracił czasu na zadawanie dalszych pytań. Puścił smycz Bo i objął Anne. Oddał pocałunek.

Pocałunek trwał wieczność, aż w jego głowie pozostała tylko jedna myśl. Do grobowej deski będzie jej pragnął. I nigdy nie da za wygraną. Już miał wziąć Anne na ręce i zanieść ją do sypialni, gdy szczekanie Bo sprowadziło go na ziemię. Zaraz potem rozległ się głos Celeste Robichaux:

- Co ty, na miłość boską, wyprawiasz, Anne?

Na chodniku przed domem stała Celeste, podpierając się pod boki. William zaklął w trzech językach, lecz nie wypuścił ukochanej z objąć.

- Całuje mnie, Celeste - odpowiedział za nią, a Anne ukryła twarz na jego piersi. Czuł, jak drży.

- Na ulicy? Żeby wszyscy znajomi zobaczyli?

- Na ganku mojego domu - uściślił William. - I nie przejeżdżał tędy jeszcze żaden samochód. - Jemu było wszystko jedno, ale może Anne się krępuje, pomyślał. Westchnął, przypomniał sobie o Bo. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Celeste, będziemy kontynuowali spacer. Zaprosiłbym cię do towarzystwa - urwał i pomyślał, że jest strasznym hipokrytą, bo nigdy w życiu by tego nie zrobił - ale wiem, że nie przepadasz za psami.

- Zajrzyj potem do mnie, Anne - Celeste zwróciła się do córki tonem udzielnej księżnej.

William poczuł, jak Anne spina się w sobie i chce coś odpowiedzieć. Nie puszczając jej z objęć, wyręczył ją.

- Obawiam się że Anne zgodziła się towarzyszyć mi na pewnym spotkaniu. Jej wkład będzie nieoceniony. - Uśmiechnął się, by złagodzić cios. - Ale jestem pewien, że skontaktuje się z tobą, jak tylko będzie mogła.

Celeste spojrzała na niego, potem przeniosła wzrok na córkę. Nieprzyjemny grymas wykrzywił jej usta w parodii uśmiechu. Williamowi przemknęło przez myśl, że przecież kiedyś ta kobieta razem z jego matką konspirowały, by osiągnąć właśnie ten skutek: rzucić Anne w jego ramiona. W jego życie.

Mam więc w niej sprzymierzeńca, pomyślał. Tylko że Anne tyle razy buntowała się przeciw planom matki, że poparcie Celeste może raczej zaszkodzić sprawie.

- Jest moim jedynym dzieckiem.

Teraz William poczuł, jak Anne wzdrygnęła się

w jego ramionach, słysząc to kłamstwo. Celeste ma przecież drugie dziecko, syna, lecz wygnała go z domu. Anne ma brata, którego bardzo pragnęła odnaleźć. Uściskał jej rękę i ponownie odpowiedział za nią:

- Miłego dnia, Celeste - życzył i dodał: - No, komu w drogę, temu czas.

Celeste obrzuciła ich spojrzeniem, odrobinę zbyt przeciągłym.

- *Au revoir* - rzuciła i ruszyła w swoją stronę.

Anne, drżąc, odsunęła się od niego. Postanowił ją uspokoić. Okazało się, że nie mógł się bardziej pomylić co do oceny stanu, w jakim się znajdowała. Wybuchnęła śmiechem, który najwyraźniej cały czas tłumiała.

- Przyłapani jak para dzieciaków na Lovers Lane - wyrzuciła z siebie pomiędzy napadami chichotu.
- Boże, co bym dała za jej zdjęcie, kiedy mówiła: „Co ty, na miłość boską, wyprawiasz, Anne?” - drwiła, naśladując ton i mimikę matki.

William nie mógł się nie roześmiać. Bo skakał wokół nich, a oni aż się zataczali i w końcu opadli na wiklinową huśtawkę za sobą. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz czuł się tak dobrze. Tak bez troski. Anne przemówiła pierwsza:

- Mój wkład będzie nieoceniony? - Słyszając jej przekorny głos, odwrócił głowę w jej stronę i dostrzegł, jak koniuszkami języka przesunęła po zębach.

- Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

- Bardzo się zgorzysz, jeśli powiem, że na górze, w głównej sypialni? - odpowiedział pytaniem.

- A ty bardzo się zgorzysz, jeśli powiem, że to bardzo kusząca propozycja?

Przysięgłby, że na jedno mgnienie serce przestało bić mu w piersi. Musi postawić sprawę absolutnie jasno.

- Powiedziałaś, że wczoraj mnie prowokowałaś.
- Nie chciałam, ale byłam skołowana.
- A teraz też jesteś skołowana?

Anne milczała. Williamowi zdawało się, że trwa to całą wieczność.

- Nie tak bardzo - wyznała w końcu.
- Czyli jak?
- Trochę. Mam sobie pójść?
- Ani mi się waży. - Chwycił ją wpół i przytrzymał.
- Trochę jest jeszcze do zaakceptowania. No, zabierzmy psa na spacer. Estelle mi przykazała, żebym potem zaprosił cię na śniadanie.
- A co dalej?

Spojrzał na nią i odpowiedział:

- Potem postaram się zredukować twoją trochę do wcale.

- Nie spodziewaj się, że ci się uda. Droga jest najeżona trudnościami.

- Pocieszysz mnie, jeśli zrobię sobie kuku? Podrzesz halkę na szarpie i opatrzysz mi rany?

- Najwyżej przytrzymam Bo, żeby cię nie lizał. Ostami raz miałam na sobie halkę na balu debiutantek.

- Jak to, panienko Anne? - spytał. - Chyba jednak jestem zgorszony.

Zniecierpliwiony labrador pociągnął za smycz. Tym razem już się nie opierali i zaśmiewając się, ruszyli za nim.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Śniadanie z Williamem było czystą przyjemnością, chociaż bardzo kaloryczną. Anne zastanawiała się, jak przy takich ilościach przepysznego jedzenia udaje mu się zachować szczupłą sylwetkę.

- Estelle jest czarodziejką - wyjaśnił jej William.
- Nawet nie zgadniesz, jak mało tłuszczu i kalorii jest w tej grzance. - Kiedy skończyli, rzekł z żalem: - Obawiam się, że mam zebranie, w którym muszę uczestniczyć.

- A co z moim nieocenionym wkładem? - zażartowała i wymownie spojrzała w kierunku schodów.

- Dobijasz mnie, ale naprawdę nie da się tego odwołać. - Dla większego efektu uderzył pięścią w pierś.

- Sądziłam, że jestem jedyna i wyjątkowa.

- Bo jesteś.

- Cóż... Ja też mam spotkanie. Z matką.

- Hm, może mógłbym się trochę spóźnić i pójść tam z tobą w charakterze ochroniarza? - zaproponował.

- Byłoby mi bardzo miło, ale nie... Sama muszę załatwić tę sprawę.

- Nie lubię, jak inni ponoszą karę za moje występki.

- O ile pamiętam, to ja pierwsza ciebie pocałowałam.

Oczy mu rozbłysły.

- W niedługiej przyszłości jeszcze ci za to podziękuję. Mówię serio - dodał - gdybyś poprosiła, poszedłbym.

Uśmiechnęła się i przyłożyła mu dłoń do policzka.

- Wierzę. Ale to niepotrzebne. Nie boję się mojej matki.

- Mówiłem ci, że jesteś wyjątkowa? Połowa Nowego Orleanu drży przed Celeste. Ta druga połowa po prostu się z nią nie zetknęła.

Anne roześmiała się. Ze zdziwieniem pomyślała, że bardzo dawno tyle się nie śmiała w ciągu jednego dnia.

- Założę się, że mama wciąż ma cię za królewicza z bajki.

- Nie miej mi tego za złe.

Wstała i cmoknęła go w policzek.

- Nie mam. Dobrego dnia.

- Zaczekaj! - Chwycił ją wpół i przyciągnął do siebie. - Jeszcze się nie umówiliśmy. Wiem, że większość dnia spędzasz w hotelu, ja też jestem zajęty, ale może spotkamy się wieczorem?

- Czyżbyś chciał umówić się ze mną na randkę?

- Przyznam, że nie lubię tego słowa. Możesz odmówić. Raz już tak zrobiłaś.

Wyrwała mu się, zdumiona, ile przyjemności sprawia jej ten flirt.

- Założymy się? - rzuciła przez ramię.

- Przyjadę po ciebie o siódmej trzydzieści.

- Jak mam się ubrać?

- Czy strój Ewy wchodzi w rachubę?
- Williamie! - wykrzyknęła i spłoszona spojrzała w stronę kuchni. - Estelle - syknęła.
- Estelle cię lubi. Uważa za prawdziwą damę.
- Jeśli nie przestaniesz, zmieni zdanie.
- Uważa także, że jesteś dla mnie odpowiednią partnerką. Nie będzie zgłaszała żadnych zastrzeżeń do mojego zachowania.

Czasami jego beczelność odbierała jej mowę. Ale jest taki cudowny. I taki zabawny.

- Nie mieszka tutaj? - upewniła się.

Nawet z tej odległości mogła zobaczyć, jak oczy mu pociemniały na myśl o tym, do czego to pytanie zmierza.

- Nie. I może dostać mnóstwo dni wolnych, jeśli to dla ciebie takie ważne.

- Chybabyś żałował. Ja nie potrafię gotować.

Krokiem pantery polującej na ofiarę zaczął się skradać w jej kierunku.

- Mam telefon, portfel i cały personel hotelowej restauracji na skinienie ręki.

Anne cofnęła się.

- Nie wybiegajmy za bardzo myślą w przyszłość.
- Więc lepiej zmykaj, dziewczyno, bo nie odpowiadam za siebie. - Jego głos nabrał niskich tonów, a wzrok stał się bardzo sugestywny.

- Nie przestraszysz mnie... Och!

William porwał ją w ramiona, przycisnął do siebie i uciszył pocałunkiem.

- Ubierz się szafowo - rzucił tak lekko i swobodnie, że pomyślała, iż reakcja jego ciała na jej ciało jest

wytworem jej wyobraźni. Wzięła głęboki oddech. Pochylił głowę i oparł się czołem o jej czoło. - Hm...

- Cóż... W takim razie powinnam już chyba...

Uśmiechnął się do niej.

- Ja też.

- Mogę tutaj zostawić samochód?

- Tę smakowitą czerwoną corvette? - Pokręcił głową. - Pokusa dla złodzieja.

Anne zarumieniła się.

- Należała do Remy'ego. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby ją sprzedać, więc kiedy zrobiło się ciężko, pozbyłam się własnego samochodu. Wiem, że jest zbyt młodziężowa...

- Mamy tyle lat, na ile się czujemy. Ja w tej chwili czuję się jak szesnastolatek. Oczywiście, że zostaw ją tutaj, albo wprowadź na podjazd. Zaraz przestawię swój samochód.

- Nie, nie. Nie zabawię tam długo. Mam nadzieję - dodała. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie ma ochoty wychodzić. - Pożegnasz ode mnie Estelle? I podziękuj jej za przepyszne śniadanie.

- Nie omieszkam. - Wziął ją za rękę. - To będzie długi dzień - powiedział.

Cofnęła się tanecznym krokiem.

- Nie dotykaj mnie! Jesteś zbyt niebezpieczny.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie tylko ja.

Odwróciła się na pięcie, zanim uległa impulsowi, żeby jeszcze chwilę zostać. Oboje mają obowiązki. Uświadomiła sobie, że przy Williamie całkiem zapomniała o kłopotach z hotelem.

- Anne! Zaczekaj!
- Zatrzymała się z ręką na klamce.
- Dziękuję za to, że przyszedłeś tu dziś rano - rzekł.
- Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.
- Obejrzała się przez ramię.
- Pracuję nad sobą.
- Dobrego dnia. I zadzwoń, gdybyś potrzebowała pomocy u Celeste.
- Jęknęła głucho.
- Nawet mi nie mów. Dobrego dnia i do wieczora.
- Będę liczył godziny.
- Ja też, pomyślała, schodząc ze schodów.

Anne przeszła krótki odcinek dzielący dom Williama od domu jej matki wciąż oszołomiona wydarzeniami poranka. Żadne uwagi Celeste nie mogły ją wstrząsnąć bardziej niż własne zachowanie.

I bardziej niż reakcja Williama.

Dotknęła warg i uśmiechnęła się. Były pobudzone, wciąż odrobinę drżące, jakkolwiek absurdalnie to brzmi. Trzeba przyznać, że William potrafi całować. Jego dłonie też potrafią pieścić. Należy do mężczyzn pewnych swoich umiejętności, świadomych, kim są i co w życiu osiągnęli.

I uważa, że ona jest wyjątkowa.

Może ma sześćdziesiąt dwa lata i jest babką, ale w tej chwili czuła lekki zawrót głowy.

Pchnęła furtkę posiadłości Celeste i euforia natychmiast ją opuściła.

Nie bądź śmieszna, skarciła się w duchu, idąc do drzwi frontowych. Już dawno temu nauczyła się

dawać sobie radę z matką lepiej niż ktokolwiek inny, jeśli to w ogóle jest możliwe. Ojciec wybrał drogę najmniejszego oporu wobec apodyktycznej, zadufanej w siebie żony, a Pierre, jego syn, drogo za to zapłacił. Jako dziecko był uroczy, natomiast jako nastolatek przysparzał samych kłopotów. Celeste była tak zdecydowana sprowadzić go na właściwą drogę, że traktowała go bardzo surowo.

Anne spędziła dzieciństwo, ochraniając ukochanego młodszego brata. Była posłuszna matce i to zapewniało im obojgu odrobinę spokoju. Była wzorem kreolskiej księżniczki, a po oficjalnym wprowadzeniu w świat została królową karnawału podczas Mardi Gras.

Jako młoda dziewczyna marzyła o wyjeździe do Paryża i zamieszkaniu na jakiejś mansardzie. O życiu niedojadającego artysty. O wycieczkach do Florencji po strawę duchową i o wspaniałych dziełach, jakie dzięki temu namaluje. Miała talent, i to nie-mały.

Niestety ojciec zmarł, kiedy miała siedemnaście lat. Kilka lat później młodszy brat, Pierre, opuścił dom i słuch po nim zaginął. Matka została sama. Anne próbowała być dla niej podporą, lecz właśnie wtedy poznała i poślubiła Remy'ego Marchanda. Nie spełniła ani własnych marzeń, ani oczekiwań matki.

Poza Remyem nic się dla niej nie liczyło.

Pierwsze lata były ciężkie, nie tylko z powodu wysiłków, by stanąć na nogi, ale z powodu oziębienia stosunków pomiędzy nią a matką. Miesiącami ze sobą nie rozmawiały. Nie wiadomo, jak długo taki stan

rzeczy by trwał, gdyby nie pojawienie się na świecie Charlotte.

Kiedy urodziła się pierwsza wnuczka, skorupa, jaką otoczyła się Celeste, skruszała niczym stary ceglany mur. Matka i córka pogodziły się. Anne nigdy nie lubiła zbyt długo chować do kogoś urazy, podczas gdy Celeste potrafiła gniewać się na kogoś całe życie.

Celeste miała odtąd stałe miejsce w ich życiu i z entuzjazmem witała narodziny kolejnych wnuczek. Anne nie umiała powiedzieć, czy kiedykolwiek myślała o zaginionym synu. Może była zbyt zajęta wtrącaniem się w życie Marchandów i kształtowaniem, nie zawsze z aprobatą rodziców, dziewczynek na własną modłę? To, że Celeste i Remy jakoś się ze sobą zgadzali, należy zapisać na plus raczej jemu, chociaż teściowa starała się unikać konfliktów z mężczyzną, dzięki któremu miała wnuczki i nowe marzenia o uczynieniu z nich kreolskich księżniczek.

Anne niezliczone razy wstawiała się za córkami, gdy *grand-mere* zbyt chciała sterować ich życiem. Wymagało to hartu ducha i dużych zdolności dyplomatycznych.

Teraz też da sobie radę, chociaż nie będzie łatwo.

Kiedy tylko podniosła rękę do wypolerowanej jak zwykle staroświeckiej kołatki, drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie.

- Słyszę, że nabroiłaś - powitała ją Renee, a jej niebieskie oczy aż błyszczały od tłumionej wesołości.

- Dzięki Bogu, że przyszłaś mi z odsieczą - wykrzyknęła Anne i serdecznie objęła córkę. - Ale

będziesz mogła uciec, zanim babcia zacznie na mnie krzyczeć.

- Żartujesz! Za żadne skarby nie przepuszczę takiego widowiska! - Renee znakomicie się bawiła.

- Nie przeciągaj struny, *doucette*. Doskonale wiesz, jak łatwo się narazić babce. Dopiero niedawno dopuściła cię znowu do łask. Jeszcze może zmienić zdanie.

- Nie boję się o to. Wystarczy, że wypowiem słowo ślub, i od razu zyskam status najukochańszej wnuczki.

- Pod warunkiem, że nie uciekniesz potajemnie z Pete'em i że zgodzisz się na wesele na co najmniej pięćset osób.

Renee skrzywiła się.

- Wiesz, że stoisz na straconych pozycjach, mamo?

- Przeciwnie... - Anne przystanęła przed drzwiami do salonu i poklepała córkę po policzku. - Przeciwnie - powtórzyła. - Czuję się, jak gdyby spotkało mnie wielkie szczęście.

- Mamo! - Oczy Renee zrobiły się okrągłe i Anne nie mogła się powstrzymać od śmiechu. - Dobrze, zostaną w charakterze bufora, ale jak tylko się stąd wydostaniemy, musisz mi o wszystkim opowiedzieć z detalami.

- Och, *chere*. - Anne uścisnęła córkę. - Tak się cieszę, że jesteś tutaj z nami. Wiem, że ty i Pete niedługo musicie wracać do Los Angeles, ale...

Renee wyswobodziła się z jej objęć.

- Nie musimy.

- Co takiego?
- Jako ważny dyrektor Pete dużo podróżuje, ale rozumie, że teraz musimy zewrzeć szyki, żeby zadbać o przyszłość hotelu, i twierdzi, że może urządzić sobie bazę w Nowym Orleanie.

Łzy zaszczypały Anne pod powiekami.

- Och, *bebe*. Nie śmiałabym prosić...

Renee pocałowała ją w policzek,

- Wiem. Nie musisz, mamu. Kochamy cię. Wszyscy. Podziwiamy za to, jak dzielnie sobie radziłaś po śmierci papy. Chcemy cię wspierać.

- W takim razie spotyka mnie dziś podwójne szczęście. Czuję się wybranką losu.

- To ty, Anne? - Za drzwiami zabrzmiał głos Celeste.

Anne westchnęła i poruszyła ramionami niczym bokser przed walką.

- *Oui, mere*.

- Będę cię ubezpieczać - szepnęła Renee i ścisnęła ją za rękę. - I pamiętaj, biegamy szybciej od niej.

Tłumiąc chichot, Anne nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Natychmiast po wyjściu Anne, William udał się do miasta. Wczoraj wieczorem wysłał e-maila do Juda Lawsona, adwokata, który pełnił rolę powiernika w sprawie kupna Hotelu Marchand, z prośbą, aby spotkał się z nim w najbliższym możliwym terminie. Z samego rana otrzymał odpowiedź, że Jud odłożył wszystkie inne sprawy i jest do dyspozycji, kiedy tylko William się pojawi.

Bycie człowiekiem wpływowym wiąże się z przywilejami i William nie wahał się z nich korzystać, gdy zaistniała potrzeba, a teraz właśnie tak było. Desperacja w głosie Anne, kiedy wczoraj opowiadała o ultimatum, jakie otrzymała Charlotte, bardzo go zmartwiła. Doskonale wiedział, że Anne nie chce sprzedawać hotelu, wiedział również, że nie będzie ryzykować finansowego zabezpieczenia córek i raczej poświęci marzenie Remy'ego. Swoje marzenie. Domyślał się, że oboje z mężem pragnęli, jak wszyscy rodzice, jak najlepiej zadbać o przyszłość dzieci. Anne udowodniła, że gotowa jest podejmować ryzyko na własny rachunek, lecz wątpił, czy tak samo postąpiłaby, gdyby chodziło o jej córki. Jeśli przyszłość hotelu będzie przesadzona, odrzuci marzenia i zainkasuje tyle pieniędzy, ile zdoła wycisnąć z kupca.

Zasługuje na coś lepszego. Gdyby dostała drugą ofertę, godziwą, bez ultimatum, możliwe, że zyskałaby swobodę manewru, a niewykluczone, że w tym czasie sytuacja uległaby poprawie. Razem z córkami ciężko harowała, by wyprowadzić hotel na prostą, a on nigdy nie podstawiałby jej nogi.

Dodatkowo korzystali z usług tych samych firm dostawczych, więc mógłby wstawić się za nią, aby dali jej korzystniejsze warunki lub zgodzili się na przedłużoną spłatę, a oni na pewno pójdą jej na rękę.

Będzie musiał zachować dyskrecję, aby nie wywołać lawiny pytań. Za żadną cenę nie chciałby postawić Anne w kłopotliwej sytuacji. Nie chciałby, by zaczęto mówić, że chce ją kupić.

Psiakrew! Czy ta kobieta nie może po prostu przy-

jąc od niego pożyczki? Nie musiałyby wówczas uciekać się do żadnych wybiegów.

Oczywiście to, co ich łączy, nie ma nic wspólnego z interesami. I wcale nie jest proste.

Judith go przejrzała. Gdyby chodziło o każdy inny hotel, natychmiast i bez skrupułów wykorzystałby okazję. Dzięki znakomitemu wyczuciu chwili i znajomości praw rynku zbudował sieć hoteli, kierując się zasadą minimalnych nakładów i maksymalnych zysków.

Nigdy by nie uwierzył, że nadejdzie dzień, kiedy uczyni coś równie bezsensownego jak złożenie tej absurdalnej oferty.

Jeszcze mniej by uwierzył, że tak dobrze będzie się przy tym bawił. Albowiem ta kobieta doprowadza go do szaleństwa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Corbin - wychrypiął głos - zegar tyka. Zostało ci jeszcze dziesięć dni.

- Dostaniesz swój hotel - zapewnił Dan Corbin.

- I nasz dług zostanie spłacony.

- Ewentualnie.

Ewentualnie? Ciesz się, że nie rozmawiasz z Richardem, bo bluznęłyby przekleństwami i zagroził rewolwérem.

- Umowa była jasna - przypomniał Dan. - W zamian za forszę na wykup naszego domu w Lafayette przekażemy ci Hotel Marchand, jak tylko dostaniemy go w swoje ręce. Zaczepisz się w Dzielnicy Francuskiej, pod szacownym szyldem rozkręcisz swój hazard, a w kilku pokojach zainstalujesz luksusowe dziwki. Wszyscy będą zadowoleni.

- Ten twój chłopak za słabo się stara.

Dan miał zastrzeżenia do Luca Cartera, lecz nie zamierzał ujawniać się z nimi przed tym człowiekiem.

- Wynikły pewne komplikacje.

- Nie wywiązał się z umowy.

- Mają za mało rezerwacji. To dla nich szczyt sezonu, a jednak mają luzy. Tracą grunt pod nogami. Wiedzą, że się nie utrzymają. Przycisnąłem ich trochę. Stara zmięknie.

- Nie, jeśli Regency Corporation wkroczy do akcji. Regency Corporation? O cholera!
- Nie wkroczy - zablokował. - Oni nie interesują się takimi hotelami.
- Anne Marchand ostatnio często spotyka się z Armstrongiem - poinformował mężczyzna i po chwili dodał: - Nie wiedziałeś o tym?

Dan zaklął w duchu.

- Oczywiście, że wiedziałem - skłamał. - Armstrong i jej mąż się nienawidzili.

Dlaczego Carter zataił to przede mną?

- To dlaczego zjadła z nim wczoraj kolację? A dziś rano widziano, jak się całowali.

Ten drań wynajął kogoś, kto śledzi dla niego Anne Marchand, kto patrzy jemu, Danowi, przez ramię!"

Wściekłością nic tu się nie zdięła, pomyślał, tylko spokojem.

- Zwiększę tempo. Myślę, że niewielki pożar by je dobił.

Usiłował połączyć się już wcześniej z Carterem, ale gówniarz nie odpowiadał.

- Nie życzę sobie żadnych szkód.
- Jeśli się dobrze wszystko zrobi, szkody będą minimalne, za to kasa, na jaką liczą te baby, nie wpłynie.
- Komu to zlecisz?
- Mam dwóch takich, co się na tym znają.
- Moi ludzie robią to lepiej. Ricky i Hank skontaktują się z tobą.

Dan poczuł się osaczony. Przeklinał Richarda za roztrwonienie pieniędzy. Jak tylko upora się z tą sprawą, zacznie działać w pojedynkę, postanowił. Tym-

czasem jednak nie wolno mu tracić głowy. Musi jakoś wyplątać się z kłopotów.

- Świetnie. Dzięki.

- Nie dziękuj. Zdobądź dla mnie hotel albo forszę. Aha, odsetki wzrosły. Dziesięć procent.

Dan kciukiem i palcem wskazującym mocno ścisnął nasadę nosa.

- Nie będziesz potrzebował odsetek. Przed końcem karnawału Marchand będzie mój, a zaraz potem twój.

- O ile do tego czasu nie załapiesz się na ekstra-dycję, głupku. Razem z braciszkiem popełniliście niewybaczalny błąd, którego skutki już zawsze będą się za wami ciągnąć.

Dan zacisnął zęby. Ty pieprzony draniu!

- Mianowicie? - wysyczał.

- Nie wiecie, kiedy się wycofać. Zrobiliście się za bardzo chciwi.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy.

No tak, ale on jest już zmęczony ukrywaniem się.

- Ja wiem. - Blount zaśmiał się nieprzyjemnie. - Żaden problem was zakablować.

- Nie zrobisz tego. Potrzebujesz mnie.

- Do czasu.

Rozmowa została przerwana.

Telefon Luca zaczął wibrować mu w kieszeni. Zignorował to. Właśnie zajęty był pocieszaniem zrozpaczonej klientki hotelu, której bagaż zaginął podczas podróży do Nowego Orleanu, a która koniecznie potrzebowała eleganckiej sukni na superważną kolację już dziś wieczorem.

- Monique się panią zajmie, pani Davis - zapewniał. - W jej butikubierają się największe elegantki Nowego Orleanu - dodał i zaczął wystukiwać numer „A Private Affair”.

- Ale na moją figurę nic nie pasuje, zawsze trzeba zrobić jakieś poprawki, a kolacja jest już za trzy godziny - jęczała kobieta. Oczy miała czerwone od płaczu.

- Frank, mój mąż, radził mi zabrać tylko bagaż podręczny, ale ja się bałam, że do małej walizki nie zmieści się wszystko, co potrzeba. Ta kolacja jest dla niego bardzo ważna.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją Luc swoim aksamitnym głosem. - Monique? Tu Luc Carter z Hotelu Marchand - przedstawił się i zrelacjonował, o co chodzi, od czasu do czasu zwracając się do zdeperowanej pani Davis z jakąś uspokajającą uwagą.

Komórka znowu zaczęła wibrować. Sięgnął do kieszeni, żeby przerwać połączenie.

Zaczynał się przedostatkowy obłęd. Z dnia na dzień będzie coraz gorzej, pomyślał. Ta praca, nawet bez dodatkowych nacisków ze strony obu Corbinów, jest straszliwie wyczerpująca.

Zmarszczył czoło, a pani Davis natychmiast na nowo wybuchnęła płaczem.

- Nie udało się? Wiedziałam - załkała.

- Nie, nie. Wszystko załatwione - zapewnił ją, a zwracając się do Monique, dodał: - Za dwadzieścia minut? Znakomicie.

Zakończył rozmowę i zajął się panią Davis, chociaż komórka cały czas wibrowała mu w kieszeni.

- Proszę udać się teraz do swojego pokoju, a Mo-

niąque zjawi się u pani w ciągu dwudziestu minut
Przywiezie kilka kreacji do wyboru.

Pani Davis zrobiła taką minę, jak gdyby zobaczyła
Świętego Mikołaja.

- Naprawdę? - Nagle znowu posmutniała. - A jeśli
nic nie będzie na mnie dobre?

- Monique jest znakomitą krawcową, poza tym
przyprowdzi asystentkę. Obiecuje, że ubierze panią
na tę uroczystość tak, że wszyscy oniemiają. Jeśli mąż
nie dostanie awansu, to nie z powodu pani niewłaś-
ciwego stroju.

Pani Davis rzuciła mu się z wdzięcznością na szyję
i go wyciskała.

- Nie wiem, co bym bez pana zrobiła! - zawołała
i ucałowała go w policzek, potem znowu zalała się
łzami.

Luc pocieszającym gestem poklepał ją po plecach
i uwolnił się z objęć. Ujmując jej rękę, dodał:

- Hotel Marchand dumny jest z tego, jak traktuje-
my swoich gości. To zaszczyt móc pani pomóc. - Pod-
dał kobiecie śnieżnobiałą chusteczkę, których zapas na
wszelki wypadek zawsze miał pod ręką. - Czy nie
miałyby pani ochoty na chwilę relaksu, kiedy już

Monique

pani masażystkę.

To Anne Marchand wpadła na pomysł, aby zatrud-
nić masażystkę, która przydawała się właśnie w takich
podbramkowych sytuacjach.

- Och, wprost słów nie mam... Jest pan cudowny.
Jest pan żonaty? Bo wie pan, mam uroczą córkę...

- Na pewno jest uroczą. Skoro ma taką matkę.

- Nie przestając prawić pani Davis komplementów, Luc doprowadził ją do windy. - Życzę dobrej zabawy - rzekł na koniec, zanim drzwi kabiny się zasunęły.

Odwrócił się i natknął na Anne Marchand.

- Jeśli zdecydujesz się ożenić z córką pani Davis, musisz mi jedną rzecz obiecać - zażartowała, chociaż w jej oczach dostrzegł cię smutku. - Że sprowadzisz ją tutaj. Potrzebujemy cię - dodała. - Cały personel musi połączyć wysiłki, żeby ratować hotel.

Właśnie w tej chwili telefon Luca znowu zawibrował. Luc miał ochotę cisnąć nim o ziemię.

- To dla mnie zaszczyt tu pracować i należeć do personelu - odparł całkiem szczerze. Jakoś jej to wynagrodzi.

- Do rodziny - poprawiła go.

Anne nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła, ani z tego, że jej słowa padają jak krople deszczu na wysuszony, spragniony wody grunt.

- Rodziny - powtórzył i uśmiechnął się do niej. Chciał jakoś dodać jej otuchy, tchnąć w nią nadzieję. - Damy sobie radę - stwierdził. - To, co pani zbudowała, będzie należało do pani wnuków i prawnuków.

Jeśli do tej pory czuł się źle, teraz, na widok łez napływających ciotce do oczu, poczuł się jeszcze gorzej.

Anne dotknęła jego ramienia i oznajmiła:

- Moje dziewczęta cię potrzebują, Luc. Dziękuję, że jesteś z nami.

Spojrzała na niego ciepło, i znowu smutek pojawił się w jej oczach.

- Czy coś się stało? - odważył się zapytać.

- Nie, nic takiego. - Potrząsnęła głową, roześmiała się i dodała: - Przez moment wydawało mi się, że przypominasz mi kogoś, kogo bardzo dawno nie widziałam, ale nadal kocham.

Zmarszczył brwi.

- Kogo?

Anne przygryzła dolną wargę, milczała chwilę, zanim odpowiedziała:

- Mojego brata.

Serce w piersi mu zamarło.

- Nie wiedziałem, że pani ma brata - wybąkał.

- Nawet nie wiem, czy mam, czy może miałam. Wiele lat temu odszedł od nas, ale ja wciąż za nim tęsknię. - Kciukiem i palcem wskazującym ścisnęła nasadę nosa. - Przepraszam. Nie powinnam... No, już dobrze.

Luc chciał przedłużyć tę rozmowę, lecz to nie było ani odpowiednie miejsce, ani pora.

Znienawidziłaby go, gdyby poznała prawdę.

Sam zaczynał siebie nienawidzić.

Odprowadził ją wzrokiem. Kocha brata. Tęskni za nim.

Wybacz, chciał powiedzieć. Wynagrodzę ci to. Przysięgam.

Telefon znowu zawibrował.

Luc zacisnął zęby i wyszarpnął komórkę z kieszeni.

- Carter.

- Gdzie ty się, do cholery, podziewasz? - wrzasnął Dan Corbin.— Dlaczego nie odbierałeś?

Luc ugryzł się w język, by nie odpowiedzieć tak, by mu poszło w pięty.

- Jestem w pracy - wyjaśnił.
- Do diabła z pracą. Pracujesz dla mnie!

Mam cię gdzieś.

- Staram się, jak mogę.
- To nie wystarczy.

W głosie Corbina brzmiała wściekłość.

- Coś nie tak?
- Nie tak? On się jeszcze pyta! - Corbin krzycał coraz głośniej. - Do końca karnawału zostało dziesięć dni, a ta suka nie mięknie. Czas ją przycisnąć.

- Jak?
- Musisz znaleźć najlepsze miejsce, gdzie podłożyć ogień.

Zimny dreszcz przeszedł Lucowi po plecach.

- Chyba nie mówisz serio.
- Przeciwnie. Bardzo serio.
- Ktoś mógłby zginać. Tutaj budynki stoją jeden przy drugim. Sytuacja mogłaby wymknąć się spod kontroli. Dlaczego chcesz zniszczyć hotel? To przecież będzie ze szkodą dla ciebie.

- Nie pytam o twoje zdanie. Poza tym mam speców od takich spraw. Nie chcemy żadnych poważnych szkód, chcemy tylko zwiększyć presję. Trochę dymu, parę osób z personelu poparzonych, trochę rezerwacji odwołanych, no i trzeba będzie zamknąć interes w samym środku sezonu.

- Ale kiedy przejmiesz hotel, będziesz musiał na nowo zabiegać o zaufanie klientów. Po co ci to?
- Nie kwestionuj poleceń. Wykonuj je, Carter, bo...
- Bo co?

- Nie sprawdzasz się, znaczy nie jesteś nam potrzebny. Zrozumiano?

Groźba była jednoznaczna. Luc nigdy w życiu nie znalazł się w podobnej sytuacji. Przez chwilę miał ochotę uciec stąd jak najdalej. Wszędzie znalazłby pracę. Ale tutaj jest jego ciotka. Siostry cioteczne. Rodzina. Nie ma wyboru. Musi zostać i czuwać. Będzie się dwoił i troił, postara się być wszędzie. Przez cały czas. Chryste! To przecież niemożliwe...

- Jesteś tam, Carter? Daję ci jeden dzień na wybranie miejsca, gdzie podłożyć ogień, potem wysyłam ekipę. Znają się nie tylko na podpaleniach.

Groźba była jednoznaczna. Albo robi, co mu każą, albo go załatwią.

Gdyby tylko mógł z kimś porozmawiać. Zrobić burzę mózgów.

Boże, tato! W co ja się wpakowałem!

Musi zyskać na czasie, żeby to. wszystko przemyśleć, ale czasu miał mało. Bardzo mało.

- Słyszę, co do mnie mówisz.

- To dobrze.

Rozmowa została zakończona.

William opuścił biuro Juda Lawsons zadowolony z projektu oferty, jaki wspólnie ułożyli. Jud zapewnił go, że do południa jego pracownicy przygotowują komplet dokumentów i że osobiście uda się z nimi do Charlotte Marchand.

W głębi serca William wolałby przedłożyć tę propozycję Anne, a nie Charlotte, i na dodatek zrobić to samemu, aby udowodnić, że gotów jest uczynić wszy-

stko, co konieczne, by zabezpieczyć jej przyszłość. Aby zyskać pewność, że Anne rozumie jego intencje.

Wiedział zresztą, że w najlepszym wypadku Anne, z uśmiechem pełnym politowania, podrze dokumenty na strzępy.

W najgorszym zerwie delikatną więź, jaka zaczęła się tworzyć między nimi, i już nigdy nie zechce się z nim spotkać.

Jednakże lepszego wyjścia nie ma. Zawsze może się wszystkiego wyprzeć, gdyby Anne i Charlotte przyjęły ofertę, a hotel stanął na nogi. Albo przepisać hotel z powrotem na nią, gdyby ułożyli sobie wspólnie życie, lecz nie chcieli być partnerami w interesach.

Tymczasem oferta będzie służyć za wyjście awaryjne, co doda Anne otuchy.

A ponieważ ofertę przedłoży Jud jako pełnomocnik, związek z Williamem nie zostanie ujawniony. Dzięki temu William pozostanie powiernikiem Anne. Będzie przy niej, będzie wtajemniczony w jej zamiary. W razie czego będzie mógł interweniować.

Zaparkował samochód przed biurem. Od tygodni, co tam, od miesięcy, nie czuł się tak lekko na duszy. Nie należał do ludzi, którym służy beczynność. Może zaproponowane rozwiązanie nie jest idealne, ale biorąc pod uwagę upór i dumę Anne, jest najlepsze, jakie zdołał wymyślić. Nie może po prostu stać z boku, przyglądać się, jak walczy o przetrwanie, i nie kiwnąć palcem. Już raz trafiła do szpitala z atakiem serca spowodowanym przepracowaniem i zmartwieniami.

Jest dla niego zbyt ważna, nie będzie ryzykować jej Utraty. Na chwilę wrócił myślami do kobiety, która

dziś rano przywitała go na jego ganku z oczami przepęnlionymi lękiem, zdenerwowana, a jednak pragnąca go przeprosić.

A potem śmiała się z nim, przekomarzała, kusiła...

Zrozumiał, że go zauroczyła. Zrozumiał, że jest w niej do szaleństwa zakochany.

Z uśmiechem samozadowolenia na ustach wysiadł z windy.

- Tato! - usłyszał za sobą głos Judith.

- Jak się masz? - rzekł, odwracając się.

- Hej! Skąd ten błysk w twoim oku? - spytała i natychmiast się zachmurzyła. - Łatwo się domyślić - dodała.

William stłumił westchnienie. Marzenia dostarczają zdecydowanie więcej przyjemności niż życie na jawie.

- Co u ciebie nowego?

Judith rozpromieniła się i pomachała plikiem papierów.

- To dla ciebie. Pracowaliśmy z Glenem do późna.

Wziął od niej dokumenty.

- Co to? - spytał, chociaż obawiał się, że zna odpowiedź.

Radość Judith przygasła, lecz wciąż stała przed nim - wysoka i wyprostowana, nieodrodna córka swego ojca.

- To zarys oferty kupna Hotelu Marchand.

- Kochanie, ja...

- Obiecałeś rzucić na to okiem - nie pozwoliła mu dokończyć. - Propozycja jest bardzo sensowna i korzystna dla Regency.

Uznał, że nieuprzejmie by było tak z miejsca ją odrzucić.

- Dobrze - odparł, chcąc zyskać na czasie. - Chociaż raczej nie dzisiaj. Mam mnóstwo spotkań.

Na twarzy Judith odmalowało się rozczarowanie.

- W takim razie zrób to jutro. Ale może jednak wygospodarujesz chwilę jeszcze dzisiaj? Może wieczorem?

Wieczorem spotykam się z Anne, ale to nie jest najlepsza wiadomość dla Judith. Żal mu się zrobiło poturbowanej przez los córki, usiłującej zacząć nowe życie. Zasłużyć na jego uznanie. To nie jej wina, że zabrała się do czegoś, co samo w sobie kryło zarzewie konfliktu.

Uśmiechnął się do niej i rzekł:

- Ciężko się nad tym napracowałam.

- Nie boję się ciężkiej pracy, tato. Dałeś mi najlepszy przykład, co można dzięki niej osiągnąć.

Williamowi przypomniały się czasy, kiedy jako uczennica pokazywała wzorowe świadectwa albo pytała: Przyjdiesz na moje przedstawienie bożonarodzeniowe?

Uświadomił sobie, że przez wszystkie lata, kiedy dorastała, jego przy niej nie było. Za to Isabel była przy niej zawsze.

A teraz Judith nie ma ani męża, ani dzieci, ani matki. Ma tylko jego.

- Obiecuję, że zajmę się tym w pierwszej wolnej chwili. - Nagle wpadł na genialny pomysł. - Kochanie, zastanawiam się, czy byłabyś zainteresowana nowym projektem, na którym bardzo mi zależy.

Zauważył, że przepełnia ją duma, iż darzy ją zaufaniem.

- O co chodzi?
- Możesz mnie zastąpić i pojechać do Dallas?
- Kiedy?
- Jutro, jeśli to możliwe. Najpóźniej pojutrze.
- Nie ma problemu. Co miałabym tam zrobić?

Ruchem głowy wskazał swój gabinet.

- Wejdzmy. Zaraz wprowadzę cię w sprawę.
- Spreżystym krokiem, jakiego od dawna u niej nie widział, ruszyła przodem. William wiedział, że jego głównym motywem jest chęć odwleczenia chwili, kiedy będzie musiał odrzucić propozycję, nad którą córka tyle się napracowała.

Jednocześnie musiał przyznać, że Judith coraz bardziej mu imponuje. Kiedy otrząśnie się po rozwodzie, stanie się wspaniałą kobietą. Jeśli zechce, powierzy kierowanie odziedziczonym po nim imperium komuś innemu, lecz byłby najszczęśliwszy, gdyby wzięła ster w swoje ręce.

- Kocham cię, córeczko - rzekł łagodnie.
- A ja ciebie, tato.

- Mama?

Anne szybko podniosła głowę, zaniepokojona nutą troski w głosie Charlotte.

- Dobrze się czujesz? - spytała szeptem, żeby nikt postronny jej nie usłyszał.

- Tak. Nie. - Charlotte potrząsnęła głową. - Masz chwilkę? Chciałabym z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, kochanie. - Anne zostawiła ser-

wetki, które właśnie składała, gawędząc z kelnerkami.

Dawno już odkryła, że więcej nauczy się o prowadzeniu hotelu od personelu na zapleczu niż z książek. Na dodatek jej obecność w „zamkniętych rewirach” bardzo podnosiła morale pracowników i wzmacniała ich motywację. Hotelowa poczta pantoflowa jest dla właściciela najcenniejszym źródłem informacji, a plotki rozprzestrzeniają się szybciej niż wirus komputerowy. Wiedziała, że ostatnie wydarzenia powodują niepokój wśród pracowników.

- Luisa, przepraszam, lecz obowiązek wzywa. Zobaczymy się później.

Ze wszystkich stron odezwały się głosy życzące jej miłego dnia. Anne pomachała dziewczynom ręką na pożegnanie i wyszła z Charlotte.

- Podziwiam cię, wiesz? - zaczęła Charlotte.

- Za co?

- Jesteś duszą i sercem tego hotelu. Sama robiłaś to wszystko, co teraz my we czwórkę, a do tego miałaś dom i nas. A ja jestem singlem, bez dzieci i...

Zamilkła. Wyglądała, jak gdyby miała zamiar się zaraz rozplakać, co było zupełnie do niej niepodobne.

- Jesteś przemęczona, córeczko. - W odpowiedzi Charlotte niecierpliwie potrząsnęła głową. - Chodźmy do mnie - zaproponowała Anne. - Usiądziesz, oprzesz wysoko nogi, a jak będziesz miała ochotę, to się wypłaczesz. - Słaby sprzeciw zawsze wewnętrznie pozbieranej najstarszej córki bardzo Anne zaniepokoił. W milczeniu doszły do jej apartamentu. - Usiądź,

doucette, zrobię nam herbatę - rzekła, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

- W poprzednim wcieleniu musiałaś być *une anglaise*, Mama - Charlotte usiłowała żartować. - Francuzi nie piją tyle herbaty.

- Wiem, że kawa utrzymuje cię przy życiu, ale ja potrafię parzyć tylko herbatę - odparła Anne, napełniając czajnik wodą.

- Pamiętam, jak tata usiłował nauczyć cię gotować - rzekła Charlotte i roześmiała się, tym razem szczerze.

Anne zapaliła gaz. Remy uparł się, że w prywatnym mieszkaniu musi mieć przynajmniej małą kuchenkę, chociaż na dole było wszystko, czego potrzebował.

- Tak, i jedynym powodem, dla którego nasze małżeństwo się nie rozpadło, było to, że ostatecznie sam się poddał. - Postawiła na tacy dzbanek i filiżanki i podeszła do córki. - O co chodzi, Charlotte? Świetnie się spisujesz, a twoja sytuacja jest zupełnie inna od mojej.

- Zbudowałaś ten hotel, Mama, kiedy wszyscy myśleli, że ci się nie uda. Jak możesz" porównywać mnie z sobą?

- *Exactement*. Nie mieliśmy wyjścia, mogliśmy tylko pisać się w górę, twój ojciec i ja. I nie zbudowałam tego hotelu sama. Miałam jego, byliśmy młodzi i...

- Ogarnęła ją fala wspomnień, lecz potrząsnęła głową i skupiła uwagę na córce. - Sytuacja była po prostu inna, to wszystko. Wrośliśmy w to miejsce. Utrzymanie się na zdobytej pozycji zawsze jest trudniejsze. Nawet bez tych dodatkowych kłopotów, które nas do-

tknęły. - Pochyliła się i poklepała Charlotte po kolanach. - Och, *bebe*. Tak mi przykro, że musisz dźwigać ten ciężar. Czuję się dobrze. Pozwól mi przejąć trochę z moich dawnych obowiązków.

- Żebyś mogła się czuć jeszcze mniej kompetentna, bo nawet z pomocą sióstr nie daję rady?

Anne zignorowała gwizdanie czajnika.

- Znakomicie dajesz sobie radę. Ty i twoje siostry zastąpiłyście pracowników, których my mieliśmy. - Ostrożnie dobierała słowa, pamiętając, że Charlotte nie znosi żadnych słabości u siebie i odrzuca wszelkie formy współczucia. - Naprawdę uważam, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś się wypłakała, ale skoro nie chcesz skorzystać z mojej rady... - Zamilkła, wstała i poszła wyłączyć gaz.

- Dostaliśmy nową ofertę.

Anne zastygła z ręką na gałce kuchenki.

- Co?

Zdjęła czajnik z palnika i zajęła się szykowaniem herbaty. Wyspała liście do dzbanka, zalała wrzątkiem.

- Te świny się wycofały czy znowu czymś grożą?
- Posłużyła się niepochlebnym określeniem, jakim ochrzciły wstrętnych braci Corbinów.

- Ani to, ani to. Chodzi o całkiem nową ofertę.

Anne rozumiała, dlaczego głos Charlotte brzmi tak beznamiętnie. Nowa oferta oznacza, że wiadomość o ich złej kondycji finansowej rozeszła się po mieście. Dlatego starała się, aby jej głos zabrzmiał naturalnie, kiedy zadawała następne pytanie:

- Od kogo?

- Nie wiem. Złożono ją przez powiernika.

- Czyli konkurencja. - Posłużenie się powiernikiem dla zachowania anonimowości było częstą praktyką gwarantującą przewagę, ponieważ sprzedający nie mógł zanalizować motywów ani negocjować warunków w oparciu o znajomość sytuacji kupującego, jego mocnych i słabych punktów. - Jak zła jest ta oferta?

- I tu jest cały problem. Oferta jest dobra. Nie nazbyt hojna, ale przyzwoita.

- Rozumiem. - Anne wzięła tacę i przyniosła ją do pokoju. - Aż tak dobra, że powinnyśmy ją przyjąć?

- Och, Mama. - Spojrzenie Charlotte było pełne bólu. - Nie wiem. - Uciekła wzrokiem w bok. - Ciągle się zastanawiam, co Papa by powiedział... - Zamilkła. Potem znowu spojrzała na Anne i łza pociekła jej po policzku. - Rozczarowałyby się, jeśli o mnie chodzi. Kiedyś mii obiecałam, że gdyby cokolwiek mu się stało, zaopiekuję się tobą. Teraz... - Zniechęcona machnęła tylko ręką.

Anne ze stukiem postawiła tacę na niskim stoliku do kawy, potem wzięła się pod boki i oznajmiła:

- Udusiłabym chyba tego faceta. Nie miał prawa obciążać cię taką odpowiedzialnością. Sama jestem zdolna zająć się...

Kochał cię, Mama. Całował ziemię, po której stapałaś.

To prawda.

- Uwielbiałam go - szepnęła. - Tak bardzo, że gdy zginął, czułam, jak gdyby serce wyrwano mi z piersi. Opowiedz mi wszystko ze szczegółami - poprosiła i nakryła dłoń Charlotte. - Przebrniemy przez to, obie-

cuję. Cokolwiek zdecydujemy, ojciec by to zaaprobował. Uwielbiał nie mniej jedną.

Charlotte pociągnęła nosem, potem przyjęła podaną chusteczkę. Wytarła nos i sięgnęła po filiżankę.

- Dobrze - zaczęła. - Dobrze. Więc oferta brzmi tak...

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

William wszedł do holu Hotelu Marchand i rozejrzał się dookoła, jak gdyby znalazł się tutaj po raz pierwszy w życiu.

- Dobry wieczór, panie Armstrong. Czy mam zawiadomić panią Marchand, że pan tu jest? - zapytał mężczyzna z recepcji.

Powitaniu nie można było nic zarzucić, było ciepłe i serdeczne, lecz stanowiło dla Williama wyraźny sygnał, że obserwują ich uważne oczy oraz że Anne jest skarbem, którego trzeba strzec.

Spojrzał na identyfikator z imieniem pracownika.

- Luc, czy tak?

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

- Luc Carter. Do usług.

Dzięki bardzo dokładnemu i wnikliwemu raportowi córki William zauważał i rejestrował szczegóły, których przedtem nie dostrzegał, mimo że był doświadczonym hotelarzem. Podczas ostatnich wizyt bowiem jego uwaga koncentrowała się na właścicielce, a nie na drobiazgach, które odróżniały dobry hotel od znakomitego.

Inteligentny, zaangażowany personel - sprawdzić.

Nienaganne pierwsze wrażenie - sprawdzić.

Rękę Anne widać było wszędzie, a szczególnie

w wystroju wnętrza - ścianach w kolorze ciepłego złota, ciekawym zestawieniu francuskich i hiszpańskich antyków z bardziej nowoczesnymi miękkimi kanapami i krzesłami obitymi tapicerką w beżowe i czerwone pasy. Bujna zieleń ozdabiała wnętrze i patio. Elegancja i dbałość o wygodę odzwierciedlały osobowość właścicielki.

Luc czekał cierpliwie w pozie wzorowego kamerdynera, gotów zaspokoić każdą najmniejszą zachciankę gościa, nawet jeśli miał na głowie mnóstwo innych spraw.

- Pani Marchand mnie oczekuje - poinformował William - ale jeśli procedury bezpieczeństwa wymagają, aby powiadomić ją telefonicznie, proszę robić, co do pana należy.

Luc uśmiechnął się i podniósł słuchawkę.

- Dziękuję, proszę pana. To tylko zwykła procedura.

William dostrzegł jednak na jego twarzy cień zaniepokojenia. Biorąc pod uwagę serię dziwnych wypadków, jakie niedawno przydarzyły się w hotelu, mógł jedynie pochwalić czujność personelu.

- Oczywiście - przyznał.

Po krótkiej wymianie zdań z Anne, Luc odłożył słuchawkę na widełki i rzekł:

- Pani Marchand zaprasza na górę. I - dodał z błyskiem w oczach - poleciła, żebym w przyszłości nie trudził pana procedurami. Życzę przyjemnego wieczoru.

William zasalutował mu na pożegnanie ręką, w której trzymał bukiet bzu tego dnia specjalnie sprowadzony samolotem.

- Dziękuję.
- Luc! - zawołała nagle dama pod pięćdziesiątkę o rubensowskich kształtach. Puściła ramię swojego partnera i wykonała taneczny piruet. - Widzi pan, co wyczarowała Monique?
- Wygląda pani zjawiskowo, pani Davis. - Luc Carter ujął jej dłoń i zgiął się w niskim ukłonie.
- Frank, to jest ten młody człowiek, o którym ci opowiadałam - pani Davis zwróciła się do męża.
- Ten, który mnie wyratował z opresji. Mój mąż - ciągnęła, znowu zwracając się do Luca - dostał dzisiaj propozycję awansu. Idziemy właśnie uczcić to z jego nowym szefem, a mój bagaż wciąż jeszcze nie dotarł. Jest pan aniołem, Luc. Absolutnie.
- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł Luc
- Proszę przyjąć moje gratulacje, panie Davis.
- Dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc udzieloną żonie. Nie może wyjść z zachwytu, jaką macie cudowną masażystkę. Suknia kosztuje mnie fortunę, ale jest tego warta. Dziś moja żona wygląda jak w dniu ślubu.
- Zależy nam na tym, żeby nasi goście byli zadowoleni.
- Przed przyjazdem miałem pewne zastrzeżenia dc waszych cen - ciągnął pan Davis.
- Ale wrócimy tu jeszcze, prawda, mój drogi? - za szczebiotała jego żona.
- Tak, to dobry hotel - przyznał pan Davis.
- Obdzwoniłam połowę znajomych, żeby opowiedzieć, co pan dla mnie zrobił - oznajmiła pani Davis.

Goście, którzy chcą wracać - sprawdzić. Którzy mają poczucie, iż zostali potraktowani wyjątkowo.

William skierował się w stronę windy. Zauważył w niej nieznaczące ślady zużycia. Oceniał, że zastrzyk gotówki bezapelacyjnie by się przydał.

Niemniej Anne ma w ręku klejnot, chociaż draśnięty zębem czasu. Jego własne hotele były znakomicie zarządzane i oferowały wysoką jakość usług, lecz wszystkie są ogromne i anonimowe.

Doszedł do wniosku, że Judith ma tylko częściowo rację. Przyłączenie tego hotelu do sieci Regeney byłoby korzystne, ale Hotel Marchand jest wyjątkowy i jakiegokolwiek naruszenie magicznego klimatu stworzonego przez Anne i Remy'ego, głównie przez Anne, pozbawiłoby to miejsce niepowtarzalnego uroku.

W młodości William dążył do zdobycia coraz więcej i więcej i interesowały go tylko duże hotele. Na obecnym etapie życia umiał już docenić drobne perełki: chwilę spokoju, kroplę rosy na płatkach kwiatu, niewielki wysmakowany obrazek albo butelkę wina, o którym nigdy nie słyszał.

Kobietę taką jak Anne. Nie, nie taką jak, poprawił się w myślach. Anne jest niepowtarzalna, bezcenna

Zbliżając się do drzwi jej apartamentu, ze zdziwieniem stwierdził, że ma tremę.

Kiedy ostatni raz czuł owo ściskanie w dołku? Kiedy ostatni raz coś było dla niego tak ważne, że bał się to utracić?

Nagle Anne otworzyła drzwi i położyła kres jego rozmyśleniom.

- Witaj! - rzekła, a widząc bukiet bzu, wykrzyknęła z zachwytem: - Och! Jaki piękny.

William wręczył jej kwiaty, a wraz z nimi swoje serce.

Chwilę przed telefonem Luca i przybyciem Williama Anne rozważała kolejny wariant stroju. Już nie pamiętała, skąd dziś rano wzięła tyle odwagi, by pojechać do jego domu. Nie czuła fali erotycznego podniecenia, które omal nie zaprowadziło jej do sypialni Williama w biały dzień.

Na takie rzeczy była już za stara. Stara. Nie lubiła tego określenia, nie lubiła tego sposobu myślenia lecz musiała przyznać, że jest ono adekwatne do sytuacji.

Za późno na operację plastyczną albo pas wyszczuplający. Zbyt...

Paraliżowała ją świadomość, co obiecała mu bez słów. Z jakimi oczekiwaniami William pojawi się tutaj tego wieczoru? Nie była gotowa. Nigdy nie będzie gotowa stanąć naga przed nowym mężczyzną.

Już szła do telefonu, chcąc poprosić Luca, aby zbyła gościa, wymyślił jakiś wykręt, ponieważ ona...

Pukanie do drzwi.

A jednak stchórzyła.

Nie mogę się z nikim spotykać, nie mogę, nie mogę

Otworzyła drzwi.

Ogromny bukiet bzu.

- Och! - Schyliła się, by wciągnąć w nozdrza słodką, zalotną woń kwiatów. - Skąd go wytrzasnąłeś - zapytała. - To najpiękniejszy zapach świata. Zanim

pojechałam na północ do college'u, jedynie czytałam o bzie, a potem...

- Witaj, Anne - odezwał się William i nachylił się, by ją pocałować, lecz odsunęła się nieznacznie i jego wargi dotknęły tylko jej policzka. - Wyglądasz zjawiskowo.

Objął spojrzeniem jej purpurową suknię futerał, którą, w jej mniemaniu, powinna kupić raczej dla Charlotte, a nie dla siebie.

- Wstawię kwiaty do wazonu - rzekła, chcąc jak najszybciej odsunąć się od niego na bezpieczną odległość.

- Mogę wejść?

Boże! Co ja wyprawiam?

- Oczywiście. Przepraszam. Jestem... - Podniosła oczy i napotkała jego rozbawione spojrzenie. Zmrużyła powieki i dodała: - Nie stój tak, nie baw się moim kosztem.

William uniósł brwi.

- Dobrze, już dobrze. - Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Anne znalazła odpowiedni wazon, napełniła go wodą i zaczęła z pietyzmem układać w nim kwiaty.

- Jaki miałaś dzień? - spytał i zrobił krok w jej stronę.

Anne natychmiast odskoczyła w bok.

- W porządku.

- Coś się stało? - zaniepokoił się.

- Nic.

Troska w jego głosie wzruszyła ją niemal do łez. Przed Charlotte udawała twardą, lecz później całe popołudnie rozważała w duchu nową propozycję. Zastanawiała się, jak się pożegna z hotelem, gdzie

z każdym zakamarkiem, z każdą osobą łączyło ją tyle wspomnień. Jedna kiść bzu złamała się.

- *Merde* - zakląła pod nosem. Upuściła resztę kwiatów na kuchenny blat i zmobilizowała całą siłę woli, by się nie rozpłakać. - Och, Williamie, to ponad moje siły - wyznała. - Czy moglibyśmy umówić się kiedy indziej?

Mocne dłonie dotknęły jej ramion i obróciły ją.

- Chodź - rzekł ciepłym głosem, któremu nie potrafiła się oprzeć.

Ramiona Williama otoczyły ją i przyciągnęły bliżej. Poczuła się cudownie, lecz jeszcze się opierała, wiedząc, że następnym krokiem będzie żądanie wyjaśnień. Chociaż była pewna, że William zrozumie przynajmniej część jej udręki, uznała, że nie może się dowiedzieć, iż ona i Charlotte przegrały batalię o hotel, który był czymś więcej niż miejscem pracy i źródłem utrzymania. Był domem. Ich domem, jedynym, jaki jej córki znały. I historią rodziny, która, jak marzył Remy, przetrwa wiele pokoleń. Ślad pozostawiony na ziemi przez Remy'ego miał zostać wymazany. Byłoby to rozstanie z nim równie ostateczne, jak spuszczenie trumny do grobu. Odtąd Remy i jego dzieło będą żyły jedynie w ich sercach, a inni o nim zapomną.

Tymczasem William ją zaskoczył. O nic nie pytał. Nic nie mówił. Tulił ją tylko do siebie, ofiarowując jej schronienie, którego nie powinna przyjąć, na które nie zasługiwała.

- Hej - szepnął - chcesz, żebym odwołał rezerwację?

Przytuliła policzek do jego piersi, objęła go w pasie.

- Tak. Nie.

Chciała się wywinąć z jego objęć, lecz jej nie puścił.

- Ciii. Już dobrze. Zatrzymają stolik, jeśli jeszcze chcesz się zastanowić.

Na pewno. To jeden z przywilejów ludzi mających władzę i wpływy. Anne wyprostowała się i spojrzała Williamowi w oczy.

- Nie wiem, czego chcę. Może po prostu powinie-
neś odejść? Zaproś kogoś innego.

- Wyrzuciłem mój sekretny czarny notesik - od-
rzekł z uśmiechem.

Mogłaby się utopić w błękicie jego oczu.

- To bardzo nierozsądne - skarciła go żartem.

- Śmieciarze już opróżnili pojemniki? - Roześmiał się
serdecznie. - To nie jest zabawne - zaprotestowała.

- Sama nie wiem, co robię.

- Nieważne. Na razie trzymaj się mnie. Nie musisz
o niczym decydować ani nikogo odgrywać. Bądź sobą.

- Mam sześćdziesiąt dwa lata. Dzisiaj wieczorem
przebierałam się cztery razy i wciąż nie jestem zado-
wolona.

William odsunął się na odległość ramion i obrzucił
ją taksującym spojrzeniem.

- Mnie się podoba.

- Ale to, co pod spodem, już ci się nie spodoba

- wypaliła i nagle ugryzła się w język, przerażona tym,
co powiedziała.

William okazał klasę i się nie roześmiał. Uniósł
dłoń Anne, splótł palce z jej palcami.

- Poczujesz się pewniej, jeśli się przyznam, że sam
omal nie stchórzyłem i nie odwołałem przyjęcia?

- Naprawdę?
- Nie. Żartowałem.

Kiedy próbowała oswobodzić rękę, mocniej zacisnął palce i pocałował opuszek jej kciuka. Odetchnęła głęboko, a on delikatnie uszczypnął ją zębami, potem odszukał wewnątrz jej dłoni. Z piersi Anne wyrwał się cichy jęk.

- Williamie, ja mówię poważnie.

Gorący oddech musnął jej skórę. Poczwała, jak fale ciepła rozchodzą się po całym jej ciele.

- Ja też.

Teraz William nachylił się nad zagłębieniem jej łokcia. Językiem dotknął wrażliwego miejsca.

- Williamie, to nie jest zabawa.
- Szkoda, bo dla mnie jest.

Wyprostował się na jedno mgnienie i znowu pochylił, tym razem wargami muskając jej szyję.

W takich chwilach bohaterki romansów mówią, że serce zaczyna im w piersi trzepotać. Czy to takie uczucie, jak teraz? - zastanawiała się Anne. Nagle William wyprostował się, cofnął o krok, lecz nie puścił jej ręki.

- Jesteś gotowa do wyjścia - spytał - czy zamówimy kolację tutaj?

- Co?!

Jego uśmiech był przekorny i kuszący.

- Nie jesteś głodna?

- Głodna?

- Jeśli nie chcesz, żebym się z tobą kochał tu i teraz, musimy opuścić te progi - oświadczył i pociągnął ją do drzwi. - Natychmiast - dodał.

Zmusiła się do zrobienia kilku kroków, cały czas zastanawiając się, czy kolacja jest aż tak ważna.

- Zgoda. Jeśli sądzisz, że powinniśmy...

Jego niebieskie oczy już się nie śmiały. Były ciemnogranatowe.

- Jeśli pytasz, co sądzę, to powiem, że powinniśmy wskoczyć do łóżka, nie wychodzić z niego przez tydzień i powiedzieć wszystkim, żeby się wypchali. Ale ponieważ ostatki są już za dziesięć dni, a ty nie zrezygnujesz z nadzorowania przygotowań, zgadzam się odłożyć to na później. Robię to bardzo niechętnie.

- Aha. - Nadal czuła zawrót głowy. - Masz oczywiście rację. Nie możemy iść do łóżka, skoro tyle się dookoła nas dzieje. - Rzeczywistość osaczyła ją z nową siłą. - W gruncie rzeczy może powinnam zostać... - odwróciła się i spojrzała na leżące na blacie gałązki bzu.

- Nie powiedziałem, że poczekamy z pójściem do łóżka, kochanie. Miałem tylko na myśli, że kiedy indziej zafundujemy sobie tygodniówkę.

- Aha.

Wróciła i włożyła ostatnią gałązkę do wody. Czuła ulgę zmieszaną z fascynacją.

- Na kilka minut zapomniałaś o martwieniu się o swoje ciało, tak? Akt miłosny to więcej niż nagość, chociaż nabieram coraz większego apetytu, żeby ujrzeć cię w stroju Ewy.

- Aha. - Powtarzam się jak zacięta płyta. - Żadnych świateł - uprzedziła.

William puścił do niej oko.

- Porozmawiamy przy kolacji - odparł. - Muszę cię uprzedzić, że w negocjacjach mam opinię rekina.
- Wiedziałam o tym. - Poczowała ucisk w dołku.
- Ale ja też nie jestem łągodna jak gołąbek.
Pogrzebane nadzieje.

- Tu jest cudownie - zachwycała się Anne, jak gdyby nigdy w życiu nie oglądała podobnych luksusów.

Dotknęła ciężkich srebrnych sztućców, pogładziła palcem bladoróżowy obrus ze szlachetnego lnu. Spojrzała na gości siedzących przy innych stolikach, potem podniosła wzrok na ozdobne żyrandole.

- Kolejne z twoich odkryć - ciągnęła. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek jadła kolację tak daleko od domu. - Pokręciła głową. - Chociaż Metairie nie jest na innej planecie, lecz po sąsiedzku.

- Nigdy nie przypuszczałem, że nie jadaliscie poza hotelem, chociażby po to, żeby sprawdzić, co oferuje konkurencja.

- Wychodziliśmy niezwykle rzadko. Remy wyznawał zasadę, że pańskie oko konia tuczy, poza tym mieliśmy czwórkę dzieci i...

- I hotel na głowie. Bagatela - dokończył za nią.
- Wciąż mnie zadziwia, jak sobie ze wszystkim radziłaś. - Ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców. - Można cię stawiać za wzór do naśladowania.

- Niekoniecznie - zaprzeczyła i uroczy rumieniec pojawił się na jej policzkach.

- Skąd brałaś siły? Sprawiasz wrażenie, jak gdyby to wszystko przychodziło ci bez wysiłku.

- Marzyłam o tygodniu wakacji, podczas których nic bym nie robiła, tylko spała - odparła lekkim tonem.

- Kilka miesięcy temu twoje marzenie się spełniło. Trafiłaś do szpitala. - William nie żartował. - Przestraszyłaś mnie nie na żarty.

Anne zrobiła wielkie oczy.

- Ciebie?

- Żyłaś w potwornym napięciu. Jak zresztą my wszyscy w Nowym Orleanie. Po wypadku Remy'ego zastanawiałem się, co teraz będzie. - Anne próbowała oswobodzić dłoń, lecz on wzmocnił uścisk. - Nie zrozum mnie opacznie - ciągnął. - Lepiej od innych orientowałem się, czego potrzeba, żeby hotel dalej działał, jak gdyby nic się nie stało. Remy był genialnym kucharzem, a restauracja przyciągała ludzi z miasta, nie tylko gości hotelowych. Do tego byłaś w żałobie...

- Prawie nic nie pamiętam z tego okresu - wyznała Anne. - Miesiącami żyłam jak automat/Wstawiałam rano i po prostu wykonywałam rutynowe czynności.

- Rozumiem.

- Wiem o tym.

- Mnie było łatwiej. Przywykłem do tego, że samodzielnie ciągnę interes. A ty straciłaś nie tylko męża, lecz i współpracownika. - Odwrócił jej dłoń i wpatrzył się w linie przeznaczenia. - Posłuchaj, nie będę zaprzeczał, że kiedyś pragnąłem dać Remy'emu wycisk. - Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Ale w uczciwej walce. Nigdy źle wam nie życzyłem.

- Wierzę ci.

- Obserwowałem, jak bierzesz na barki cały ciężar

zarządzania hotelem i restauracją i doskonale wiedziałem, że szanse na sukces masz raczej niewielkie.

- I się nie pomyliłeś - rzekła smutnym głosem.

- Nie - zaprzeczył. Jeszcze to jedno może dla niej zrobić, podtrzymać ją na duchu. - Jesteś przeciwnikiem, z którym należy się liczyć. - Zrobiła zdziwioną minę, lecz była zadowolona. - Przyznam jednak, że się martwię - mówił dalej. - Całkiem niedawno trafiłaś do szpitala. Pragnę...

Tym razem to ona kurczowo uściśnęła jego dłoń.

- Doceniam to, że chcesz mi pomóc, Williamie.

- Głos jej się załamał, spuściła wzrok. Po chwili podniosła oczy. - Nie masz pojęcia, co dla mnie znaczy świadomość, że staniesz z boku i pozwolisz mi samodzielnie rozegrać moją bitwę.

Tymi słowami zadała mu cios w samo serce. Wewnętrzna walka, jaką ze sobą toczył, rozgorzała w nim na nowo. Zmagał się z sumieniem, i potrzebą osłaniania kobiety, która stawiała się dla niego coraz ważniejsza.

- Anne... - zaczął.

Uniosła dłoń, nakazując mu milczenie.

- Doskonale wiem, że ci się to nie podoba, ale nie znajduję słów, żeby wyrazić, jak bardzo dodaje mi to sił. To, że jesteś. To, że cię to obchodzi.

- Bo obchodzi. - Już nic więcej nie musiał mówić. Jeśli popełnia błąd, nie ma w tym złych zamiarów. Słumił wewnętrzny niepokój, postanowił zaufać, iż Anne go zrozumie, kiedy się dowie, co uczynił. - Bardzo mnie obchodzi. Możliwe, że bardziej, niżbyś pragnęła.

Uśmiechnęła się do niego.

- Może cię zaskoczę, ale pragnę tego. - Zanim zdążył coś powiedzieć, ciągnęła: - Masz rację. Coś się dzisiaj wydarzyło. Chcesz posłuchać?

- Oczywiście. Może napijemy się kawy? Lepiej nam się będzie rozmawiało - zaproponował.

- Na razie dziękuję, ale - delikatny uśmiech pojawił się na jej ustach - później sama zaparzę nam kawę. U mnie.

Obietnica w jej oczach przyprawiła go o przyspieszone bicie serca.

- Estelle upiekła ciasto - kuśli.

- Czyżby nowa wersja zaproszenia do oglądania kolekcji rycin? - zażartowała.

- A chcesz obejrzeć? - zaczął się z nią przekomarzać i udał, że podkręca waśa.

Jej wesoły śmiech tchnął w niego nadzieję. Nie puszczając jej dłoni, drugą ręką skinął na kelnera, by przyniósł rachunek.

- Dobra, mów. Zamieniam się w słuch.

- Dostaliśmy nową ofertę.

Bezwiednie uściśnął jej palce.

- Od kogo?

- Od powiernika, więc domyślam się, że to ktoś z konkurencji pragnący zachować anonimowość.

Twarde słowa. Bardzo twarde.

- Domyślasz się, o kogo chodzi?

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Charlotte jest zdruzgotana.

- Dlaczego?

- Bo to oznacza, że wieści o naszych kłopotach już się rozeszły. Sępy zaczną nad nami krążyć. - Westchnęła. - Jesteśmy prawie zmuszone ją przyjąć, bo oferta jest przyzwoita, a jeśli odmówimy, przejdzie nam koło nosa, kiedy zaczną pojawiać się kolejne.

William zmarszczył czoło.

- Nie zaczną... - Urwał i odchrząknął. - Dali jakiś termin?

- Nie, i to mnie zastanawia. Możliwe, że nie jest to nikt stąd, co potwierdza, że wieści się jednak rozchodzą.

Cholera. Chciał zaoszczędzić jej smartwień, a nie dokładać nowych.

- Czy przyjęcie oferty byłoby aż tak wielkim złem? Mówisz, że warunki są godziwe.

- Prawdopodobnie będę zmuszona je przyjąć, ale...

- Zamilkła i potarła czoło. - Widzisz, w ten sposób zaprzepaszczę marzenie Remy'ego i przyszłość Charlotte. Tak, pieniędzy wystarczy, żeby wszystkim córkom zabezpieczyć byt i jeszcze zostanie coś dla mnie, jeśli będę gospodarować mądrze...

- Anne, chciałbym... - Urwał, by podpisać czek, po czym szybko odprawił kelnera. - Chcę się tobą zaopiekować. Nie musisz się już o nic martwić.

Anne zamrugała powiekami i wbiła w niego zdumione oczy.

- Co powiedziałeś?

Zagalopował się. Panika w jej głosie podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Gorączkowo zaczął szukać wyjścia z kłopotliwej sytuacji.

- Kocham cię - oznajmił, po czym dumnie uniósł

brodę. - No, nie krępuj się. Uciekaj. Wiem, że tylko tego chcesz. - Wstał i dodał: - Odwiozę cię do domu.

- Zaczekaj. Zaczekaj. - Anne ukryła twarz w dłoniach. - Nie mogę za tobą nadażyć.

- To przyspiesz - zirytował się. - Albo każ mi iść do diabła.

- Siadaj - syknęła. - Nie powiedziałam, że nie chcę za tobą nadażyć, tylko że...

No, no. Wytworna Anne Marchand syczy. W miejscu publicznym. Gdyby nie był tak wytracony z równowagi, wybuchnąłby pewnie śmiechem.

- Proszę - dodała i podniosła na niego wzrok.

Wyszedł z wprawy w wycofywaniu się z decyzji. Ostatni raz coś takiego uczynił blisko pięćdziesiąt lat temu. Ale powiedziała „proszę”. A on ją kocha, do cholery. Więc usiadł.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz o tym?

- Witaj w klubie - odcięła się natychmiast.

Najpierw syczy, teraz kąsa. No, no. Roześmiał się. Pochylił się nad stołem i spojrzał jej w oczy.

- Które z nas czuje się bardziej nieswojo?-zapytał.

Kąciki jej ust drgnęły, oczy spojrzały ciepło.

- Przez tyle lat byłam uosobieniem zdrowego rozsądku.

- Ja również. - Tym razem roześmiał się na cały głos. - A już sądziłem, że jestem gotowy zacząć powolny marsz w stronę zachodu słońca.

Anne prychnęła pogardliwie.

- Wracaj na ziemię.

Jego Anne prychnęła. Jego Anne. Boże, przy niej znowu czuję, że żyję, że świat jest pełen możliwości.

- Pryskamy z tej dziury? - Przechylił głowę na bok i dodał: - Chcesz zobaczyć, jak wolno jadę?

Zauważył, że źrenice jej oczu nagle pociemniały. To powiedziało mu wszystko, co pragnął wiedzieć.

- Chyba chcę.

William wstał, wziął ją za rękę i pociągnął do siebie,

- Spadamy.

Przełożył jej rękę przez zgięte ramię i przycisnął do boku. Postanowił uczynić wszystko, by zatrzymać ją tak blisko siebie już na zawsze.

Przytuleni do siebie wyszli w gwiazdzistą noc.

Chcę się tobą zaopiekować. Kocham cię.

Niebezpieczne słowa. W głowie się jej kręciło nie z powodu dwóch kieliszków wina, które wypija, lecz od nadmiaru wrażeń. Przez całą drogę do domu Williama - bez pytania zdecydował, dokąd jada - milczeli. Jak gdyby się bali, że jedno nieopatrzenie wypowiedziane słowo nadszarpnie kruchą więź, jaka się między nimi wytworzyła.

Anne nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tej nocy przekroczyli, albo przekroczą, granicę, a powrót do bezpiecznego, znanego jej świata będzie już niemożliwy.

Chociaż w tej chwili jej świat wcale nie był aż taki bezpieczny. Natomiast był znajomy, osadzony w historii, związany z miejscem, gdzie znała wszystkie ścieżki i zakamarki.

William mimo wieku nie przestał być pogromcą serc, jak w młodości. Przynajmniej jeśli chodzi o nią.

Jego pełna determinacji pogoń za zdobyczą, za nią, uderzała jej do głowy, lecz odrobinę ją przerażała. Pochlebiała jej do tego stopnia, że prawie zapomniała, iż każdy obrót kół przybliżają do... do zdjęcia z siebie ubrania.

Dlaczego nikt nie wymyślił maszyny czasu, dzięki której mogliby odbyć podróż do innego wszechświata, gdzie miałyby figurę jak dawniej, gładką skórę, smukłe kształty? Gdzie nie miałyby...

Samochód podjechał do krawężnika. William nacisnął nogą na hamulec, odwrócił się i przylgnął ustami do jej ust.

- Co ty... - zaczęła protestować, lecz głos uwiązał jej w gardle. Ogarnęła ją fala błogości, gorąca i niebezpiecznej tęsknoty.

William oderwał na moment od niej wargi.

- Za dużo myślisz.

Znowu nie mogła za nim nadażyć.

- Chyba postradałeś rozum!

Błysnęły białe zęby.

- Za chwilę i ty postradasz, jeśli to będzie ode mnie zależało. - Ruszył, lecz jeszcze się na nią obejrzał i dodał: - Mówię poważnie.

Anne miała w głowie kłębowisko myśli i nie mogła się na nic zdecydować. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Ściskanie w dołku, długie, rozkoszne, było... zadziwiające. Odchyliła głowę i zaśmiała się cicho.

- Nie możesz jechać szybciej? - spytała.

- Nie masz litości - odparł i nacisnął pedał gazu.

- To mi się w tobie podoba - dodał.

Pomknęli w ciemność nocy.

Próbował, naprawdę próbował zapanować nad sobą. Planował pomóc jej wysiąść z samochodu i wprowadzić do domu, pogawędzić chwilę, by się odprężyła, podczas gdy on będzie otwierał szampana, którego wcześniej wstawił do lodówki. Oczywiście był to Cristal, jedyny trunek odpowiedni dla brylantu tak czystej wody, jakim jest Anne.

Lecz gdy tylko otworzył drzwi samochodu i Anne wysiadła, wszystkie te plany uleciały mu z głowy. Jak nastolatek przycisnął ją do maski i zaczął całować szyję, twarz i usta. Jakoś doszli do domu. Pamiętał tylko, że niósł ją na rękach, lecz tak prozaicznych szczegółów, jak wyjmowanie kluczy i otwieranie zamków, jego umysł nie zarejestrował. Zginęły wśród wzajemnych pocałunków, wśród pieszczot jej drobnych dłoni gładzących jego włosy i ramiona. Utonęły w rozkoszy trzymania ukochanej w ramionach.

Po omacku dotarł do celu, który, dzięki Bogu, jakoś został mocniej zakodowany w jego świadomości. Ode-rwał wargi od jej warg i szepnął:

- Zamknij oczy. - Spojrzała na niego. Żrenice jej oczu były ogromne i ciemne, przepełnione tajemnicami znanymi tylko kobietom. Tajemnicami, których rozszyfrowanie zajmuje mężczyznom całe życie. - Proszę - dodał niskim głosem.

W milczeniu wykonała rozkaz. Ujął jej twarz w dłonie i poprosił:

- Zaczekaj tutaj. Nie patrz, dobrze? - Kiwnęła głową na znak zgody, a on pocałował ją w usta, wkładając w ten pocałunek całe serce i duszę.

Potem pomknął do kuchni, po drodze zapalając

świece. Chwycił szampana i kubek z lodem. Miał nadzieję, że nie zrobi z siebie idioty. Nie chciał jednak, aby ten pierwszy raz wydarzył się w sypialni, którą dzielił z inną kobietą, ani w pokoju hotelowym, nawet najbardziej luksusowym. Wybrał więc dla Anne jej ulubione miejsce w swoim domu. I dumny był z tego, że takie posiada. Pragnął, żeby dla niej ta noc była przyjemnością. Oddechem i spokojem, no... chociaż może nie za wiele tego spokoju, pomyślał i uśmiechnął się. Zapowiedzią tego, jaka przyszłość może ją czekać.

Nareszcie wszystko było gotowe. Przystanął, żeby na nią spojrzeć, otoczoną kwiatami, lecz przyćmiewającą je urodą. Oby tylko zdołał postąpić wobec niej, jak należy.

- Dobrze. Możesz otworzyć oczy.

Odkąd skończył szesnaście lat, nie był tak zdenerwowany.

Anne poczuła zapach kwiatów, jeszcze zanim je ujrzała. Wciągnęła w nozdrza woń ziemi i płatków, znaków nadziei i nowego początku. Bardzo powoli uniosła powieki.

- Och! - wykrzyknęła z zachwytem.

Światło księżycy sączyło się przez szklany sufit pokryty przepiękną mozaiką liści. Gdzieś, wśród feerii barw roślin, czerwieni, oranżu, bieli i intensywnego różu, paliły się świece, niewielkie złote kule. Pośrodku stała szeroka kozetka, a na niej piętrzyły się poduszki w soczystych barwach wiśni, brązu, ciemnej zieleni, błękitu. Obok stał srebrny kubek z butelką szampana, a na niskim stoliku dwa wysokie wąskie kieliszki.

- Och, Williamie... Jestem oszołomiona.

Chwycił jej rękę i podniósł do ust.

- Prawdziwe klejnoty wymagają odpowiedniej oprawy - odrzekł.

Anne nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Dzięki - szepnęła.

William puścił jej rękę i sięgnął do kubełka.

- Szampana?

- Poproszę.

Napije się dla kurażu.

Bzdury.

- To śmieszne - mruknęła pod nosem, zdecydowanym krokiem podeszła do stolika, wzięła do ręki kieliszek, wychyliła do dna, potem ze stukiem odstawiła z powrotem na stolik. - No - mruknęła i zaczęła rozpinąć guziki sukienki - przecież się ciebie nie boję. A jeśli nie zniesiesz widoku mojego nagiego ciała, to... - zamilkła i machnęła ręką, jak gdyby chciała go odprawić - to idź do diabła.

- Anne! - William przyskoczył do niej, oderwał jej palce od guzików i opuścił jej rękę wzdłuż boków, potem ujął jej twarz w dłonie i przytulił do swojej twarzy, szepcząc: - Moja najdroższa, zaufaj mi...

- Ufam ci - zapewniła go, lecz natychmiast dodała: - W zasadzie.

Musnął jej twarz oddechem, pokrył pocałunkami, pieścił językiem, aż poczuł, jak się odpręża i uspokaja.

- Och! - westchnęła. - Och!

Wtedy, cały czas szepcząc do niej czule, rozpiął ostatnie guziki jej sukni, która z szelestem opadła na podłogę. Położył ją wtedy na jedwabnych prześcierad-

łach i powoli, cierpliwie, od nowa udowodnił, że jej ciało stworzone jest do dawania i odczuwania rozkoszy, że może wznosić się na szczyty i zapadać w otchłań, aż błaganie staje się jękiem, potem okrzykiem.

- Williamie, tak długo byłam sama... Williamie!

- Spójrz na mnie. - Zabrzmiało to jak prośba i rozkaz zarazem. - Już nigdy więcej nie będziesz sama - zapewnił ją. - Jestem z tobą. Zostanę z tobą. Powiedz, że tego chcesz. Że mnie chcesz.

- Nie mogę. Boję się ciebie potrzebować...

- Nie bój się. Potrzebujesz mnie, a ja potrzebuję ciebie. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, ale to się nie liczy - zapewniał, ocierając się biodrami o jej biodra. - Dopuść mnie do siebie - prosił. Wiedziała, że mówi nie tylko o fizycznym zjednoczeniu ich ciał.

- Staram się dać ci czas mnie pokochać, ale... nie opieraj się dłużej. Nadróbmy stracony czas - szeptał.

- Proszę.

Sądziła, że to będzie trudne, a nagle okazało się takie łatwe. Takie naturalne.

- Tak - odparła czułym głosem. - Tak - powtórzyła mocniej, pewniej.

William zamknął oczy.

- Bogu niech będą dzięki. Przysięgam...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Objęła jego głowę, przyciągnęła do siebie i ucałowała.

- Nie przysięgaj. Po prostu bądź ze mną, Williamie. Proszę... bądź ze mną.

I nagle znaleźli się razem w nowym świecie. Nie całkiem nieznanym, bo niezamieszkanym przez cienie

dawnych miłości, po prostu w tylko ich wspólnym świecie.

Pięknym, idealnym... Dzięki gwiazdom ich własnym.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Z księżycem ci do twarzy... - William zacytował pierwsze słowa znanej piosenki Franka Sinatry i pogładził czoło Anne. Podniósł pasmo jej włosów, ucałował i połaskotał ją nimi w brodę.

Westchnęła, nie otwierając oczu.

- Czuję się... bosko. - Wyciągnęła ramiona za głowę, poruszyła palcami stóp. Dopiero wówczas uniosła powieki i spojrzała na niego. - Dziękuję ci za... - powiedła wzrokiem po oranżerii - za to. Moje ulubione miejsce w twoim domu.

- Wiem.

Zerknęła na niego.

- Uważasz się za spryciarza, co?

William uniósł brwi.

- Tak.

Anne roześmiała się.

- Istny Lothario. Mistrz uwodzenia.

- Nie - zaprzeczył. Jej słowa go otrzeźwiły. - Nie pozwolę ci żartować z tego, co między nami zaszło. To jest dla mnie zbyt ważne.

- Przepraszam.

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, odpowiedział na pytanie, którego nie zadała.

- Z żadną kobietą się tutaj nie kochałem. Nigdy.

- Nigdy?

- Nie. - Nie zamierzał zdradzać intymnych szczegółów swojego małżeństwa. Isabel na to nie zasłużyła. Może brakowało jej „tego czegoś”, ale była dobrą kobietą i przeżyli razem wiele wspaniałych lat. - I nie uważam uwodzenia za sport - dodał. Anne zrobiła skruszoną minę. Nie chciał, by się martwiła. Ucałował końce jej palców i rzekł: - Jesteś zadziwiająca. - Teraz ucałował wnętrze jej dłoni. - Tak piękna, że oczu od ciebie oderwać nie mogę. - Przesunął wzrokiem po zarysie jej ciała pod prześcieradłem, które na siebie naciągnęła. - Pewnego dnia pozwolisz mi się nasycić do woli twoim widokiem.

- Nie licz na to - ucięła. - Ale dziękuję za świece. Ich światło jest bardzo twarzowe.

- Proszę bardzo, ale Anne... - William z trudem zdobywał się na cierpliwość - posłuchaj. Przecież będziemy znowu się kochać i znowu będę na ciebie patrzył. Na ciebie całą. W każdym świetle. - Przyłożył jej dłoń do policzka. - Żadne z nas nie jest młode, ale potrafimy dać sobie nawzajem coś znacznie więcej. Chciałbym, żebyś zrozumiała, że bardzo mi się podobaś taka, jaka jesteś właśnie teraz. - Zamilkł i uśmiechnął się szeroko. - Szczególnie teraz. - Musnął nosem jej szyję, wciągnął w nozdrza zapach. Poczuł, jak narasta w nim pożądanie. Nie wiedział, czy uda mu się ją namówić, żeby została na noc. - Wspomniałem o cieście Estele. Nie jesteś głodna?

- Jak wilk. Ale nigdy nie jem w nocy.

William wstał, naciągnął spodnie.

- Noc jeszcze jest młoda, kochanie. Zostań tutaj.
Zaraz wracam.

Oczy jej się zaświeciły.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle mogę się ruszyć
- rzekła niskim, aksamitnym głosem.

- Dobijasz mnie.

Zaczerwieniła się.

- Wracaj szybko.

Jasne. Jak na skrzydłach.

- Wiesz, nie chcę cię tu zostawiać. Chodź ze mną.
- Usiadła, podciągając prześcieradło pod brodę. Podał jej swoją koszulę. - Włóż to, a potem znajdę ci szlafrok.

Odwrócił się do niej plecami. Miał nadzieję, że zdoła kiedyś przewyciężyć jej opory, sprawić, że spojrzy na siebie jego oczami. Wsunęła dłoń w jego dłoń i ucisnęła. Przyciągnął ją do siebie, a ona objęła go w pasie. Pochylił głowę, przytulił do jej głowy i upajał się słodyczą tej chwili.

Na bosaka chodziła po kuchni, ciągnąc za sobą poły za dużego na nią granatowego płaszcza kąpielowego niczym tren balowej sukni. Od czasu do czasu podnosiła go albo odrzucała na bok, a wówczas na mgnienie błyskała biała noga. Trzykrotnie zawinięte rękawy sięgały połowy palców dłoni, którymi gestykulowała, aby podkreślić jakieś słowo, dotykała granitowego blatu albo muskała zioła hodowane przez Estelle na kuchennym parapecie.

Wszystko by oddał, by znowu poczuć te dłonie na sobie.

Była skrzatem o królewskiej postawie. Drobna kobieta o ogromnym sercu i odwadze. I dumie.

Szalał za nią.

Pragnął cały czas ją chronić. I miał nadzieję, że kiedy Anne się dowie, co uczynił, uwierzy w jego dobre intencje.

Bo za nic nie chciał jej utracić.

- Skąd ten mars na czole? - spytała.

Zamrugął oczami.

- Co? Ach, nic. Zastanawiałem się, czy chcemy lody do ciasta.

Z miny Anne wyczytał, że nie dała się oszukać, lecz nie drażyła tematu.

- Ja dziękuję. Mój lekarz dostałby chyba ataku serca, gdyby się o tym dowiedział.

William cofnął rękę z talerzem, który właśnie zamierzał jej wręczyć.

- Nie pomyślałem o tym - sumitował się. - Musisz; mnie nauczyć, co ci wolno, a czego nie. Twoje zdrowie jest zbyt ważne...

- Nie przesadzaj. -. Wyciągnęła rękę i chciała wziąć od niego talerz, ale on go nie puszczał. - Tylko żartowałam.

- Dla mnie twoje zdrowie nie jest tematem do żartów. Chcę, żebyś jeszcze pożyła.

- Dziękuję. Ja też chcę. Ten atak serca był dla mnie nauczką, otrzęźwieniem. Uważam na siebie, lecz nie zamierzam przeżyć reszty życia w strachu. Słucham zaleceń lekarza, ale nawet on uważa, że do wszystkiego należy pochodzić elastycznie. Od czasu do czasu można sobie pozwolić na odstępstwo od reżimu, byle :

nie za często. Zązywam ruchu, przestrzegam diety i...
od czasu do czasu grzeszę.

- A kiedy ostatnio miałaś okazję zgrzeszyć?

- Nie zaczynaj, Williamie. - Odebrała od niego talerzyk z ciastem, postawiła na blacie i wzięła go za ręce. - Posłuchaj, próbuję dopuścić cię do swojego życia, chociaż jeszcze nie wiem, w jakim charakterze. Niemniej nie potrzebuję ani matki, ani niańki, ani opiekuna, *comprendsl* Możliwe, że w tej chwili moje interesy nie idą najlepiej, ale w przeszłości, dzięki dyscyplinie, osiągałam sukcesy. I zamierzam dalej osiągać.

- Przepraszam. Wcale nie próbowałem...

- Przeciwnie - wpadła mu w słowo. - Próbowałeś.
- Teraz starała się złagodzić ton. - Zależy mi na tobie i to jest dla mnie ważniejsze, niż potrafię wyrazić słowami, nawet jeśli nie umiem cię nigdzie zaszufladkować, co mnie martwi.

- Nie mieszczę się w szufladkach.

Zaśmiała się.

- Nie musisz mi tego mówić. - Zerknęła na niego kątem oka. - Zajmujesz dużo miejsca, wiesz o tym? I nie tylko fizycznie...

- Przywyknij do tego, bo zamierzam zajmować coraz więcej.

- Nie mów hop! Jeszcze niczego nie zdecydowałam.

Lecz William już ją przejrzał.

- Zdecydowałaś. I to ci się nie podoba. Już się ode mnie nie uwolnisz, Anne. - Ścisnęła jej dłonie wsunięte głęboko w kieszenie szlafroka. - Nigdy nie sądziłem,

że będzie mi żal Remy'ego, ale wątpię, czy ten facet kiedykolwiek miał ostatnie słowo, a jeśli się tak kiedyś zdarzyło, to tylko dlatego, że zmęczyłaś się spieraniem z nim. - Zaśmiał się, widząc jej niezadowoloną minę.

- Nie rób takich min.

- Nigdy nie robię min.

Objął ją i przytulił.

- Kocham twoją niezależność niemal tak samo mocno, jak mnie ona irytuje. Obawiam się, że się powtarzam, ale stanowisz nie lada wyzwanie.

Anne opierała się tylko dla zasady.

- Wy, pogromcy niewieścich serc, wszyscy jesteście tacy sami. Codzienna rutyna was zabija. I dlatego nigdy nie będziemy do siebie pasować.

Wybuchnął śmiechem.

- Bo ty jesteś taka nudna, zasadnicza i staroświecka?

Wymierzyła mu kuksańca.

- Jesteś zepsuty. Nigdy nie napotkałeś przeszkody? której nie zdołałeś pokonać. Za bardzo się przyzwyczaiłeś stawiać na swoim.

- A ty nie?

Pocałował ją i wmawiał w siebie, że nie zrobił tego po to, żeby zamknąć jej usta.

To, co cały czas tliło się między nimi, wybuchnęło z nową siłą. Anne wyswobodziła się z jego objęć.

- Czyli jestem nudna i staroświecka?

- Tego nie powiedziałem...

Teraz to ona go pocałowała i całym ciałem przycisnęła go do blatu.

- Niech ci się zdaje, że tym razem postawiłeś na

swoim, ale ja chcę się upewnić, że wiesz, że to tylko łut szczęścia.

Znowu się roześmiał.

- Wierz, w co chcesz. Zgadza się - szeptał między pocałunkami - jestem zepsuty. Jestem pogromcą niewieścich serc. Jestem... Do czego jeszcze mam się przyznać? Aha, jestem szczęściarzem. - Już chciała coś odpowiedzieć, lecz nie dopuścił jej do głosu. - Cholernym szczęściarzem.

Porwał ją na ręce i zaniósł z powrotem do ich miłosnego gniazdko. Ciasto Estelle musi zaczekać.

Anne otworzyła oczy i ujrzała nad sobą gwiazdy. Czują, że całe jej ciało śpiewa. Zaśmiała się cicho.

- Jakie to fantastyczne.
- To ty jesteś fantastyczna. O czym myślisz?
- Widzisz - zaczęła, poważniejąc - nie mogę się teraz rozpraszać.

- Sądziłem, że się na coś przydam. Naprawdę nie mogę ci w niczym pomóc?

- Już mi pomogłeś nawet bardziej, niż sobie wyobrażasz. - Prychnął w odpowiedzi, lecz ona ciągnęła niezrażona: - Nie żartuję. Wiem, że jesteś blisko, że czekasz w pogotowiu. To dla mnie bardzo ważne. Nie oczekuję od ciebie, że zrozumiesz, dlaczego muszę uporać się z tym wszystkim sama, ale wiedz, że bardzo wiele dla mnie znaczy, że nie wyciągasz ręki i nie odbierasz mi tego, co jeszcze mam. - Grymas bólu przemknął mu po twarzy. - Nie pozwoliłabym ci. Lecz obiecuję, że w krytycznym momencie zwrócę się do ciebie o pomoc.

- Nie czekaj aż tak długo. Nie ma sensu przedłużać agonii, jeśli nie widzisz innego wyjścia.

- Może i nie ma. Może od samego początku byłam skazana na przegraną? - Wątpliwości, które zawsze od siebie odsuwała, znowu ją osaczyły. - Ale jeśli nie potrafię dać sobie rady tylko z pomocą córek, to może i lepiej. Marzenie Remy'ego, moje marzenie, nie zostanie wchłonięte przez jakąś sieć. To, co stworzyliśmy, jest wyjątkowe. Jeśli nie może przetrwać w niezmienionej postaci, trudno, niech upadnie.

Zamilkła i utkwiała wzrok w punkcie przed sobą. Z najwyższym wysiłkiem otrząsnęła się ze smutku i mówiła dalej.

- Mamy tę nową ofertę. Musimy ją rozważyć. Nie chcę jej przyjąć, niemniej ten, kto ją złożył, myślał rozsądnie. Dzięki Bogu, będziemy mieli teraz chwilę oddechu - ciągnęła. - Na koniec karnawału mamy komplet gości. Jeśli nie wydarzy się jakaś nowa katastrofa, damy sobie radę. Moje dziewczęta mają pełno nowych pomysłów, które mogą nam zagwarantować bezpieczną przyszłość.

Obserwowanie, jak zbiera siły, mobilizuje się, odpędza rozpacz, było dla Williama ciosem. Czuł się tak, jakby wpadł w zastawioną przez siebie samego pułapkę. Jeśli wycofa ofertę, odbierze Anne źródło pocieszenia, z drugiej strony, jeśli ona się dowie, kto stoi za propozycją, nie tylko jej nie przyjmie, lecz straci wiarę w siebie. I w niego.

Po raz pierwszy w życiu odechciało mu się walczyć. To, co zaistniało między nimi, jest zbyt świeżej zbyt kruche. Nie może podejmować dalszego ryzyka,

bo straci Anne. Może zbyt się pospieszył z tą ofertą? Trudno, stało się. Nic na to nie poradzi. Teraz musi robić dobrą minę do złej gry, ostrożnie stąpać po tym polu minowym, bo stawką jest miłość.

Rozmawiał z dostawcami. Korzystniejsze warunki, jakie wynegocjował, pomogą Hotelowi Marchand, lecz nie od razu. Poza tym zlecił dyskretne śledztwo w sprawie niefortunnych przypadków, jakie się w tym hotelu wydarzyły, ponieważ nie wierzył w zwykły zbieg okoliczności. Podejrzewał, że to sprawka braci Corbinów, którzy złożyli pierwszą ofertę, lecz oni są bardzo przebiegli. Krążą plotki o ich powiązaniach z ciemnymi interesami w Tajlandii. Trudno jest odgadnąć, po co im Hotel Marchand, lecz William naciskał na swoich ludzi, by rozwiązali tę zagadkę.

Człowiek, którego wprowadził do hotelu, napotykał jednak trudności. Ostatnimi czasy wszyscy mieli się na baczności, więc jego człowiekowi nie udało się jeszcze dotrzeć do żadnych dowodów mających świadczyć o tym, że ostatnie kłopoty hotelu nie są wynikiem działania kogoś z zewnątrz.

William był przekonany, że w hotelu ktoś działa na szkodę Anne. Tę osobę należy zdemaskować i przepytać na okoliczność współpracy z Corbinami. Taki pomysł wydawał mu się coraz bardziej realistyczny. Zepsucie opinii hotelu jest najszybszym sposobem obniżenia jego wartości rynkowej, a potem wystarczy tylko czekać, aż dojrzały owoc wpadnie w wyciągnięte dłonie.

- Wobec tego postanowiłam pomalować się czer-

woną farbą i przedefilować nago po ulicach Dzielnicy Francuskiej.

William natychmiast oprzytomniał.

- Co takiego? Gdzie poszłaś?

- Mam cię. O czym tak rozmyślałaś?

- Przepraszam. - William uznał, że najlepiej obrócić wszystko w żart. - Zastanawiałem się, jak zaciągnąć cię na górę. Tamto łóżko jest większe.

Osiągnął skutek przeciwny do zamierzonego.

- Która godzina? - zaniepokoiła się Anne i rozejrzała się dookoła. - Ojej, na pewno strasznie późno. Muszę iść.

Przytrzymał ją za ramię.

- Zostań. Spędź ze mną tę noc. Bardzo tego pragnę.

- Och, Williamie - westchnęła. - Ja też.

- Więc sprawa jest prosta.

Przez chwilę Anne wpatrywała się w niego uważnie. Odpowiedź wyczytał z jej oczu.

- Nic nie jest proste. Cokolwiek to jest.

William wiedział, że nie należy nalegać. Czasami można wszystko zepsuć, jeśli się za bardzo naciska,

- Odwiozę cię - rzekł - ale nie oczekuj, że powiem, że mi się to podoba.

Jej reakcja przyniosła mu ulgę.

- Jeśli ci to pomoże, to wiedz, że mnie się również nie podoba. - Wstała, zebrała swoje rzeczy - Ubiorę się.

Obserwował, jak wychodzi z oranżerii, jak dłonią trąca kwiat, zatrzymuje się, wacha jakiś inny.

Sprowadzę cię tu z powrotem, obiecywał jej w myśl-

lach. Na zawsze, jeśli to będzie tylko ode mnie zależało. A ponieważ obawiał się, że nie będzie, przemówił:

- Anne... - Staneła i odwróciła się. Tęsknota bijąca z jej twarzy tchnęła otuchę w jego serce. - To miłość. Zapamiętaj.

Na jedno mgnienie przygryzła wargę. Odgadywał, że chce zaprzeczyć, lecz w końcu posłała mu tylko pocałunek.

Uśmiechał się jeszcze długo po tym, jak stracił ją z oczu.

- Wróciła - zameldował mężczyzna. - Ona i Armstrong strasznie się do siebie przymilają... A niech mnie szlag!

- O co chodzi? - warknął Mike Blount. - Co się tam dzieje?

- Jest babcia, na litość boską, a tula się jak... - Mężczyzna zachichotał. - Trzeba przyznać, że Armstrong to niezły facet. Wie, jak rozpalić kobitkę...

- Zamknij się - rozkazał Blount. - To nie peep show. Zostaje na noc?

- Przepraszam... Nie sędzę. Zaparkował na ulicy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawi tak jaguara na dłużej.

- Śledź go.

- Jego, nie ją?

- Rób, co każe.

- Tak jest, szefie. A jeśli pojedzie do domu, to co?

- Zostaniesz tam.

- A co z nią?

- Ktoś inny się nią zajmie. Świeży i wypoczęty. Żeby niczego nie przegapił. Już wkrótce wydarzenia nabiorą tempa.

Mike Blount zakończył rozmowę. Ci idioci go wykończą, chociaż akurat ten gnojek ma bystre oko.

Corbinowie zrobili się piekielnie upierdliwi, ale nie miał czasu zastąpić ich kimś innym. Sprawa się komplikuje. Armstrong to przebiegła sztuka. Na dodatek uczciwy. Informatorom Blounta nie udało się znaleźć na niego żadnego haka.

Możliwe, że z tą Marchand prowadzi tylko grę. Sprytny pomysł. Jego koneksje rodzinne stawiają go z nią na równi. Ale obojętne, jakimi motywami się kieruje, nie można pozwolić, by popsuł mi szyki. Tu liczy się czas, a jego oferta to sypanie piasku w tryby.

Dobrze, że ma baczne oko na wszystkich kręcących się wokół wszystkich pań Marchand, wliczając w to Armstronga. Jego człowiek widział go spotykającego się z Judem Lawsonem, a nie ze swoimi stałymi adwokatami. Blount podążył tym tropem i odkrył, że Armstrong zaczął coś knuć.

Na dodatek, na nieszczęście dla Armstronga, jego wtyczka w Hotelu Marchand ma słabość do koni.

Mike Blount uśmiechnął się do siebie zimno.

William Armstrong jest przebiegły i potężny. Ale on również.

Telefon Luca zadzwonił tuż przed świtem. Luc spojrzął na numer na wyświetlaczu i jęknął.

- Tak? O co chodzi?

- William Armstrong złożył ofertę kupna hotelu.

- Żartujesz? - Spowolniony snem umysł Luca natychmiast zaczął pracować na pełnych obrotach.

Armstrong zabrał Anne Marchand na kolację. Przyniósł jej bukiet bzu. Co on knu...

- Lepszą od naszej, z tego co słyszę.

W takim razie zagrał ci na nosie. Luc nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Ale nie jesteś tego pewien, tak?

- I tu zadanie dla ciebie. Musisz się dowiedzieć, jakie zaoferował warunki.

- To nie moja działka. Jak wytłumaczę, że mnie to interesuje? Ludzie nabiorą podejrzeń.

- Mało mnie obchodzą ludzie! - wrzasnął Richard Corbin. - Wchodzi nam w paradę, a czas ucieka. Nie możemy stracić naszej pozycji. Dowiedz się szczegółów, bo...

Luc miał po dziurki w nosie obu braci.

- Bo co? - spytał hardo.

- Lepiej nie wiedzieć, wierz mi. Módl się, żebyś się nigdy nie dowiedział, co się stanie, jeśli przez ciebie sprawa się rypnie. Mało mnie obchodzi, jak to zrobisz. Włam się do biura Charlotte Marchand albo powieś staruchę nogami do góry i wytrząśnij to z niej. Masz się wszystkiego dowiedzieć. I to zaraz. Słyszysz?

- To ryzykowne. Nie mogę tak po prostu tam pójść i jak gdyby nigdy nic...

- Powiedziałem Danowi, że jesteś facetem bez jaj. To twoja ostatnia szansa. Zrozumiałeś? Jeśli szybko nie zdobędziesz tych informacji, nie będziesz już nam potrzebny. A co robimy z tymi, którzy są nam niepotrzebni? Wyrzucamy ich. Jasne?

Połączenie zostało przerwane.

Jasne. Nawet za bardzo. Dzień, kiedy Corbinowie znikną z jego życia, coraz bardziej się oddalał. Właść się do gabinetu Charlotte? Facet chyba zważywał.

I do tego jest groźniejszy, niż się Lucowi wydawało.

Musi grać na zwłokę.

I musi znaleźć odpowiedź. Nowa propozycja oznacza wielką niewiadomą i komplikuje już i tak bardzo skomplikowaną partię szachów.

Luc wstał z łóżka i zaczął krążyć po pokoju. Zastanawiał się nad kolejnym ruchem.

scandal01

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Niemądrze z mojej strony oddawać się przyjemnościom, kiedy mam takie poważne kłopoty, wyrzucała sobie Anne, budząc się następnego ranka. Zerknęła na zegarek: trudno, za późno na pływanie.

Ale było cudownie. Nie tylko William poczuł się jak nastolatek. Przypomniały jej się letnie poranki, kiedy z zapartym tchem myślała o czekającym ją dniu pełnym nowych możliwości, przygód dzielonych z przyjaciółmi albo z...

Z Pierre'em, ukochanym młodszym bratem, którego od tak dawna nie widziała. Za którym tęskniła. Posmutniała. Podeszła do sekretery w rogu pokoju i wyjęła ulubione zdjęcie przedstawiające ich oboje. Zostało ono zrobione, kiedy on miał około ośmiu lat, a ona dwanaście.

- Och, *mon frere*, gdzie jesteś? - spytała na głos.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zmarszczyła czoło. Kto składałby jej wizytę o tej porze?

Wyjrzała przez wizjer na korytarz i potrząsnęła głową. Otworzyła jednak drzwi.

- Go tu robisz?

- Zabieram cię na śniadanie - odrzekł William.

- Stęskniłem się za tobą.

Zza pleców wyjął bukiet kwiatów, tym razem stokrotek, świeżych jak poranek.

Uradowana, przytuliła je do piersi.

- Nie znasz tego powiedzenia, że miłość wzrasta wraz z odległością? - Objął ją i przytulił. - Jesteś nienormalny - zaprotestowała, lecz dała się pocałować. - Mmmm...

Oczy mu pociemniały, zaczął ją lekko popychać w stronę sypialni.

- Przestań - zaprotestowała i położyła mu dłoń na piersi. - Nie musisz zająć się swoją firmą?

Obrócił się z nią jak w tańcu i wirując po pokoju, starał się doprowadzić Anne do łóżka.

- Stwierdzenie świadczące o spostrzegawczości. Firma może poczekać, a ja mam tu pewien interes do załatwienia...

Anne upajała się przygodą, o jakiej nawet nie marzyła.

W następnej chwili leżała na plecach na materacu, a William rozchyłał poły jej szlafrocza, całując żarliwie każdy centymetr odkrywanej skóry. Drżała z rozkoszy, jęczała zupełnie nie jak dama.

- Williamie, ja...

Jego ręce pieściły ją, rozpalały, pocałunki nie pozwalały dokończyć zdania. Uśmiechnęła się do siebie w duchu. Kto by pomyślał? Dziewczęta będą zszokowane. Na pewno już są w hotelu, albo zaraz przyjadą. Próbowwała zebrać siły, by powstrzymać Williama, odesłać go do domu. I właśnie wtedy pochłoneła ją fala pożądania. Pomyśli później, teraz istnieje tylko William.

- Masz pogniecioną koszulę - zauważyła Anne jakiś czas później, kiedy wracali do salonu.

- W biurze mam świeżą - uspokoił ją.

Pomyślał, że tę, przesyconą jej zapachem, powinien zatrzymać na pamiątkę, jako trofeum.

Wpadł z kretesem, a co gorsza, wcale się tym nie przejmował. Gdyby było możliwe odwołanie następnego spotkania, porwałby Anne na ręce i wywiózł gdzieś daleko. W Montanie, gdzie wciąż panowała zima, miał domek w górach. Długo, mroźne noce przy kominku...

- Przestań mieć taką minę.

- Jaką?

Zmrużyła powieki.

- Pantery, która upolowała zdobycz.

- Przyznaję się do winy. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Ale obiecuję, że ci się to spodoba.

Zaczerwieniła się. Wyglądał uroczo.

- Obawiam się tego, niestety. Ty musisz zadbać o swoje imperium, ja o mój mały hotelik znajdujący się teraz w kłopotach. Haniebnie go zaniedbałam.

- Poszłaś na kolację. Przecież musisz jeść.

- Ale było też śniadanie i... no wiesz co. - Załamała ręce. - Seks.

- To było coś więcej niż seks. Nie zaprzeczaj.

- Nie zaprzeczam - odparła cicho. - I może, kiedy to wszystko się skończy, jeśli się skończy, zastanowię się, co z tym począć. Co z tobą począć.

Wyciągnął do niej ramiona.

- Trzymaj ręce przy sobie. To śmiertelna broń.

- Wiedział, że żartem Anne chce pokryć napięcie.

- Odmawiam - odrzekł i objął ją mocno. - Ale pozwolę ci zabrać się do pracy. Tylko jeszcze jedno...

- Co? - spytała pełnym podejrzliwości tonem.

- Po prostu to. - Zdusił w sobie pożądanie i przytulił ją do siebie. - Dobrze ci?

Westchnęła.

- Bardzo dobrze.

- Kocham cię - szepnął. - Pragnąłbym, żeby to cię nie gnębiło.

- Może niedługo przestanie.

Musiał się tym zadowolić.

- Pozostaje mi więc żyć nadzieją.

W nagrodę usłyszał stłumiony urywany chichot. Po chwili wypuścił ją z objęć, włożył marynarkę, sięgnął po kluczyki do samochodu, które zostawił na stoliku przy drzwiach. Nagle zobaczył fotografię.

- Kto to? - zainteresował się i sam odpowiedział na swoje pytanie: - Ty i twój brat, tak? Wciąż nie udało ci się go odnaleźć?

Potrząsnęła głową.

- Żałuję, ale nie miałam okazji zwrócić się do nowego detektywa, po tym jak ten ostatni nie trafił na żaden trop.

To mógłby dla niej zrobić.

- Pozwól mi się tym zająć. Znam pierwszorzędną firmę.

- Nie musisz...

- Proszę. - Usiłował zapanować nad irytacją, lecz nie do końca mu się udało. - Chcę ci pomóc. Na miłość boską, pozwól mi zrobić dla ciebie chociaż to.

Widział, jak Anne toczy wewnętrzną walkę. Czekał na odmowę, lecz zaskoczyła go.

- Dziękuję. Będę ci bardzo wdzięczna.

Uradowany, skradł jej jeszcze jednego całusa.

- Przyjadę po ciebie o siódmej - rzucił i zanim zdążyła zaprotestować, wyszedł.

Za drzwi dobiegł go jej śmiech.

Luc znajdował się w gabinecie Charlotte, kiedy z korytarza dobiegł ich głos Anne rozmawiającej z jej asystentką, Julie.

- Wydaje się szczęśliwa - zauważył.

- Bo jest.

- Randka musiała być więc udana.

- Jaka randka? - Charlotte zmrużyła oczy. - Nie mów, sama zgadnę... Z Williamem Armstrongiem?

Luc przypomniał sobie wczorajszą rozmowę telefoniczną z Anne, kiedy mówiła mu, że odtąd William ma nieograniczone prawo wstępu do hotelu. Potem przypomniał mu się telefon od Corbina.

- Tak.

Serce podeszło mu do gardła. Jeśli się dowie...

Charlotte wyduła wargi, lecz nie zdążyła niczego powiedzieć, ponieważ w progu stanęła Anne.

- *Doucette*... - zaczęła. - Och, Luc! Przepraszam. Julie nic nie mówiła, że jest zebranie. Co prawda nie miała okazji - dodała z uśmiechem.

- Właśnie skończyliśmy - odpowiedziała Charlotte.

Luc nie skończył, lecz podczas gdy omawiali szczegóły związane z zakwaterowaniem grupy, jaka miała

przybyć następnego dnia, udało mu się rzucić pobieżnie okiem na papiery na biurku szefowej.

Anne spoważniała.

- Jakież kłopoty? - zaniepokoiła się. - Czy coś... coś się wydarzyło?

Widząc, jak posmutniała, Luc poczuł wyrzuty sumienia. To przecież jego robota. Babka Celeste zasłużyła sobie na najgorsze, ale ciotka i siostry cioteczne nie wyrządziły mu najmniejszej krzywdy. Im dłużej z nimi przebywał, tym większej nabierał pewności, że wraz z matką zostaliby przyjęci do klanu Robichaux.

A teraz mężczyzna, który uczynił ją tak szczęśliwą, okazał się dwulicowy. Musi ją ostrzec. Tylko jak wytłumaczy, skąd o tym wszystkim wie? Jeśli się przed nimi zdemaskuje, już nic nie będzie mógł dla nieb zrobić.

- Nie, nic wielkiego. Dopracowywaliśmy szczegóły przyjęcia grupy z biura podróży Sun West.

Anne rozchmurzyła się.

- Och, damy sobie radę. - Anne poklepała chłopaka po ramieniu. - Czy ci mówiłam, jak się cieszymy, że z nami pracujesz? Wczoraj zaczęła mnie pani Davis. Nie mogła się ciebie nachwalić.

To go dobiło.

- Mnie też dziękowała.

- Wiem. William mi opowiedział. Możemy się teraz spodziewać tłumu gości z jej polecenia.

- Mam nadzieję, że wczoraj spędziła pani miły wieczór - zmienił temat.

Anne zarumieniła się aż po samą szyję.

- Dziękuję. Bardzo miły. Kolacja była wyśmienita.

Zauważyła, jak Luc i Charlotte wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Charlotte ściągnęła brwi. Najbardziej opiekuńcza z jej córek jest wyraźnie niezadowolona. Sytuacja zrobiła się niezręczna.

- Co pani wybrała z menu? - Luc postanowił ratować ciotkę z opałów.

Anne zaczęła się rozwodzić nad wystrojem restauracji i wytworną kartą dań.

- Luc musi już iść, *merę* - wtrąciła Charlotte.

Poczuł się odprawiony. Pod wpływem impulsu chciał zostać i bronić Anne przed zarzutami córki, lecz Charlotte jest w końcu jego szefową.

- Obawiam się, że tak - bąknął. - Cieszę się, że się pani trochę rozerwała. Należało się pani - dodał.

- Dziękuję.

- Życzę paniom miłego dnia. - Gdyby nie wiedział o ofercie Armstronga, uśmiechnąłby się do nich, a tak miał kompletny mętlik w głowie. Jak znaleźć dobre wyjście? Był tak zaabsorbowany myślami, że idąc korytarzem wpadł na pracownika z ekipy konserwatorskiej. - Och, przepraszam.

Mężczyzna, zbudowany jak hydrant przeciwpożarowy, rzucił mu w przelocie:

- Nic nie szkodzi.

Luc obejrzał się. Zatrudnili kogoś nowego?

„Wysyłam tam swoich ludzi. Znają się nie tylko na pożarach"... W tej samej chwili nieznajomy skręcił za róg i Luc dostrzegł to, co od początku powinno zwrócić jego uwagę: obuwie. Facet miał na sobie buty odpowiednie na ulicę, a nie do pracy i kombinezonu.

Zamarł. Gdyby zaczepił tego człowieka, Corbinowie

od razu by się o tym dowiedzieli: i wyleciałby z pracy. A to oznaczałoby, że nie może chronić Anne i jej córek.

Z drugiej strony, jeśli niczego nie zrobi, wkrótce w hotelu wybuchnie pożar. Bez ostrzeżenia.

Albo wydarzy się coś jeszcze gorszego.

Postanowił dyskretnie obserwować mężczyznę. Nie jestem szpiegiem, pomyślał i zaśmiał się w duchu. Oczywiście, że jesteś, tylko niezbyt dobrym. I na dodatek idiotą, który wplątał się w interesy z kanaliami. A jeśli ten facet cię przyłapie na śledzeniu go, rezultat będzie taki sam. Corbinowie wywalą cię na zbity pysk.

„Módl się, żebyś się nie dowiedział, co się stanie, jeśli puścisz farbę”, brzmiała groźba Richarda.

Musi znaleźć jakieś wyjście. A tymczasem trzeba: ostrzec ciotkę i jej córki przed ofertą Armstronga.

Nagle doznał olśnienia. Napisze anonimowy list do Charlotte. W hotelu każdy z pracowników miał skrytkę pocztową, więc łatwo będzie podrzucić kopertę. Z drugiej strony może Anne wie, kto kryje się za ofertą i może odpowiada jej takie rozwiązanie?

Ale jeśli nie, Charlotte dotrze do źródła i będzie: chronić matkę. On natomiast będzie grać na zwłokę z Corbinami. Za dziewięć dni rozpoczynają się ostatki i wszystko się skończy.

Ma zatem dziewięć dni na wymyślenie, jak odwieść Corbinów od ich zamiarów i zmusić, by zmienili plany.

I odczepili się od Hotelu Marchand.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Późnym popołudniem Charlotte szła do swojego gabinetu, po drodze przerzucając wyjętą ze skrytki korespondencję. Zaintrygowała ją zwyczajna biała koperta z napisanym na niej na maszynie tylko jej imieniem i nazwiskiem.

Powodowana ciekawością otworzyła ją w pierwszej kolejności. Szybko przemknęła wzrokiem po niepodpisanej kartce i ciężko opadła na krzesło za biurkiem. Wpatrywała się tępo w tekst.

WILLIAM ARMSTRONG = DRUGA OFERTA?

Nie! Wielkie nieba, nie...

A to drań. Wygadany, elegancki sukin...

Przed oczami przemknął jej obraz matki, kiedy zjawiała się u niej dzisiejszego poranka. Była taka szczęśliwa, stopami ledwie dotykała ziemi. Czerwieniła się jak młoda dziewczyna.

Dlaczego to mamie zrobił?

Charlotte gwałtownie wstała z miejsca. Rozglądała się za jakimś ciężkim przedmiotem, żeby nim cisnąć o ścianę. Gdyby była facetem, to...

Opanuj się, odezwał się głos rozsądku. Nie rób niczego pochopnie. Nie wiesz, kto przysłał ci ten anonim. Upewnij się, zanim cokolwiek zrobisz.

Poczuła uścisk w dołku. Będzie musiała zawiadomić matkę. Boże, jak jej przekazać taką rewelację?

Nagle wpadła na genialny pomysł. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Drugą ofertę w imieniu anonimowego klienta przedstawił Jud Lawson. Słuchając nagranych komunikatów, niecierpliwie stukała stopą o podłogę. Dlaczego nikt już nie korzysta z usług telefonistek, myślała zirytowana. Nareszcie doczekała do opcji: „wybierz tonowo numer albo poczekaj na zgłoszenie się operatora”.

- Biuro Juda Lawsons - odezwał się wreszcie głos sekretarki.

Kolejna przeszkoda, westchnęła w duchu Charlotte.

- Mówi Judith Armstrong - skłamała. - Dzwonię w imieniu ojca w sprawie oferty wykupu Hotelu Marchand. Mam do pani jedno krótkie pytanie.

- Obawiam się, że nie będę mogła na nie odpowiedzieć. Cała dokumentacja znajduje się u pana Lawsons.

Bingo! Zaraz, zaraz... Nie mów hop, dopóki...

- Czy mogłabym z nim rozmawiać?

- Oczywiście. Łączę.

Charlotte głęboko odetchnęła. Potem znowu. Zastanawiała się, jak przebrnie przez tę rozmowę.

- Jud Lawson. Zaskoczyła mnie pani tym telefonem, pani Armstrong.

Zaraz zaskoczę cię jeszcze bardziej.

- Mówi Charlotte Marchand. Czy za ofertą, jaką nam pan przedstawił, stoi William Armstrong?

Musi być absolutnie pewna.

Jud Lawson ze świstem wciągnął powietrze w płu-

ca. Ten dźwięk powiedział jej wszystko. Prawnik szybko się opanował, lecz ona swoje już wiedziała.

- Obawiam się, że to poufne informacje. Zresztą sama się pani orientuje.

- Oczywiście.

Charlotte postanowiła zwolnić tempo. Niewykluczone, że ta oferta okaże się dla nich kołem ratunkowym.

A niech tam. Sprzedadzą ten hotel po jej trupie. Miesiącami harowała bez wytchnienia, bez dnia odpoczynku, starając się zastąpić matkę. Z początku głównie dlatego, że było to przedsiębiorstwo rodzinne. Potem dlatego, że hotel należał również do niej. Pokochała go, każdą cegłę, każdy zakamarek. Groźba, że mogą go stracić, spędzała jej sen z powiek. Wiedziała, że gdyby się tak stało, matka by jej wybaczyła, ale ona sama by sobie tego nie darowała.

- Ma pan prawo nie zechcieć potwierdzić tożsamości klienta, lecz może pan przekazać mu ode mnie wiadomość, prawda? - Zmusiła się do przybrania słodkiego tonu.

- Chyba tak.

- Proszę więc zawiadomić pana Armstronga, to znaczy pańskiego klienta, że prędzej ziemia w miejscu stanie, niż sprzedam mu nasz hotel.

- Tożsamość mojego klienta pozostanie tajemnicą, dopóki on sam, albo ona sama, będzie sobie tego życzył albo życzyła. Poza tym rozumiem, że jedyną osobą upoważnioną do podejmowania takich decyzji jest pani matka, prawda?

- To druga sprawa, jaką mam do pana. Proszę

powtórzyć panu Armstrongowi, żeby trzymał się od mojej matki z daleka, bo...

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Porywczy temperament odziedziczony po ojcu dał o sobie znać.

- Na pani miejscu nie posuwałbym się do gróźb. To jest prosta, uczciwa oferta handlowa. Pani zachowanie jest wysoce nieprofesjonalne.

Charlotte zacisnęła zęby i odliczyła do dziesięciu.

- Proszę przekazać swojemu klientowi moje słowa.

Nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę na widełki.

- Charlotte, jesteś umówiona. - Julie zajrzała przez drzwi łączące oba gabinety. - Coś się stało? - zaniepokoiła się.

- Gdzie jest moja matka?

- Sprawdzę. Dobrze się czuje?

- Dobrze, ale obawiam się, że zaraz przestanie.

Och, gdyby ktoś zdjął ten ciężar z moich barków, Charlotte jęknęła w duchu.

- Charlotte?

- Nic jej nie będzie - Charlotte zapewniła swoją asystentkę. Miała nadzieję, że się nie myli. - Proszę, znajdź ją, ale nie mów, że jej szukam.

- Załatwione.

Charlotte zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. Tato, westchnęła w duchu, gdybyś był tutaj, żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie odczuwała jego braku.

Judith Armstrong opuściła pokład samolotu z Dal-

las z miną kobiety mającej misję do spełnienia. Wykonała wszystkie polecenia ojca i wiedziała, że będzie dumny z jej osiągnięć. Wczorajszej nocy pracowała do późna, przygotowując prezentację ukazującą, jak maksymalizować zyski.

Kiedy skończyła, nie mogła już zasnąć. Wpadł jej do głowy pewien pomysł w sprawie Hotelu Marchand, zadzwoniła więc do Glena Schiaefera do domu, by się z nim skonsultować. Nie była to jakaś radykalna zmiana, raczej wybieg, jak rozwiązać ostatnie zastrzeżenia Anne Marchand. Cena, oczywiście, pozostaje bez zmian. Ale zadaniem Judith była ochrona interesów Regency Corporation, nie konkurencji.

Uzyskawszy aprobatę Glena, miała zamiar zadzwonić do Charlotte Marchand i poprosić ją o spotkanie. Pozornie byłaby to nieformalna rozmowa dwójga specjalistów z branży hotelowej/Charlotte cieszyła się opinią osoby o bystrym umyśle, Judith również. To dzięki swojej przenikliwości odkryła niewierność męża, który trwał w przekonaniu, że potrafi ją przechytrzyć.

Po rozwodzie przez wiele miesięcy tkwiła w dołku, lecz teraz powoli odzyskiwała wiarę w siebie. Sprawdzała się w tym, co robiła, Glen wiedział o tym, ojciec również. Z zaskoczeniem odkryła, że jest jego nieodrodną córką.

Wykręciła numer centrali Hotelu Marchand. Postanowiła spotkać się z Charlotte i postarać się wysondować, czy jest gotowa namówić matkę do sprzedaży oraz jakie warunki by ją zadowolili. Chciała również sprawdzić, czy Charlotte orientuje się, że Anne

i William są... parą. I czy to napawa ją takim samym niesmakiem co ją.

Wiedziała, że spotkanie wymaga dyplomacji i taktu. Tuż po rozwodzie nie byłaby w stanie sprostać takiemu wyzwaniu. Nawet teraz jeszcze odczuwała większą treść, niż się spodziewała.

Dasz sobie radę, powtarzała w duchu.

Ojciec będzie z ciebie dumny.

- Twoja matka jest na patio - relacjonowała Julie.
- Czyni honory domu, a goście jak zwykle są nią oczarowani. Czy dziś rano nie wyglądała uroczo?
- spytała z uśmiechem. - Idąc, ledwo dotykała stopami ziemi. Mężczyzna, prawda?

Charlotte potarła czoło.

- Tak. I nie było kto. William Armstrong.

- Och. Właściciel Regency?

Charlotte przytaknęła skinieniem głowy,

- Jest naprawdę bogaty. I ma powodzenie.

- Jest obleśny - wyrwało się Charlotte.

- Coś takiego! Czyżby wykorzystywał naszą biedną Anne?

Charlotte milczała, żałując niewyparzonego języka. Nagle westchnęła. Julie nieraz udowodniła, że można liczyć na jej dyskrecję. A ona musi przed kimś otworzyć serce, szczególnie że osoba, której zazwyczaj się zwierzała, czyli matka, jest powodem jej rozterki.

- To on stoi za tą drugą ofertą kupna - oznajmiła.

Julie zrobiła wielkie oczy.

- Żartujesz. - Zmarszczyła brwi. - To naprawdę perfidne z jego strony. Łobuz. - Po chwili namysłu

dodała: - Ale to dobra oferta. Lepsza od tej pierwszej. Tylko dlaczego to zrobił?

Julie była nieocenioną partnerką do dyskusji.

- Bo uwiódł mamę i wyciągnął od niej szczegóły pierwszej oferty, więc wiedział, czym ją przebić?

- Nie zdradziłaby mu tych szczegółów, gdyby...

- Gdyby mu nie ufała - dokończyła za nią Charlotte.

- A to drań!

- Gdyby był mięczakiem, nie zbiłby takiej fortuny - skwitowała Charlotte. - W młodości rywalizował z moim ojcem. Nie po raz pierwszy próbuje odkupić nasz hotel.

- To dlatego posłużył się powiernikiem. Żeby przeszłość nie stała się między wami.

Charlotte nie była zadowolona, słysząc z ust asystentki własne myśli.

- I żeby mama nie zamknęła się w sobie.

- Musisz jej o tym powiedzieć - stwierdziła Julie ze smutkiem. - Będzie...

- Zdruzgotana - ponownie dokończyła za nią Charlotte. Spuściła głowę i wbiła wzrok w blat biurka.

- Nie wiem, jak to zrobić. I dałabym wiele, żeby mnie ktoś w tym wyręczył.

- Powinnaś najpierw zebrać siostry. Zadzwoń do nich - zaoferowała się Julie i skierowała ku drzwiom swego gabinetu. - Aha, omal nie zapomniałam, po co tu przyszłam!

- O co chodzi?

Julie pomachała karteczką, na której miała coś zanotowane.

- Zgadnij, kto chce się z tobą spotkać.
- Nie mam pojęcia.
- Judith Armstrong.
- Niemożliwe! Kiedy?
- Powiedziała, że się do ciebie dostosuje, ale zaproponowała też, że mogłaby wstąpić w drodze do biura, gdybyś zechciała teraz poświęcić jej chwilkę. Jest na lotnisku.

Charlotte opadła na oparcie krzesła.

- Czego ona może ode mnie chcieć? - Potrząsnęła głową. - Nie jesteśmy sobie tak zupełnie obce. Chodziłyśmy do tej samej szkoły, chociaż ona jest trochę ode mnie młodsza. Nie udzielała się towarzysko, ale mieszkała niedaleko babci. Jej ojciec nadal tam mieszka. - Na wspomnienie Williama Armstronga znowu zmarszczyła brwi. - Rozumiesz coś z tego?

- Nie - odpowiedziała Julie zupełnie szczerze.
- Więc co mam jej przekazać?

Uśmiech Charlotte był lekko nieprzyjemny.

- Ależ powiedz, żeby koniecznie wstąpiła. Znajdę dla niej chwilkę.

- Co z siostrami?
- Wstrzymamy się, dopóki nie wysonduję, jaką grę prowadzą Armstrong i jego córunia.
- Świetnie.

Judith była przekonana, że dobrze się maskuje, zaczynając od: „Jak się masz?” „Pracujemy w tej samej branży”. „Po prostu chciałam cię poznać”. Zahaczyła nawet o wspólnych znajomych.

Charlotte zastanawiała się, kiedy nareszcie prze-

dzie do rzeczy. W końcu się doczekała. Judith zaczęła sondować, jakie warunki stawiałaby przy sprzedaży hotelu. Jak gdyby oferta jeszcze nie została złożona!

Co oni kombinują? Ojciec i córka zwierają szyki przeciwko Marchandom? Wygląda na to, że Judith szczególnie zależy na ustaleniu oczekiwań Charlotte związanych ze zmianą właściciela.

W końcu cierpliwość Charlotte się wyczerpała.

- Daruj sobie te podchody - rzekła. - Chyba się już dowiedziałaś wszystkiego, na czym ci zależało.

- Co? - Judith wyglądała na szczerze zdumioną.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O ofercie, jaką złożył nam twój ojciec.

- Mój... mój ojciec? - wybąkała Judith. Nagle cała energia jak gdyby z niej uleciała.

- Czyżbyście działali każde na własną rękę? On uwodzi moją matkę, ty próbujesz ciągnąć mnie za język?

Judith pobladła.

- Uwodzi twoją matkę?

- Nie mów mi, że nie wiesz. Doprowadził ją do takiego stanu, że promienieje jak słońce.

- Też tego nie aprobujesz, prawda?

- Nie dość, że dołki kopał pod moim ojcem, to teraz chce złamać serce najlepszej kobiecie, jaką znam. Nie, nie podoba mi się to. Okazuje się, że moje najgorsze obawy się sprawdziły. To kanalia.

- Nie mów tak. Ojciec jest dobrym człowiekiem

- zaprotestowała Judith. - Nie zrobi niczego podobnego.

- Już zrobił.

Judith wstała. Wyglądała na zdruzgotaną.

- Nie mogę... Nic mi nie powiedział... - Zamilkła i zacisnęła usta. - Muszę już iść - dodała. - Muszę z nim porozmawiać. Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie żegnając się, ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - zawołała Charlotte i wyszła zza biurka. - Kiedy się z nim zobaczysz, powiedz mu, że zawiadomiłam o wszystkim matkę. Boję się, jak to przyjmie, lecz musi zostać ostrzeżona. Musi zobaczyć go takim, jakim jest.

- Rozumiem - odparła Judith bezbarwnym głosem.

- I powiedz mu jeszcze jedno. Jeśli jego noga po-
stanie w Hotelu Marchand, albo jeśli spróbuje się
kontaktować z moją matką, każę go aresztować za
wkroczenie na teren prywatny. Albo za matactwa.
Obojętne za co, coś znajdę.

- To jakiś absurd!

- Zarzuty nie są istotne, ale jego opinia ucierpi.
Facet taki jak on ma swoją miłość własną. Zamierzam
w nią uderzyć. Żałuję, że nie mogę rozwalić mu gęby.

- Nie mów tak. To mój ojciec. - Judith skuliła się
w sobie. - Jest całą moją rodziną.

- A ona jest moją matką - odparowała Charlotte
gwałtownie. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy,
żeby ją chronić.

Gorączkowo zastanawiała się, jak postąpić, i prze-
czuwała, że matka zażąda ujawnienia całej prawdy.

Judith wyszła bez słowa.

Charlotte siedziała chwilę z twarzą ukrytą w dło-

niach, potem sięgnęła po telefon, by skontaktować się z siostrami.

Wiedziała, że matka będzie potrzebowała wsparcia wszystkich córek.

Anne, cicho podśpiewując, szła przez patio. Śmiała się z siebie. Cały dzień była w wyśmienitym nastroju, radość ją wprost rozsadała. Przecież nie ma w tym nic złego, że czuje się szczęśliwa.

A jednak jest, Remy, prawda? On to nie ty. Nigdy mi ciebie nie zastąpi...

Ma belle, niemal słyszała jego głos, jestem wyjątkowy, nie znajdziesz drugiego takiego jak ja.

Gdyby żył, rzuciłby się na Williama z pięściami. Był bardzo zazdrosnym mężem.

Na jedno mgnienie jej radość przygasła, potem jednak przypomniała sobie, że nieraz powtarzał, iż nie chce, aby po jego śmierci żyła samotna i niekochana.

On mnie kocha, Remy. Przynajmniej tak mówi, tak się zachowuje. I chyba mu wierzę.

- Pani Marchand? - Głos asystentki Charlotte przerwał jej rozmyślenia.

- Słucham, Julie. Czy nie powinnaś już iść do domu? Mac na pewno już na ciebie czeka.

Mac Jensen prowadził własną firmę detektywistyczną i ochroniarską i od kilku miesięcy pracował dla Hotelu Marchand. Wziął tę posadę, by na zlecenie rodziny ochraniać Julie, ale w końcu zakochali się w sobie. Anne wiedziała, że będzie jej brakowało Maca, który już złożył wymówienie, ale pocieszała się, że przynajmniej będą w kontakcie przez Julie.

Anne zarumieniła się.

- Czaka, ale rozumie, że w mojej pracy muszę być elastyczna. On też nie zawsze pracuje „od... do”.

- No tak. Wdzięczna jestem losowi, że nadal tutaj jest, ale nie chciałabym, żebyście się zbyt przemęczali.

- To dlatego, że teraz jest pełny sezon.

- Prawda. Po karnawale wszyscy trochę odetchniemy. Masz do mnie jakąś sprawę?

- Charlotte prosiła, żebym panią znalazła. Chce się z panią spotkać u pani, jeśli to możliwe.

- Nic jej nie jest? Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Anne.

Julie była wyraźnie zakłopotana.

- Po prostu chciałyby zamienić z panią kilka słów.

. Anne pomyślała o łzach Charlotte wczorajszego popołudnia i o wielkiej presji, pod jaką żyła.

- Oczywiście - odparła.

Nie ma dużo czasu, by się przygotować na randkę z Williamem, ale jeśli córka jej potrzebuje, William to zrozumie, co do tego nie miała wątpliwości. Pójdą na kolację trochę później. Albo innego dnia, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Już idę do siebie - dodała.

- Dziękuję. Odprowadzę panią.

Anne spojrzała na nią kątem oka.

- To bardzo miło z twojej strony, Julie, ale ponieważ mieszkam tu od trzydziestu kilku lat, sama trafię.

- Nagle zatrzymała się. - Chyba że chcesz porozmawiać? Napięcie, w jakim żyje Charlotte, na pewno udziela się i tobie.

- Mnie? Och nie. Nie. Mnie nic nie jest. A Charlotte znakomicie daje sobie radę.

- Jako jej matka muszę powiedzieć, że doceniam, ile dla niej robisz. Miłego wieczoru, moje dziecko.

- Nawzajem, pani Marchand.

Głos Julie brzmiał tak smutno, że jadąc windą do siebie, Anne postanowiła jutro porozmawiać z nią i upewnić się, czy dziewczyna na pewno nie ma jakichś kłopotów.

Wciąż myśląc o Julie, otworzyła drzwi swojego mieszkania.

Wszystkie cztery córki czekały już tam na nią.

- Czyżbym zapomniała o jakiejś ważnej rodzinnej uroczystości? - powitała je żartem.

Nagle spostrzegła, że Charlotte ma minę ponurą, Renee zdecydowaną, Melanie wściekłą, a Syhrie smutną.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona. - Daisy Rose? *Grand-mere*? A może chodzi o Pete'a?

Sylvie podeszła do niej i rzekła:

- Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi, Mama— zapewniła ją i zgromiła siostry wzrokiem. - Gratuluję, dziewczyny, przerażyłyście ją na śmierć. - Potem zwracając się znowu do matki, wyjaśniła: - Po prostu musimy z tobą porozmawiać.

- O czym? - Anne miała jak najgorsze przeczucia. - Jeśli nie o rodzinie, to o hotelu, tak?

- Usiądź, proszę. - Teraz Charlotte zbliżyła się do niej. Ramiona trzymała opuszczone wzdłuż boków, jak gdyby stawała przed plutonem egzekucyjnym.

Anne ogarnął strach.

- William. Miał wypadek. Jest... - Urwała i rzuciła się ku drzwiom.

Sylvie przytrzymała ją za rękę.

- Williamowi nic nie jest, o ile wiemy. Proszę, usiądź.

Anne wyrwała jej rękę, skrzyżowała ramiona i zaczęła je rozcierać, jak gdyby nagle zrobiło jej się zimno. Żołądek podszedł jej do gardła. Jeszcze nie usłyszała żadnej złej wiadomości, a już szykowała się na cios.

- Wolę stać - odrzekła i wyprostowała się. - Cokolwiek macie mi do powiedzenia, mówcie, nie trzymajcie mnie dłużej w niepewności.

Zauważyła, że Charlotte, jej silna, zrównowazona Charlotte, ma Izy w oczach.

- Mama, duszę bym sprzedała, żeby tylko nie musieć ci tego mówić. Rozwazałam każde rozwiązanie, bo śmiertelnie się boję cię zranić. To może odbić się na twoim zdrowiu. Ale ostatecznie doszłam do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć ci prawdę.

- Daruj sobie ten przydługi wstęp. Nie dostanę drugiego zawału. No, wyrzuć to z siebie wreszcie!

Charlotte spojrzała na siostry, jak gdyby szukając ich wsparcia, i wypaliła:

- To William Armstrong złożył drugą ofertę. Dziś się tego dowiedziałam.

W pierwszej chwili Anne sądziła, że się przesłyszała.

- Co takiego? Niemożliwe. On nie mógłby... Nie zrobiliby tego...

Dostaliśmy nową ofertę.

Troska w jego oczach, „Od kogo?”

Nie. Proszę, nie!

„Czy przyjęcie tej oferty byłoby aż takim złym rozwiązaniem?”

„Kocham cię, Anne”.

Jego głos brzmiał teraz w jej głowie jak szyderstwo.

Strach ścisnął ją za gardło, lecz szybko się opanowała.

- Nie. - Mocniej zacisnęła dłonie na skrzyżowanych ramionach. - On... - On mnie kocha. Zobaczyła teraz jego niebieskie oczy, kiedy pochylał się nad nią. Pieścił ją. Obejmował, gdy się wahała. - Mylisz się, Charlotte. Jak się tego dowiedziałaś? Spytałaś go wprost?

Charlotte na jedno mgnienie straciła pewność siebie, lecz szybko ją odzyskała.

- Nie musiałam — rzekła. - Spytałam asystentkę Juda Lawsons.

- Powiernika.

Charlotte kiwnęła głową.

- I asystentka potwierdziła?

- W zasadzie tak.

- Co cię do tego skłoniło?

Anne czuła narastający w niej bunt. Oczyma duszy widziała Williama. Obejmującego ją. Słuchającego jej. Śmiejącego się z nią. Kochającego się z nią.

Mężczyzna, który robił te rzeczy, nie mógł jej tak oszukać. Charlotte się myli.

- Nie chciałaś, żebym się widywała z Williamem, i rozumiem twój sprzeciw. Byłaś bardzo związana z ojcem. Oczywiście trudno ci wyobrazić sobie mnie

z innym mężczyzną, ale żeby posuwać się aż do szpiegowania Williama?

Charlotte zachnęła się, jak gdyby matka wymierzyła jej policzek.

- Nie szpiegowałam. Ktoś przysłał mi list.

- Kto?

- Nie podpisał się.

- Cóż... - Anne poczuła się pewniej. - Może stoją za tym Corbinowie? Chcieli tobą wstrząsnąć, żebyś odrzuciła drugą propozycję, nawet się nad nią nie zastanawiając.

- Rozmawiałam też z samym Judem Lawsonem.

W głosie Charlotte słychać było nutę współczucia.

- Potwierdził?

- Właściwie tak. Oficjalnie nie może tego zrobić, ale wyczytałam to między wierszami. Nie ma wątpliwości. To William Armstrong.

Anne odwróciła się do pozostałych córek. Chodziło o jej przyszłość. Jej serce.

- Ale nie masz pewności?

- Przed chwilą przyszła do mnie Judith Armstrong. Chciała mnie wybać, jakie stawiam warunki.

Anne zastanawiała się, na ile sposobów można złać komuś serce. Jednak była nieugięta.

- Może Regency Corporation wystąpiła z ofertą bez wiedzy Williama.

- Mama, Regency Corporation to William. - Mina Charlotte zdradzała, że ma jednak pewne wątpliwości.

- Wydaje mi się, że w tym wypadku działa sam, nie wtajemniczając nikogo w firmie w swoje plany. Judith była zdumiona, kiedy jej o tym powiedziałam.

- Więc ona też ci nie wierzy?

- Och, Mama - wtrąciła się Sylvie - rozumiem, dlaczego nie chcesz nam uwierzyć, ale...

Teraz wszystkie cztery ją otoczyły, wszystkie ze smutnymi minami. Anne uniosła dłoń, prosząc o uwagę.

- Zostawcie mnie teraz samą.

Ich zdumienie dorównywało jej zdumieniu. Nigdy w życiu nie odrzuciła silnych więzi, jakie ją łączyły z córkami.

- Mama, my tylko chcemy cię chronić - odezwała się Renee.

„Chcę się tobą opiekować”.

Dusiły ją te dobre intencje innych.

- Potrzebuję trochę czasu - rzekła. - Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

- Zadzwoń do niego w twoim imieniu, Mama zaproponowała Melanie. - Powiem mu, żeby się wycofał.

- Nie - zdecydowanym tonem odparła Anne, ucinając wszelkie próby wyręczenia jej w załatwieniu tej sprawy. Zaczepnęła haust powietrza i modliła się, by zachować spokój. - Wiem, że mnie wszystkie kochacie. I ja was kocham. Wiem, że chcecie dla mnie najlepiej, i rozumiem to, ale... - Głos jej się załamał. Kiedy podeszły bliżej, zatęskniła za tym kręgiem miłości równie silnie, jak za ucieczką. - Proszę. Ja tylko...

Powiodła wzrokiem po ich twarzach. Zatrzymała spojrzenie na Charlotte.

- Przepraszam, ale tę sprawę muszę załatwić sama.

- Zmusiła się do uśmiechu, do jakiego tylko matki są

zdolne. -Naprawdę. Nie martwcie się o mnie. Obiecuję, że zadzwonię do was, kiedy będę gotowa o tym rozmawiać. - Spojrzała w kierunku drzwi do sypialni. Pragnęła się tam zaszyć. - Idźcie już, *mes anges*. Potrzebuję побыć trochę sama.

Wahały się jeszcze.

- Szkoda, że taty nie ma z nami - odezwała się Melanie, ulubienica ojca.

- Och, *bebel* - Na wspomnienie Remy'ego omal się nie rozpłakała. - Ja też bardzo bym chciała, żeby tu był. - Zmobilizowała całą siłę woli, by sprawiać wrażenie silnej i pozbieranej. Zadaniem matki jest być dla dzieci oparciem, nie ciężarem. - Ale cóż, jego nie ma, a ja dam sobie radę. Wszystko będzie dobrze, zobaczycie. No, zmykajcie. Spotkamy się później na kawie, co wy na to?

Nie były przekonane, ale w końcu Sylvie, sama już matka, przerwała impas.

- No, dziewczęta - zarządziła - dajmy jej ochłonąć, a potem - rzuciła Anne znaczące spojrzenie - ponowimy atak.

Anne uśmiechnęła się bardziej szczerze.

- Obiecuję, *chere*. Tylko trochę czasu.

Wyszły, Charlotte zamykała pochód. W drzwiach obejrzała się i rzekła:

- Nie sędzę, żebym się myliła, chociaż bardzo bym chciała.

Wyglądała na przytłoczoną wyrzutami sumienia..

- Mówienie matce prawdy nigdy nie jest niczym złym, *doucette* - pocieszała ją Anne. - A teraz idź. Zadzwonię do ciebie.

Jeśli za sekundę nie zostawicie mnie samej, zacznę wrzeszczeć. Albo płakać.

- Kocham cię, Mama.
- Ja ciebie też, *mon ange*.

Charlotte wciąż się wahała. Powoli zamknęła za sobą drzwi. Anne trzymała się dzielnie, dopóki nie przekreśliła klucza w zamku. Potem poszła prosto do sypialni. Tam osunęła się na podłogę i wybuchnęła płaczem.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W swoim domowym gabinecie William podykto-
wał sekretarce jeszcze jedno pismo do wysłania na-
stępnego dnia rano. Siłą woli powstrzymywał się od
ciągłego zerkania na zegarek.

Za niewiele ponad godzinę zobaczy Anne.

Chcę ją zobaczyć już teraz.

Nie, nie, to żalosne. Odchylił się na oparcie krzesła,
stopy oparł na biurku, uśmiechnął się do siebie. Jako
szesnastolatek przed pierwszą samochodową randką
tak się nie denerwował.

Drzwi frontowe otworzyły się.

- Jesteś tam, tato?

William opuścił nogi i usiadł prosto. Uśmiechnął
się, bo właśnie pomyślał o córce.

Judith wpadła do pokoju jak burza, z rozwianymi-
włosami i zaczerwienionymi oczami. Na jej widok
William zerwał się z fotela.

- Co się stało? Miałaś wypadek? Chodź, chodź,
niech ci się przyjrzę...

Judith cofnęła się, jak gdyby ją uderzył.

- Jak mogłeś!?! - wykrzyknęła.

William wzdrygnął się.

- Nie rozumiem.

- To ja niczego nie rozumiem. - Judith wyglądała

na zdruzgotaną. - Sądziłam, że mi ufasz, ale się pomyliłam. Jak mogłeś przede mną to zataić!

Nie trzeba było być jasnowidzem, by się domyślić, o co chodzi. Tylko jedną sprawę trzymał przed córką w tajemnicy, a właściwie dwie, jeśli liczyć jego miłość do Anne.

- W jaki sposób się dowiedziałas?

- Nawet nie próbujesz zaprzeczyć? Kiedy Charlotte rzuciła mi tę wiadomość w twarz, nie mogłam uwierzyć. Powiedziałam jej, że ty nigdy... Ale to ty, prawda?

Poczuł nieprzyjemne zimno w żołądku.

- To Charlotte też wie? O Boże drogi! Na pewno powie... Zaczekaj, muszę zadzwonić do Anne.

To ją już kompletnie dobiło.

- Zdradziłeś mnie, a myślisz tylko o niej! Co za władzę ta kobieta ma nad tobą! - wybuchnęła Judith i opadła na najbliższy fotel. - Jestem twoim dzieckiem, tato!

- Kochanie - zaczął i przykląkł koło niej, chociaż najbardziej pragnął porozumieć się teraz z Anne - nie zdradziłem cię.

Odwróciła gwałtownie, głowę i spojrzała na ojca.

- A co zrobiłeś? Wziąłeś ofertę, którą ja przygotowałam, i za moimi plecami przedłożyłeś im? Usunąłeś mnie z drogi, pogładziłeś po główce i wysłałeś do Dallas, żebym myślała, że masz do mnie pełne zaufanie.

- Nie, skarbie, nie. To wcale nie tak. Mam do ciebie zaufanie. To ty przejmiesz firmę po mnie i świetnie ją poprowadzisz...

Judith zerwała się z fotela tak gwałtownie, że William omal nie stracił równowagi. Stała nad nim i popatrzyła na niego z góry. Jej oczy ciskały gromy.

- Dałeś mi tę posadę z litości. Nie sprawdziłam się jako żona, nie sprawdzę się jako szefowa twojej ukochanej firmy. A teraz zrobiłeś ze mnie idiotkę. Nie staraj się mnie ugłaskać. To nie jest kuku, które tatuś pocałuje i się zagoi.

William podniósł się z klęczek. Starał się pamiętać, że Judith jeszcze nie doszła do siebie po rozwodzie.

- Mylisz się - rzekł ze sztucznym spokojem. - Jeśli przestaniesz histeryzować, wszystko ci wytłumaczę.

Judith jednak nie była w stanie przyjąć żadnych argumentów.

- Żałuję, że mama umarła, a nie ty. Ona by nigdy, przenigdy, nie zrobiła mi niczego takiego. Ona ranie kochała. Zawsze była przy mnie.

Nie mógł zaprzeczyć, że Isabel była na każde zawołanie córki, co nie znaczyło, że onmniej kochał swoje dziecko.

- Kocham cię, Judith. Nigdy nie chciałem cię zranić.

Wyciągnął do niej rękę. Cofnęła się. Pod wpływem jej pełnego pogardy i nienawiści wzroku poczuł wyrzuty sumienia.

- Nie chciałeś, ale zraniłeś.

- Usiądź. Porozmawiajmy. Proszę...

Lecz ona już zdążyła do wyjścia.

- Nie jestem w stanie teraz z tobą rozmawiać. Jestem bardzo zmęczona - rzekła słabym, niemal dziecięcym głosem.

- Judith, wróć - prosił i ruszył za nią.

Judith przyspieszyła, aż w końcu zaczęła biec. Chciała się znaleźć jak najdalej od niego.

William patrzył, jak odjeżdża, i zastanawiał się, dlaczego jego najlepsze chęci przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego. Czyżby próbując ratować ukochaną kobietę, poświęcił, świadomie lub nieświadomie, dziecko, które kochał znacznie dłużej?

Długo stał nieporuszony, rozdarty pomiędzy impulsem, by biec za córką, która właśnie oświadczyła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, a pragnieniem porozmawiania z kobietą, która zapewne uczyni to samo.

Przypomniał sobie, że nawet jako mała dziewczynka Judith, gdy ochłoneła, potrafiła wysłuchać racjonalnych argumentów. Była impulsywna, lecz nie pamiętliwa.

Zduślił w sobie żal i niepokój o nią i pobiegł do telefonu. Modlił się, by ubiec Charlotte. Wyjaśni wszystko, a Anne zrozumie, że chciał tylko pomóc.

Albo nie zrozumie. Ale on nie da za wygraną. Przetrzyrna atak złości. Poczeka, aż mu wybaczy.

Jakoś wszystko naprawi. Zawsze umiał łagodzić sytuację. Miał do tego wrodzony dar.

Lecz kiedy wystukiwał numer Anne, ogarnął go strach, jak zawsze, gdy podejmował ryzyko. Wydawało mu się, że spada w ciemną bezdenną przepaść.

Telefon dzwonił, aż odezwała się poczta głosowa. William zerknął na zegarek. Nawet kobieta, która chwali się szybkością w przebieraniu, szykowałaby się teraz do wyjścia.

Odłożył słuchawkę, nie nagrywając żadnej wiadomości.

Gdzie ona może być, zastanawiał się, chodząc tam i z powrotem po pokoju.

Anne usłyszała dzwonek telefonu. Rozdarł ciszę, jaką się otoczyła, kiedy już wypłakała wszystkie łzy. Chyba tylko po otrzymaniu wiadomości o śmierci Remy'ego płakała rozpaczliwiej.

W tamtych strasznych dniach też otoczyła się ciszą, jak kokonem, i to pomogło jej przetrwać ceremonię pogrzebową i wspomagać dzieci w ich żalu. A gdy w końcu zapłakała, uczyniła to w samotności, w środku nocy, kiedy wszyscy nareszcie sobie poszli.

Wtedy odkryła, że samotność może być ukojeniem. Jest konieczną częścią życia. Ostatecznie każdy w końcu zostaje sam. Zaakceptowała to. Pogodziła się z tym.

I nagle w jej życiu pojawił się William. Nawet teraz wydawało jej się okrutną ironią losu, że osoba, z którą najbardziej chciała porozmawiać o swoim bólu, jest właśnie sprawcą jej udreki.

Czy zaledwie kilka godzin temu nie cieszyła się, że zyskała powiernika?

Z jej gardła wyrwał się gorzki śmiech. Ależ tak, zwierzyła się mu. Nic dziwnego, że nowa oferta jest jak szyta dla nich na miarę. Lecz mimo to czuła kielkujące uczucie wdzięczności. Oferta jest hojna, obie z Charlotte to przyznały. Dziwiły się swojemu szczęściu, chociaż zarzekały się, że z niej nie skorzystają.

Zrobił z niej idiotkę. Ostatecznie nie oparł się pokusie zdobycia marzenia Remy'ego.

Ale to było i jej marzenie. A on całował ją, obejmował... sprawił, że czuła się wielbiona.

Usiadła na łóżku.

Na miłość boską, przynajmniej pozwól mi to zrobić.

Czy to możliwe? Czyżby on...

Nie znajdowała słów na wyrażenie, jakim błędem była jego interwencja, lecz...

Mężczyzna, który kochał ją tak czule, który ze skóry wyskakiwał, żeby wkroczyć do akcji, ten mężczyzna był zdolny do uczynienia gestu, który w jego pojęciu miał umocnić jej pozycję.

Uczciwie przyznaj, Anne. To jest właśnie to, co zrobił.

Wstała na chwiejnych nogach, w głowie jej się kręciło od długiego płaczu. Musi z nim porozmawiać. Musi odkryć prawdę.

Boże, proszę, niech się okaże, że Charlotte się pomyliła.

Poszła do łazienki, umyła twarz, nałożyła świeży makijaż. Stojąc przy umywalce, zawahała się. Spojrzała w lustro.

Czy naprawdę jest gotowa ponownie zobaczyć się z tym mężczyzną? Dopuścić go do swojego życia? Uwielbiała Remy'ego, lecz każdy związek wymaga dobrej woli i umiejętności zawierania kompromisów.

William jest dojrzałym mężczyzną, ma swoje przyzwyczajenia, upodobania i potrzeby. Nawet zakładając, że jego propozycja nie jest wybiegiem, aby osiągnąć cel, fakt pozostaje faktem, że ją okłamał. Uznał, że

lepiej działać z ukrycia, niż postawić sprawę otwarcie. Nie potraktował jej jako kobiety, która potrafi działać samodzielnie.

Ale ona potrafi. Nieraz to udowodniła. Trafiła kosa na kamień. A jeśli prawda jest jeszcze gorsza i on naprawdę ją oszukał, uwiódł, po to, żeby...

Odkoczyła od umywalki. William ma tu być za pół godziny, lecz ona nie może czekać aż tak długo, by poznać jego prawdziwe intencje. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę.

Przeszła do salonu, rzuciła okiem na telefon, lecz zmieniła zdanie. Taką rozmowę należy przeprowadzić twarzą w twarz. Niech spojrzy jej prosto w oczy i niech się wytłumaczy.

Potem zobaczą, czy coś zostało z wzajemnego zauroczenia. Nie może jej kochać i okłamywać. Nie teraz.

Przy drzwiach zatrzymała się. Wyrównała oddech. Zmobilizowała siły, dzięki którym osiągnęła w życiu to, co miała.

Bała się tego, co mogła usłyszeć. Ale dzięki rozmowie między nimi będzie prawda.

Albo pustka.

Komórka Blounta zadzwoniła, przerywając mu partijkę pokera.

- Co tam? - warknął.

- Coś się wydarzyło w hotelu, szefie.

Zaufany człowiek.

- Szczegóły?

- Ricky sprawdzał, gdzie najlepiej podłożyć ogień,

jak szef kazał, a ja miałem oko na tę Marchand. Szef wie, że wszędzie jej pełno? I dużo gada z ludźmi.

- Z jakimi?

- No wie szef, z turystami, z personelem. Wszyscy mają bzika na jej punkcie.

Blount przewrócił oczami.

- Do rzeczy. Jestem zajęty.

- Pamięta szef, że kazał nam mieć oko na tego lalusia Cartera? Tego, co pracuje dla Głupiego i Głupszego?

Blount skrzywił się. Bracia Corbinowie czasami przypominali palantów z tego filmu, ale nie należy ich lekceważyć.

- No. Co z nim?

- Widział Ricky'ego. Wpadł na niego. Potem długo za nim patrzył. - Kiedy Blount nie odpowiadał, jego człowiek mówił dalej: - Zastanawiamy się, czy ktoś mu nie doniósł o naszych planach wzniesienia pożaru.

Blount policzył do dziesięciu, potem rzekł:

- Lepiej, żeby nie doniósł. Nie ufam, że ci dwaj sobie poradzą. Dlatego posłałem ciebie i Ricky'ego, żebyście się upewnili, że straty będą minimalne.

- Pomyślałem, że dobrze by było złożyć mu wizytę. Przekonać się, co wie. Zgadza się pan, szefie?

Blount zastanawiał się, czy Corbinowie byliby aż tak nieostrożni, by dzielić się szczegółami operacji z podwładnym. Lecz jeśli się tak stało, Carterem trzeba się zająć.

Tylko jeszcze nie zaraz.

- Miejcie go na oku. Zobaczcie, czy się dziwnie

nie zachowuje. To do Corbinów podobne, próbować nas wyrolować na ostatniej prostej. Nie żeby im się to udało, ale tak blisko mety nie potrzebujemy żadnych kłopotów. To wszystko?

- Nie. Jest coś jeszcze.

- Gadaj.

- Nie wiadomo dlaczego wszystkie córki są czymś strasznie zdenerwowane. Były razem u matki w mieszkaniu, a jak wychodziły, to miały nosy na kwintę, niektóre nawet płakały.

Blount uśmiechnął się.

- Może w końcu doszło do nich, że nie mają wyjścia i muszą sprzedać hotel?

- Na to wygląda. A potem stara bardzo długo nie wychodziła. Za to teraz gdzieś się wybiera tą swoją szpanerską corvetta.

- Więc?

- Słyszałem, jak Armstrong mówił, że przyjedzie po nią koło siódmej.

- Jest szósta trzydzieści.

- Może zmienili plany, ale nie wyglądała na bardzo szczęśliwą. Aha, jest jeszcze podsłuch u tego prawnika.

- Lawsona.

- Zgadza się. Jackie mówi, że Charlotte Marchand wie o ofercie Armstronga.

- Hm...

- No właśnie. A dziś po południu była u niej córka Armstronga, ta Judith.

Córka Armstronga i córka Marchanda, pomyślał Blount. Co one knują?

- Nie podoba mi się to.
- To co pan każe, szefie?

Corbinowie tracą kontrolę nad sytuacją, to jasne. Trzeba ich wyeliminować z gry i gdzieś zadekować, zanim wszystko diabli wezmą.

- Kto rozpracowuje Corbinów?
- Lou pilnuje Dana, a Sally Richarda.
- Dowiedz się, co robią, i sprowadź ich tutaj.
- Załatwione.
- I przekaz wszystkim, żeby pilnowali siostr Marchand ze zdwojoną czujnością.

W drugim końcu miasta Dan Corbin odsłuchiwał wiadomość od brata.

- Dziś po południu Charlotte Marchand i Judith Armstrong się spotkały. Chcą nas wyrolować, braciszku. Jak nie one, to Blount. Próbowałem twojej metody, ale już dłużej nie mogę czekać. Przystępuję do akcji.

- Na miłość boską, Richardzie - mruknął Dan - co ty wykombinowałeś?

Szybko wystukał na komórce numer brata, lecz połączenie zostało natychmiast przekierowane do poczty głosowej.

Anne czekała, aż boy hotelowy przyprowadzi jej samochód, i niewidzącym wzrokiem patrzyła przed siebie. Prawdopodobnie powinna poczekać na Williama i spokojnie przedyskutować z nim rewelacje odkryte przez Charlotte. Powinna dać mu szansę się wytłumaczyć.

Wciąż była bardzo wzburzona. Im dłużej się nad wszystkim zastanawiała, tym mniejsze znaczenie odgrywało to, czy William kierował się szlachetnymi pobudkami, czy nikczemnymi.

Oszustwo jest oszustwem. William doskonale wiedział, co ona myśli na ten temat. Czyż nie otworzyła przed nim serca, czyż nie wyjaśniła mu, co dla nich wszystkich znaczy marzenie Remy'ego? Jak ważne jest dla niej i dla dziewcząt ratowanie owoców jego czterdziestoletniej pracy.

Jej pracy, do cholery! Harowała ramię w ramię z mężem, żyły sobie wypruwała. Dwoiła się i troiła, rozdarta pomiędzy rodziną a gośćmi, w ciągłych nerwach, że zaniedbuje albo jednych, albo drugich. Że nie robi wystarczająco dużo dla tych, których kocha.

William przyzwyczał się, że zawsze stawia na swoim, że rządzi swoim światem, że wszyscy tańczą, jak on zagra.

Z drugiej strony miłość też jest ważna. Ale szacunek jest najważniejszy.

Zanim dotarła do domu Williama, jej gniew trochę osłabł, lecz w każdej chwili mógł wybuchnąć z nową siłą.

Zaparkowała auto na ulicy. Przeszła kilka kroków do furtki, starając się nie patrzeć na werandę, na której go pocałowała.

Gdzie śmiali się, kiedy matka ich przyłapała.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła zapukać.

Gospodarz wyglądał na skruszonego. Niepewnego.

- Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić.

Anne wzruszyła ramionami.

- I jestem. Żeby cię zetrzeć w proch.

William przyglądał się jej w milczeniu. Może chce ocenić jej nastrój?

Anne głos uwiązł w gardle. Widok ukochanego przywołał zbyt wiele wspomnień. Zrodził zbyt wiele pytań, szczególnie o ten ostatni wieczór.

Milczenie, jakie zapanowało między nimi, było pełne znaczeń. Ogarnęło ich uczucie, że wszystko jeszcze może się zmienić, tu i teraz. Że to, co zaistniało między nimi, może za sprawą jednego słowa zniknąć. Anne czuła ucisk w uszach, jak w samolocie podczas wznoszenia się, gdy powietrze nie może wytrzymać ciśnienia wszystkich nadziei i planów pasażerów.

- Wejdiesz? - spytał niezwykle uprzejmym tonem.

- Nie. Nie... - Zająknęła się, gorące łzy zapiekły ją pod powiekami. Zauważyła, że William nie stara się niczemu zaprzeczyć. - Po tym, co zrobiłeś, nie mogę.

Ku jej zdumieniu zadarł dumnie głowę i zapytał:

- Może wyjaśnisz mi, co o tym sądzisz?

Niewiarygodne!

- Bronisz swojego postępowania?

William gestem Napoleona skrzyżował ręce na piersi.

- Bronię.

- Nie żałujesz?

- Jeśli cię zraniłem, to żałuję. Ale niepotrzebnie to tak odbierasz.

Anne potrząsnęła głową, by się upewnić, że się nie przesłyszała.

- Nie rozumiesz mnie, prawda? Nie masz bladego pojęcia, kim jestem. Go jest dla mnie ważne.

- Mylisz się - zaprzeczył łagodnym głosem, w którym jednak nie dostrzegła cienia skruchy.

- A więc zrobiłeś to z pełną świadomością - stwierdziła, wpatrując się w niego. - Zdecydowałeś, że wiesz lepiej.

- Anne, czasami...

- Odpowiedz mi. Wielokrotnie ci powtarzałam, że chcę, nie, że potrzebuję - poprawiła się - załatwić tę sprawę sama. Lecz król William, twórca imperium, zdecydował, że słaba kobietka nie może albo nie powinna próbować o własnych siłach wydobyć się z kłopotów, więc podjął własne działania.

- Z tego, co mówisz, wynika, że jestem łajdakiem. A tymczasem ja tylko chciałem cię chronić.

Świadomość, że to ona ma rację w sprawie motywów Williama, a nie Charlotte, jest w tej chwili niewielkim pocieszeniem.

- Czyli ty i twoja córka nie toczycie żadnej gry z Charlotte i ze mną? - upewniała się.

William zmarszczył brwi. Znowu miał minę winowajcy.

- Owszem, Judith zaproponowała pewien plan, ale ja... - Urwał i machnął ręką. - Nieważne.

- Nieważne? Siedziałeś tutaj, słuchałeś moich wynurzeń, obejmowałeś mnie, na miłość boską, osuszałeś moje łzy, a cały czas coś knułeś?

- Anne, to nie fair. Ja tylko...

- Nie fair? - Jej oczy rozbłyły gniewem. - Okłamałeś mnie, Williamie. Zapewniałeś, że mnie kochasz... .

- Bo cię kocham - wpadł jej w słowo.
- I jednocześnie każdym gestem, każdym oddechem mnie zwodziłeś.

- Zwodziłeś to mocne słowo.

Anne obronnym gestem uniosła dłonie.

- Wychodzę, zanim zaczniemy się kłócić jak w maglu.

- W maglu? - prychnął nieprzyjemnie. - A to co jest? Rzucasz mi w twarz moją miłość? Depczesz wszystko, co było dobre między nami, bo usiłowałem ci pomóc? Oczekujesz, że będę cię kochał i jednocześnie stał z boku i z rękami w kieszeniach się przyglądał? Ja opiekuję się tymi, których kocham, Anne. Taki już jestem.

- Nie mogę z tobą teraz rozmawiać, Williamie - oświadczyła, odwróciła się i na chwiejnych nogach zaczęła iść w stronę drzwi.

William ruszył za nią. Chwycił ją za ramiona i próbował obrócić twarzą do siebie.

- Anne, nie rób tego, proszę. Uspokój się, podyskutujmy. Przykro mi, jeśli cię dotknąłem...

- A czy jest ci przykro, że to zrobiłeś?

William milczał. Widziała, że toczy wewnętrzną walkę. Nagle postanowiła, że nie zniesie odpowiedzi..

Wyrwała się mu i zaczęła biec.

William całym sercem pragnął ją dogonić, ale nie był pewien, czy to by coś pomogło. Może lepiej pozwolić jej ochłonać?

Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie pójść za nią i nie obserwować, aż zniknie mu z oczu.

Anne wsiadła do samochodu, ukryła twarz w dłoniach. Jej ramionami wstrząsał szloch.

Widząc to, William zaklął w duchu. Podejdzie do niej. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by zrozumiała, dlaczego postąpił tak, jak postąpił. Nawet przeprosi ją, do diabła. Da jej odpowiedź, jakiej chce. Mimo że w podobnych okolicznościach zrobiłby jeszcze raz to samo.

Tymczasem Anne przekręciła kluczyk w stacyjce. Zrozumiał, że największy skarb, jaki w życiu zdobył, wymyka mu się z rąk. Nie mógł znieść tej świadomości. Jakoś jej to wszystko wytłumaczy. Niech wrzeszczy na niego, niech go obrzuca obelgami, on...

Wybacz mi, Anne. Błagam. To było wykalkulowane ryzyko. I przegrałem. Ale nie mogę ciebie stracić.

Przeciął podwórze, na kilka sekund zniknął za żywopłotem z ligustru. Nagle usłyszał krzyk. Przyspieszył. Kiedy wyłonił się zza krzaków, serce w nim zamarło na widok sceny, jaką ujrzał.

Drzwi samochodu były otwarte. Jakiś drab wywlekał Anne z auta. Broniła się, lecz była za słaba.

- Puszczaj ją! - krzyknął i ruszył pędem na ratunek. Mężczyzna odwrócił się, a wtedy Anne paznokciami rozorała mu twarz. Uderzył ją w skroń. Mocno. Zatoczyła się, uchwyciła framugi drzwi, zaczęła kopać napastnika. - Anne, daj spokój - wołał William. - To tylko cholerny samochód, niech go sobie bierze... - Mężczyzną rzucił szybkie spojrzenie w jego stronę. Nagle zmienił zamiar i pchnął Anne z powrotem na siedzenie. Broniła się. Jeśli wepchnie ją do środka... I

Boże, miej ją w swojej opiece! William od wielu lat uprawiał jogging dla utrzymania formy, lecz teraz nogi miał jak z waty. Płuca omal mu nie pękły z wysiłku. Nie może dopuścić, by napastnik zamknął ją w tej klatce! Nigdy już ich wtedy nie dogoni. W chwili, gdy bandyta chwycił Anne wpół, rzuciła mu się do oczu. Padli na ziemię. William ostatnim zrywem usiłował do nich dobiec, lecz wówczas mężczyzna podniósł się niezgrabnie i kopnął swoją ofiarę w bok. William zawył jak dziki zwierz. Anne też usiłowała wstać. Nagle padł strzał. William poczuł gwałtowne uderzenie w pierś, jak gdyby zderzył się ze słoniem.

- Anne, kocham cię - usiłował powiedzieć.

I nagle otoczyła go ciemność.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Anne zaczęła czołgać się w stronę Williama, potwarzając wśród łkań jego imię.

- Suka! - wrzasnął bandyta. - Widzisz, do czego mnie zmusiłaś? - Tak szybko, jak tylko zdołała, stanęła między nim a Williamem, mimo że wściekłość na twarzy mężczyzny ją przerażała. - Odsuń się! - rozkazał. Z jej gardła wydobył się dźwięk przypominający dziki pomruk. - Zapłacisz mi za to...

- Co tu się dzieje? - rozległ się nagle całkiem nowy głos. - Wezwałem policję. Odczep się od niej, draniu, bo...

Anne dojrzała, jak ręka z pistoletem znowu się unosi i celuje w sąsiada. Z całej siły odepchnęła bandytę. On zaś schwycił ją za włosy i pociągnął ze sobą na ziemię.

Z daleka słychać już było syreny policyjne.

- Cholera! - Napastnik puścił swoją ofiarę i skoczył na równe nogi. - Jeszcze z tobą nie skończyłem, suko - syknął i pobiegł do samochodu zaparkowanego kawałek dalej.

- Nic się pani nie stało? - dopytywał się sąsiad.

- Pomocy! On potrzebuje pomocy! Niech pan sprowadzi pomoc! - błagała Anne.

W tej samej chwili nadjechał radiowóz.

- Cofnąć się! - rozkazał policjant. - Proszę zrobić miejsce!

- Ten człowiek jest ranny - poinformował wybaciciel Anne.

- Charlie! Wezwij karetkę! -policjant krzyknął do swojego kolegi i podbiegł do leżącego. - Proszę się odsunąć - zwrócił się do Anne. - Muszę obejrzyć ofiarę.

Anne jednak nie posłuchała.

- Nie wyczuwam pulsu. On jest ranny. Ciężko ranny. - Zbliżyła twarz do twarzy Williama i szepnęła: - Williamie, najdroższy, błagam...

Rzęsy Williama drgnęły.

- Proszę pani, proszę się odsunąć - nalegał policjant.

Anne usunęła się trochę, lecz nie puściła ręki ukochanego. Wokół było mnóstwo krwi.

- Williamie - mówiła - przepraszam. Kocham cię. Błagam, nie opuszczaj mnie. - Na jedno mgnienie rozchylił powieki. Żrenice miał jednak tak zamglone, że nie była pewna, czyją widzi. - Wyciągną cię z tego - rzekła, chociaż nie wyobrażała sobie, jak to w ogóle jest możliwe. - Nie odchodź, Williamie. Staraj się.

Otworzył usta, lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

- Nic nie mów. Jestem tutaj, zostanę z tobą. Proszę. - Zamilkła, łkanie nie pozwoliło jej mówić dalej. Przeknęła łyzy. - Potrzebuję cię. Tak mi przykro, że nie...

Powieki Williama zamknęły się.

- Proszę pani... - usłyszała obok siebie - jestem ratownikiem medycznym. Niestety muszę panią prosić,

żeby się pani odsunęła, żebyśmy mogli przystąpić do akcji ratunkowej.

- Jeśli go puszcze, stracę go. Nie było mnie przy Remym i go straciłam. Może gdybym...

Poczuła dłoń na ramieniu.

- W takim razie proszę się przesunąć się i klęknąć przy jego głowie. Może pani do niego mówić, ale proszę go nie dotykać, dopóki nie skończę badania.

Przez cały czas wprawne ręce poruszały się po ciele rannego, słychać było niezrozumiałe, medyczne terminy.

Anne klęczała za głową Williama, niespokojna, desperacko pragnąc nawiązać z nim kontakt. Kurczowo zaciskała dłonie, by opanować ich drżenie. W głowie rozbrzmiewały jej straszliwe słowa, jakimi go obrzuciła zaledwie kilka minut temu.

Proszę, modliła się ze szczerego serca, niech to nie będą ostatnie słowa, jakie sobie powiedzieliśmy.

„...za łajdaka. Chciałem cię tylko chronić”.

Z jej ust wydobyło się łkanie.

Nie, najdroższy. Jesteś bohaterem. Tak strasznie się boję, że już nie zdążę ci tego powiedzieć.

„Powiedz mu teraz, *ma belle*”, usłyszała głos Remy'ego. Omal się nie załamała.

Drżała z lęku, lecz zmobilizowała siły. Przełknęła ślinę, wyprostowała ramiona. Nachyliła się nad Williamem i zaczęła szeptać mu do ucha:

- Obroniłeś mnie, tak jak próbowałeś mnie bronić przedtem. Tak mi przykro, tak strasznie przykro, że nie zostałam i nie dałam ci wszystkiego wyjaśnić. Ale wysłucham każdego twojego słowa, przysięgam. Za-

pomnę o dumie i ci zaufam. Pozwolę ci na siebie nakrzyczeć... - Urwała, żeby zdusić wzbierające łkanie. - Kocham cię, Williamie. Zostań ze mną. Daj mi szansę ci to powiedzieć. Proszę.

- No dobra. Nosze. Podnosimy go na trzy. Raz, dwa...

Ratownicy położyli Williama na noszach i pędem ruszyli do karetki.

- Gdzie go za... - dopytywała się Anne, biegnąc za nimi. - Gdzie go zabieracie?

Jeden z ratowników odwrócił głowę.

- Do szpitala Bożego Miłosierdzia. Chce panijechać z nami? - spytał.

- Tak.

- Muszę z tą panią porozmawiać - wtrącił się jeden z policjantów.

Zwróciła na niego pełen cierpienia wzrok.

- Proszę. Odpowiem na wszystkie pytania, ale...

Policjant kiwnął przyzwalająco głową.

- Dobrze. Spotkamy się w szpitalu - rzekł. - Niech się panią też tam zajmą - dodał.

- Ruszamy - zarządził ratownik. Anne wdrapała się do karetki. - Jeśli pani chce, może go pani wziąć za rękę - pozwolił.

Dopiero teraz łzy, jakie cały czas powstrzymywała, popłynęły jej z oczu. Jak przez mgłę odszukała dłoń Williama i kurczowo ją uścisnęła.

Boże, proszę. To dobry człowiek. I dopiero teraz odnaleźliśmy siebie. Nie zabieraj mi go.

Charlotte chodziła tam i z powrotem po gabinecie.

Jak długo można żyć ze złamanym sercem?

Nawet gdyby żyła tysiąc lat, nie zapomni wyrazu twarzy matki. Musiałam przecież jej powiedzieć. Musiałam, nie?

- Wątpliwości? - Sylvie odezwała się od drzwi.

Charlotte poszukała jej spojrzenia.

- Źle postąpiłam, prawda?

- W jakiej sprawie? Przecież chciałaś chronić kobietę, która dużo w życiu przeszła.

- Ale zraniłam ją, może nawet najbardziej ze wszystkich.

Sylvie prychnęła.

- Zawsze cierpiałaś na manię wielkości.

- To wcale nie jest śmieszne.

Siostra spojrzała na nią łagodnym wzrokiem.

- Racja. Nie jest. - Podeszła bliżej. - Ale to on ją najbardziej skrzywdził.

Charlotte zacisnęła pięści.

- Może jednak nie powinnam jej nic mówić, tylko porozmawiać bezpośrednio z nim? Powiedzieć, żeby się trzymał od niej z daleka?

- A wówczas zastanawiałaby się, dlaczego ją rzucił. To by jej dopiero poprawiło nastrój!

- Nie wiem. - Charlotte przyłożyła dłonie do skroni. - Po prostu nie... nie mogę przestać o niej myśleć. Prześladowuje mnie wyraz jej twarzy, kiedy...

Synde spojrzała na zegarek.

- Już chyba wystarczy, nie? - stwierdziła. - Nie uspokoisz się, żadna z nas nie będzie miała spokoju, dopóki nie sprawdzimy, co z nią.

- Tak uważasz?

- Hej! Ty naprawdę trzęsiesz się jak galareta. Moja starsza siostra pyta się mnie, co sądzę! Spokojnie.

- Smarkula!

Sylvie pogładziła ją po włosach.

- Mama da sobie radę. Jest niewiarygodnie silna.

- Chodźmy.

Wychodząc, Charlotte zawołała do Julie:

- Idziemy do mamy. Zawiadom Renee i Melanie, dobrze? Gdyby coś się działo, dzwoń na moją komórkę.

- Oczywiście. Uściskajcie ode mnie Anne! - odparła Julie.

Przez całą drogę Sylvie paplała o tym i owym, lecz Charlotte prawie jej nie słuchała. Przed mieszkaniem matki zrobiła kilka głębokich oddechów, by się uspokoić.

Zapukała do drzwi i zawołała:

- Mama?

Cisza.

Zapukała ponownie.

- To my, Sylvie i Charlotte. Błagam, powiedz, że nic ci nie jest.

Cisza.

Siostry wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Wchodzimy? - spytała Sylvie.

- Nie wiem. Może śpi albo...

Rozległ się cichy dzwonek windy zatrzymującej się na piętrze. Po chwili zza zakrętu korytarza wyłoniły się Melanie i Renee.

- W porządku? - spytała Renee.

- Nie otwiera.
- Wchodzimy - zdecydowała Melanie. - Przecież mamy klucze.

Charlotte zastanawiała się jeszcze chwilę, potem wyciągnęła komórkę.

- Chcę uszanować jej prywatność - wyjaśniła. Oczekała kilka sygnałów, w końcu usłyszała komunikat poczty głosowej. - Ooh, nie! -jęknęła.

Ze zdenerwowania nie mogła trafić kluczem do zamka.

- Daj - zniecierpliwiła się Melanie.

Odsunęła siostry i otworzyła mieszkanie. Na moment zatrzymały się na progu, jak gdyby bały się tego, co odkryją. Charlotte otrząsnęła się pierwsza i zrobiła krok do przodu.

- Mama?!

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, przerażona pobiegła do sypialni. Pokój był pusty, tylko pościel na łóżku była pognieciona.

- W łazience też jej nie ma - oznajmiła Renee.
- W takim razie gdzie ona może być?

- Pojechała do niego - stwierdziła Sylvie. - Nigdy nie idzie na łatwiznę. Sama chciała z nim porozmawiać.

- Jedziemy za nią? - zaproponowała Melanie,
- Nie zniósę czekania.

Młodsze siostry spojrzały na Charlotte. W tej samej chwili zadzwonił jej telefon komórkowy. Aż podskoczyły z napięcia.

- Charlotte Marchand.
- Nie wiem, jak wam to powiedzieć - zaczęła

Julie. - Właśnie dzwonił ze szpitala Bożego Miłosierdzia. Chodzi o waszą matkę.

Kolana się ugięły pod Charlotte.

- O Boże! Czy ona...?

- Nie chcą udzielić mi żadnych informacji. Chcą rozmawiać z kimś z rodziny.

- Podaj mi numer.

Drżącymi palcami stukała w klawisze. Renee, Sylvie i Melanie otoczyły ją, zadając mnóstwo pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Po chwili, która wydawała się jej wiecznością, połączono ją z izbą przyjęć. Słuchała uważnie, cały czas wpatrując się w twarze sióstr. Kiedy się rozłączyła, zdała relację:

- Mama została poturbowana. Twierdzą, że podczas próby kradzieży jej samochodu.

Melanie jęknęła. To ona najbardziej sprzeciwiała się sprzedaży corvetty. Sylvie wybuchnęła płaczem. Charlotte najchętniej zrobiłaby to samo.

- Dojdzie do siebie - uspokajała. Udało jej się jakoś zapanować nad emocjami. - Została mocno pobita. Podobno walczyła jak lwica. Ale...

- Ale co? - podchwyciła Renee.

- Chodzi o Williama. Stanął w jej obronie. Postrzelono go. Nie wiadomo, czy przeżyje.

Zapanowała pełna zdumienia i napięcia cisza.

Melanie przemówiła pierwsza.

- Przyprowadzę mój samochód - rzekła drżącym głosem. - Spotkamy się na dole.

Judith pakowała rzeczy, likwidowała swoje biuro. Od czasu do czasu wstrząsały nią łkania i łzy ciekły

jej po policzkach. Jak on mógł? Wiedziała, że ojciec radziłby jej poczekać z podjęciem tak radykalnej decyzji, lecz obecnie jego rady nic dla niej nie znaczyły. Czy kiedykolwiek ją kochał, czy tylko uważał ją za ciężar? Litował się nad nią, czy szczerze troszczył o jej los?

Oczywiście zarzekał się, że ją kocha, lecz ostatnim posunięciem udowodnił coś wręcz przeciwnego. Zrobiła przerwę, żeby wytrzeć nos, potem zabrała się do opróżniania kolejnej szuflady.

- Judith?

Podniosła głowę.

- Glen?

Cudownie. Teraz jej upokorzenie jest już totalne.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego... - szerokim gestem objęła gabinet i tekturowe pudła.

Glen podszedł bliżej i wziął ją za rękę.

- Posłuchaj, Judith - zaczął takim tonem, że dreszcz ją przeniknął.

- Co takiego?

- Chodzi o twojego ojca - zaczął i położył jej dłonie na ramionach. - Został postrzelony.

Judith oczy niemal wyszły z orbit.

- Postrzelony! Ale jak...? Kto...? Jest ciężko ranny?

- Chodź, zawiozę cię do szpitala.

Otoczył ją ramieniem i obrócił ku drzwiom.

- Powiedz od razu. Stan jest ciężki, prawda? - Zakryła usta dłonią. - Czy on...?

- Żyje, ale stan jest krytyczny. Zaraz zabierają go na salę operacyjną.

- Och, Glen! - zawołała i zaczęła drżeć na całym ciele. - On... ja... Strasznie się pokłóciliśmy. Boże, jeśli on umrze...

- Twój ojciec jest twardym człowiekiem. Kto jak kto, ale on się wyliże.

- Boże, Boże... - szeptała Judith. Zaczęła gorączkowo szukać kluczyków do samochodu.

- Już dzwoniłem, żeby podstawili mój samochód - powstrzymał ją Glen. - Postaraj się uspokoić. Twój ojciec wyzdrowieje. Musimy w to wierzyć.

Jeśli on umrze, nigdy sobie tego nie wybaczę, pomyślała Judith.

scandalous

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Anne zrzuciła koc, którym okryła ją pielęgniarka, i ześliznęła się ze szpitalnego łóżka. Kiedy znalazła się w pół drogi do wyjścia z boksu, gdzie czekała na wyniki prześwietlenia, zasłona rozsunęła się i podbiegły do niej Charlotte, Sylvie, Renee i Melanie.

- Mama! Och, Mama! Co z tobą?

- Dlaczego wstałaś?

Otoczyły ją, mówiąc wszystkie naraz, a ona kurczowo chwyciła je za ręce, jak gdyby chciała się ich przytrzymać.

- Nic mi nie jest - zapewniła je.

- Jak to nic? Spójrz na siebie. Jesteś cała posiniaczona i...

Córki wyglądały na przerażone, a Charlotte była biała jak ściana.

- Nigdy sobie nie wybaczę - brzmiały jej pierwsze słowa. - Co ja zrobiłam! - Anne wyciągnęła do niej ramiona, ale kiedy córka objęła ją bardzo mocno, wdała cichy jęk. - Przepraszam. Przepraszam. Gdzie cię boli? - sumitowała się Charlotte.

- Nic mi nie jest. Mam tylko kilka siniaków, to wszystko. Uspokój się, córeńko.

W końcu Charlotte posłuchała. Przytuliła policzek do policzka matki.

- Mama, ja...

- Ciii - uspokajała ją Anne. - Już nic nie mów. Nie mogę o tym myśleć. Muszę znaleźć kogoś, kto mi powie, co z Williamem. - Nagle wpadła na pomysł, że Charlotte dobrze zrobi, kiedy będzie mogła się czymś zająć, więc poprosiła: - Załatw, żeby mnie wypisali.

- Tak. Zabierzemy cię do domu - zapewniła ją Sylvie.

- Nie, nie - Anne gwałtownie zaprotestowała. - Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, czy William... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. Usiłowała pokonać dławienie w gardle. - Musi się z tego wylizać. Ale chciałabym zrzucić z siebie te łąchy i przebrać się we własne ubranie. Muszę... - głos jej się załamał - muszę być przy nim.

- Jest właśnie operowany - trzeźwo wtrąciła Melanie.

- Wiem, ale muszę być jak najbliżej niego. Porozmawiaj z nimi, Charlotte.

- Dobrze - obiecała Charlotte i wyszła.

Anne wiedziała, że jej najstarsza córka poruszy niebo i ziemię. Poczowała się spokojniejsza. Spróbowała zrobić krok do przodu, lecz zachwiała się na nogach.

- Mama! - wykrzyknęła Renee. - Wracaj do łóżka.

- Nie. Ja...

- Proszę - odezwała się Sylvie. - Połóż się, dopóki Charlotte nie wróci. -I zanim Anne zdążyła się zorientować, co się dzieje, delikatnie, jak najczulsza matka, ułożyła ją na łóżku. - Robili ci jakieś badania? - zapytała.

- Tak. Właśnie czekają na wyniki. Prześwietlenie i morfologia. Strasznie długo to trwa - poskarżyła się.

- Pójdę dowiedzieć się o Williama - zaoferowała się Renee.

- Och, *chere*, dziękuję ci. I pospiesz się, proszę. On... chciał mnie ratować. Ten bandyta go postrzelił...

- Jak to się stało? Opowiedz po kolei - poprosiła Melanie.

Renee przystanąła w pół kroku, lecz matka ją ponagliła.

- Proszę, *chere*, idź. Opowiem jeszcze raz, ale muszę... - Łzy napłynęły jej do oczu. - On musi wyzdrowieć. Kocham go - załkała.

Renee wyszła.

- To dobry człowiek - ciągnęła Anne. - Teraz nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Powinnam mu była ufać. On chciał tylko mnie chronić. Przywykł do rozkazywania. Nie twierdzę, że mnie to nie rozzłościło. Byłam wściekła, ale... - Zakryła usta dłonią. - Boże, proszę - szepnęła - daj mi szansę cofnąć te wszystkie straszne słowa.

Sylvie z Melanie podbiegły do niej i wzięły ją za ręce.

- Ciii, Mama. Pomodlimy się za niego, dobrze? Później nam wszystko opowiesz.

Anne znowu kurczowo uchwyciła się ich dłoni. Sylvie i Melanie w milczeniu objęły ją, a ona przytuliła je do siebie. Miłość córek tchnęła w nią nadzieję. Lęk przepełniający jej serce powoli ustąpił.

W duchu zanosiła błagania o ocalenie mężczyzny, którego chciała kochać.

W końcu, po niecałej godzinie, która Anne wydała się wiecznością, Charlotte wróciła, dokonawszy cudu. Lekarze zgodzili się wypisać Anne do domu.

Co za dziwne uczucie być ubieraną przez własne córki, które kiedyś to ja ubierałam, pomyślała, lecz była zbyt słaba i obolała, żeby się z tym uporać.

Dotyk ciepłych dłoni działał kojąco na jej nerwy. Lepiej od słów trafiał prosto do serca.

W pewnej chwili wróciła Renee, przynosząc nieco wiadomości.

- Żyje. Mają nadzieję, że operacja się niedługo skończy i chirurg wyjdzie do rodziny.

- Dziękuję ci, dziecko - szepnęła Anne. - Bardzo ci dziękuję. - Wyciągnęła do niej rękę. - Brak mi słów, żeby wam powiedzieć, co to dla mnie znaczy, że tu ze mną jesteście. Pojadę teraz na górę - oświadczyła i czekała na protesty.

Siostry z poważnymi minami skupiły się wokół niej. Wiedziały, że matce potrzebne jest teraz ich wsparcie. Sądy o Williamie zachowały dla siebie.

Judith chodziła tam i z powrotem po poczekalni przed blokiem operacyjnym. Glen wyszedł, by zadzwonić w kilka miejsc. W tej części szpitala używanie telefonów komórkowych było zabronione.

Nie miała mu za złe, że zostawił ją samą. Nie była w nastroju do rozmów, denerwowała się, że nikt nie chce udzielić jej żadnych informacji.

Zapewniali tylko, że ojciec żyje.

Kiedy drzwi pokoju otworzyły się, odwróciła się

gwałtownie w nadziei, że nareszcie usłyszy coś więcej, i doznała szoku.

Nigdy przedtem nie spotkała Anne Marchand osobście, znała ją tylko ze zdjęć.

Kobieta stojąca w drzwiach była mocno poturbowana i nie przypominała eleganckiej damy z fotografii, niemniej nie straciła nic z wrodzonej godności.

Gdyby Judith miała jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, kim jest ta kobieta, spojrzenia Charlotte Marchand i jej siostr by je rozwiały. Judith nie poruszyła się, niepewna, jak się zachować. Z relacji policji wiedziała, że ojciec został ranny, kiedy spieszył Anne na ratunek. Z drugiej strony, z niewiadomych powodów próbował wykupić jej hotel. A kiedy zażądała wyjaśnień, bardziej interesowała go reakcja Anne, niż jej odczucia.

Kłopotliwa cisza przedłużała się.

Nagle Anne Marchand postąpiła krok do przodu.

- Mama! - wykrzyknęła Charlotte i zrobiła taki gest, jak gdyby chciała ją zatrzymać.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła ją matka cichym głosem. Widać było, że każdy ruch sprawia jej ból.

Jej spojrzenie było pełne wewnętrznej udręki. Judith nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Anne wzięła ją za rękę.

- Ty jesteś Judith, prawda? - zaczęła. - William mówił mi, jaki jest z ciebie dumny. - Oczy Judith wypełniły się łzami. - Ocalił mi życie. - Ja... - Urwała, wzruszenie odebrało jej głos. - Ja byłam dla niego taka niedobra, a on... - Zamilkła i uścisnęła dłoń Judith.

- Ja też byłam dla niego niedobra - szepnęła córka Williama.

Przez jedną chwilę Anne wydawała się lekko zaskoczona, lecz zaraz mówiła dalej:

- Cokolwiek dzieli nasze rodziny, musi zejść na plan dalszy. Stało się coś ważnego, co nas łączy i przesłania wszystko inne. Na pewno jesteś przerażona. Ja też. Usiądziesz ze mną, Judith? Razem będziemy czuć przy mężczyźnie, którego obie kochamy.

Wypowiedziała te słowa z takim uczuciem, z takim szacunkiem, że ujęła tym Judith.

- Mam kompletną pustkę w głowie - wyznała.

- Jeśli ojciec umrze...

- Nie umrze - oświadczyła Anne. - Musimy w to uwierzyć. Nie stracę go.

Judith przypomniawszy sobie teraz, że ta kobieta już raz straciła ukochanego mężczyznę. Zrozumiała, co przeżywa, jakie straszne musi być dla niej to oczekiwanie w niepewności.

- Proszę - wskazała krzesło - proszę usiąść. Bardzo bym chciała czekać razem z panią, jeśli - zamilkła i rzuciła szybkie spojrzenie na surową minę Charlotte - jeśli pani córki nie mają nic przeciwko temu. Nie bardzo rozumiem, co się dzieje z pani hotelem i jaki to wszystko ma związek z Regency, ale...

- Później, kochanie. - Anne, mimo że niższa od Judith, poklepała ją po ramieniu. - To wszystko nie ma teraz znaczenia, jest nieważne w obliczu walki o przeżycie, jaką toczy William. - Głos jej się łamał, lecz oczy patrzyły łagodnie i pocieszająco. - Wszystkim innym możemy się zająć później.

Anne usiadła i delikatnie pociągnęła Judith za sobą. Potem spojrzała na córki.

- Renee, moja droga, nie poszukałabyś automatu z herbatą? - poprosiła i zwracając się do Sylvie, spytała: - Z kim została Daisy Rose?

- Z Jeffersonem.

- Jest kochany. Melanie, czy Robert wie, gdzie się podziewasz?

- Zaraz do niego zadzwonię. Powiem, że nic ci nie jest.

- Nieprawda. Jest - wtrąciła surowym tonem Charlotte. - Powinna być w domu, w łóżku.

Anne uniosła brwi.

- Powinna, ale nie jest. A ty, moja droga, czy nie powinnaś wracać do hotelu?

- Wiedzą, jak mogą się ze mną skontaktować. Julie i Luc obiecali, że zostaną po godzinach i powstrzymają cały personel przed przyjazdem tutaj.

- Założę się, żeście nie jadły kolacji - mówiła dalej Anne. - A ty nie jesteś głodna, Judith? - zapytała.

- Nie mogłabym niczego przełknąć.

Anne uśmiechnęła się do niej smutno.

- Ja też nie. Ale wy idźcie, poszukajcie sobie czegoś — nalegała.

- Co z tobą, Mama? — zaniepokoiła się Charlotte. - Musisz jeść. Całkiem opadniesz z sił.

- Przynieś mi coś małego. - Wyszyły. Nareszcie udało jej się ich pozbyć. Anne usiadła wygodniej i poklepała Judith po ręku. - Chcesz porozmawiać? - zapytała.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Więc posiedzimy w milczeniu. Ale gdybyś zmieniła zdanie, jestem przy tobie. I mów do mnie Anne, dobrze? Nie jesteś sama. William wyliże się z tego. To bardzo uparty człowiek.

Mimo że głos miała mocny i pewny, Judith czuła, jak Anne drżą palce. Przy tej niezwyklej kobiecie trochę się uspokoiała.

- Tak. Nie znam drugiego tak silnego mężczyzny. Anne z aprobatą pokiwała głową.
- A my jesteśmy silnymi kobietami.

Noc ciągnęła się niemiłosiernie. Jedzenie Anne pozostało nietknięte, herbata niedopita. Ogarniało ją coraz większe zmęczenie, zeszywniała od długiego siedzenia. Lecz nie dała niczego po sobie poznać ani Judith, ani własnym córkom, w obawie, że zaczną naciskać, by pojechała do domu i się położyła.

Anne myślała tylko o tym, że w chwili, gdy umierał Remy, znajdowała się tysiące mil od niego, i że teraz, gdy życie Williama wisi na włosku, nie może stąd odejść, obojętnie jak długo to jeszcze będzie trwało. W uszach wciąż brzmiał jej wystrzał. Przed oczami wciąż miała obraz upadającego Williama i widziała go w kałuży krwi.

- Pani Armstrong? - rozległ się głos od drzwi.

Z ust Judith wyrwał się cichy okrzyk. Głowa Anne podskoczyła. Obie zerwały się z krzesel. Charlotte i jej siostry stłoczyły się wokół nich.

- Operacja zakończona. Pani ojciec żyje - zakomunikował lekarz.

- Jaki jest stan? - spytała Anne.

- obrażenia wewnętrzne okazały się poważniejsze, niż sądziliśmy. Może spowodowała to pozycja strzelającego, może fakt, że ofiara rzuciła się na niego, kiedy padł strzał?

- Tak właśnie było - potwierdziła Anne.

- Kula weszła pod kątem, zahaczyła o śledzionę, przebiła wątrobę, drasnęła płuco. Powstał silny krwotok wewnętrzny. Stan jest bardzo poważny. Do tego trzeba wziąć pod uwagę wiek ofiary, chociaż pan Armstrong jest w bardzo dobrej kondycji fizycznej, co z pewnością będzie miało decydujący wpływ na jego rekonwalescencję.

- Więc przeżyje? - Anne zmusiła się do zadania pytania, które Judith nie przechodziło przez gardło.

- Jesteśmy optymistami. Dzisiejszą noc spędzi na oimie, ale mamy nadzieję, że jutro będzie mógł zostać przewieziony na zwykły oddział. Trzeba uzbroić się w cierpliwość...

Anne nie słuchała już lekarza. Judith rzuciła jej się na szyję, a Anne mocno ją objęła. Nagle kolana się pod nią ugięły. Córki podtrzymały ją i posadziły na krześle.

- Och, Mama, dobrze się czujesz?

- Sprowadź lekarza, Mel...

- Pani Marchand! Anne...

Anne słyszała je wszystkie, ukochane własne córki i młodą kobietę, która mogłaby do nich dołączyć. Lecz była zbyt zajęta własnymi myślami, by odpowiedzieć.

Dzięki. Dzięki za ocalenie go. Dzięki za oddanie mi go.

W jej głowie odezwał się teraz znajomy głos:

„*Le bon Dieu* ma cię w swojej opiece, *ma belle*. Od razu rozpoznał w tobie dobrą kobietę”.

Och, Remy... To wcale nie znaczy, że teraz mniej cię kocham, pomyślała.

Oczami duszy zobaczyła, jak jej mąż się uśmiecha. Szeroko. Cudownie.

„Nie martw się, *ma belle*. Jesteś stworzona do miłości”.

- Mama? Dobrze się czujesz?

Anne wróciła na ziemię.

- Dobrze, moje drogie. Nie mi nie jest.

- Kiedy go przewiozą na oiom, pozwolą nam go na chwilę zobaczyć - odezwała się Judith. - Możesz pójść ze mną, jeśli chcesz.

- Och absolutnie, moja droga. - Anne pogładziła Judith po włosach. - Dziękuję ci, *chere*. - Spojrzała na córki i dodała: - A potem zabierzecie mnie do domu, dobrze?

- Najwyższy czas - mruknęła pod nosem Charlotte.

Anne uśmiechnęła się i zwróciła do Judith:

- Nie zechcesz pojechać z nami, *chere*? Nie powinnaś zostawać sama. W moim mieszkaniu jest pokój gościnny, ale jeśli wolisz, damy ci pokój w hotelu.

Judith spojrzała na jej córki.

- To bardzo uprzejmie z waszej strony, ale nie sądzę, żeby znalazł się wolny pojedynczy pokój, nie w sezonie karnawałowym.

Anne wymieniła spojrzenia z Charlotte.

- Rzeczywiście - przyznała Charlotte, potem z wahaniem dodała: - W moim domu też jest pokój gościn-

ny. Zapraszam, tym bardziej że mamy kilka spraw do omówienia.

- To prawda, ale obawiam się, że nie znam odpowiedzi na wasze pytania. Tylko ojciec mógłby nam wszystko wyjaśnić.

- Ale możemy zacząć.

Judith skinęła potakująco głową.

- Możemy. Niemniej wolałabym pojechać do siebie. A właściwie do ojca.

- Dobrze się będziesz tam czuła, *chere*?- zaniepokoiła się Anne. - To taki duży dom...

- Wiem, ale tam spędziłam dzieciństwo. Tam będę najbliżej niego.

- W porządku - stwierdziła Charlotte, wstając. - Sprawdzę, co się dzieje w hotelu.

Anne miała ochotę zawołać za nią, upomnieć, że zachowuje się nieuprzejmie, lecz w drzwiach Charlotte odwróciła się i rzekła:

- Cieszę się, że William z tego wyjdzie.

Anne przełknęła łyżę wzruszenia i dumy.

- Dziękuję ci, *bebe*.

- I ja też ci dziękuję - dodała Judith.

Dzięki ogromnej sile woli Anne trzymała się prosto, kiedy pozwolono im wejść na oddział intensywnej opieki medycznej. Idąca obok niej Judith poruszała się jak automat. Anne wsunęła jej rękę pod ramię.

Pielęgniarz, który wyszedł im naprzeciw, nazywał się Kevin. Judith przedstawiła mu Anne i poprosiła, aby ją wpuścił, mimo że nie należy do rodziny. Nie zaprotestował.

- Zanim wejdziemy - zaczął - muszę zapoznać panie z sytuacją. Cała aparatura wygląda przerażająco, ale w odpowiednim momencie wyjaśnię, do czego służy. Tymczasem proszę pamiętać, że pan Armstrong jest nieprzytomny i dopiero za kilka godzin wybudzi się z narkozy. Jest podłączony do respiratora, więc nie może mówić. To środek zapobiegawczy, żeby ułatwić organizmowi podjęcie na nowo wszystkich funkcji życiowych. Jest jednak całkiem możliwe, że usłyszysz, co panie do niego mówią. Dotyk także jest bardzo ważny. Niestety, ze względu na możliwość infekcji, muszę prosić panie o założenie rękawiczek i fartuchów. Zapewniam jednak, że pacjent odczuje ciepło i uścisk dłoni.

Zamilkł, uśmiechnął się i spytał:

- No jak, są panie gotowe?

Anne i Judith skinęły głowami. Kevin wręczył im jednorazowe fartuchy i rękawiczki. Judith pomogła obolałej towarzyszyce zawiązać tasiemki na karku. Potem Kevin wprowadził je do separatki.

- Zaczekam na zewnątrz - rzekł i wskazując komputer po drugiej stronie szklanej ściany, dodał: - Chory cały czas jest pod ścisłą obserwacją.

Anne spojrzała na nieruchome ciało przykryte kocami.

- Biedny tatuś! - wyrwało się Judith.

Anne chwyciła ją za rękę i razem zbliżyły się do łóżka. Anne pomyślała, że nigdy nie widziała Williama tak opadłego z sił. Zawsze był gejzerem energii. A teraz miał rurkę respiratora przymocowaną przylepcem do kącika ust.

Czyżby to były te same usta, które sprawiały, że drżała z rozkoszy? Oczy miał zamknięte i tylko włosy przypominały jej Williama. Kochany, wróć do mnie!

Wzruszenie dławiło ją w gardle, lecz okrzyk Judith natychmiast ją otrzeźwił.

- Jeśli on nas słyszy, *chere*, nie możemy rozpaczać, musimy dodawać mu otuchy.

Judith spojrzała na Anne, przygryzła wargę i w milczeniu pokiwała głową. Potem odwróciła się do łóżka i szepnęła:

- Kocham cię, tato. Tak mi przykro... - Zamilkła, wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: - Anne jest tutaj ze mną. Zaraz do ciebie podejdziesz. Wyzdrowiejesz. Przetrzymałeś operację, jesteś pod dobrą opieką.
- Znowu zamilkła i obejrzała się na Anne, która pokiwała głową z aprobatą. Judith wzięła ojca za rękę i ciągnęła: - Jestem tutaj. Bardzo cię kocham.

Wstała i ustąpiła Anne miejsca. Łzy wdzięczności zamgliły jej oczy. Ten wspaniały mężczyzna wychował wspaniałą córkę. Dotknęła ramienia Judith i szepnęła:

- Dzięki. - Potem pochyliła się nad Williamem. Wiele słów cisnęło jej się na usta, przeprosin, obietnic, próśb, lecz wiedziała, że muszą poczekać. - Williamie - zaczęła - kocham cię. Mówiłeś, że jestem wyzwaniem, ale ty - głos jej się łamał, lecz się opanowała - ty zwyciężyłeś. Bałam się ciebie kochać, bałam się znowu obdarzyć kogoś uczuciem, lecz postawiłeś na swoim. Jak zawsze. - Dotknęła jego czoła, drugą rękę wsunęła w jego dłoń. - Pokonaj jeszcze tę przeszkodę, tak jak podbiłeś mnie. Pragnę przeżyć z tobą wiele

przygód, kochany. Wróć do swojej pięknej, dzielnej córki... Wróć do mnie.

- Przykro mi, czas wizyty minął -przerwał jej głos Kevina.

Anne odsunęła się, by Judith mogła pożegnać się z ojcem.

- Przyjdę znowu, tato. Obie z Anne przyjdziemy
- rzekła Judith i uśmiechnęła się przez łzy.

scandalous

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Anne nie mogła zmrużyć oka.

Powinna być bardzo zmęczona - i była. Powinna natychmiast po położeniu się zasnąć, lecz w miarę upływu godzin jej całe ciało zaczęło krzyczeć z bólu. W szpitalu dostała środki przeciwbólowe, ale ich nie zażyła. .

Wyobrażała sobie, że ta noc to rodzaj czuwania. Że nie śpiąc, może pomóc zatrzymać Williama tu na ziemi, zapobiec jego przejściu do innej formy istnienia, gdzie nie może za nim podążyć. Tak jak nie mogła towarzyszyć Remy'emu.

„Ale ja wciąż jestem przy tobie, *ma belle*”.

Anne potrząsnęła głową. Dlaczego ciągle słyszę jego głos?

Zostałeś moim aniołem stróżem, tak?

„A znasz lepszego kandydata?”

Roześmiała się nerwowo. Chyba tracę rozum, pomyślała. Napięcie ostatnich dni skumulowało się i jej psychika tego nie wytrzymała.

Postanowiła wstać. Zawsze głęboko wierzyła, że ruch pomaga pokonać wewnętrzne rozterki. Czasami wystarczy krok, nawet jeśli nie jest się pewnym kierunku, i od razu wszystko wydaje się prostsze.

Podnieść się z łóżka nie było wcale łatwo, ale na szczęście nikt nie widział, jak się gramoli. Bolały ją wszystkie mięśnie, nawet te, o których istnieniu nie wiedziała. Powlokła się do łazienki i puściła prysznic, tak gorący, jak tylko mogła wytrzymać.

Kąpiel była bardziej kusząca, lecz Anne uznała, że lepiej umyć się na stojąco. Nie chciała być zmuszona wzywać kogoś do pomocy, gdyby nie mogła o własnych siłach wyjść z wanny. Zaraz by się zbiegły wszystkie jej nadopiekuńcze córki zaalarmowane przez recepcję.

Długo stała pod strumieniem wody, aż jej ciało odzyskało sprawność.

Ubierając się, myślała o tym, dla kogo i po co się stroi. .

Ma zobaczyć się z Williamem. I nieważne, jak długo będzie wyczekiwać, by móc na niego patrzeć przez pięć minut raz na godzinę, i czy już się wybudził z narkozy. Było jej obojętne, czy dziewczęta tego nie pochwała, lub czy ktoś w hotelu będzie chciał ją zatrzymać...

Jej miejsce jest przy jego łóżku.

Czterdzieści pięć minut później, zostawiwszy w hotelu wiadomość dla córek i dla Judith, Anne była w szpitalu, gdzie pielęgniarz Kevin na szczęście jeszcze pełnił dyżur i zgodził się ją wpuścić.

- Pani Marchand? Zaskoczyła mnie pani tak wczesnym przybyciem.

- Jak on się czuje?

Kevin uśmiechnął się promiennie.

- Budził się dwukrotnie. Wciąż jeszcze nie jest całkiem przytomny, ale teraz już będzie coraz lepiej.

Anne chwyciła go za ramię.

- To cudownie!

- Zapytam dyżurnego lekarza, czy może pani zostać przy chorym tak długo, jak będzie pani chciała.

- Mógłby pan? - ucieszyła się.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że właśnie tego najbardziej pragnęła.

- Może się zdarzyć, że trzeba będzie panią na chwilę wyprosić, ale obecność bliskich jest najlepszym lekarstwem.

- Fartuch i rękawiczki? - upewniła się.

- Tymczasem tak. Ale później, jak pan Armstrong zostanie przewieziony na górę, już nie.

- Kiedy to się stanie?

- Na pewno jeszcze przed moim następnym dyżurem.

Chwilę później Anne stała już u wezgłowia łóżka Williama, trzymając go za rękę.

- Jestem przy tobie - szeptwała. - Kocham cię. Nie wiem, czy mnie słyszysz, ale lekarze twierdzą, że to bardzo prawdopodobne. Strasznie żałuję tych wszystkich okropnych rzeczy, jakie ci powiedziałam. - Zamilkła, wzięła głęboki oddech i ciągnęła: - Jestem dumną kobietą, może zbyt dumną, i wiedz, że nie chodziło o ciebie, lecz o moją niezależność. Zbyt późno zrozumiałam, że to wszystko związane jest z odejściem Remy'ego i z lękiem, że historia się powtórzy. Z jego śmiercią serce mi pękło. Ból był tak potworny, że bałam się, że i ja umrę. Trzymałam się tylko ze względu na córki.

Pogładziła Williama po czole.

- Nie będę udawać, że się nie boję. Omal cię nie straciłam. - Musiała przerwać, bo dławilo ją wzruszenie. - Stało się tak, jak się obawiałam - ciągnęła po chwili. - Wizja utraty ciebie była tak samo przerażająca, jak śmierć Remy'ego. Gdybym jeszcze miała trochę oleju w głowie, uciekłabym gdzie pieprz rośnie. - Westchnęła z żalem. - Ale wygląda na to, że kiedy odnowiliśmy naszą znajomość i okazałeś mi zainteresowanie, rozum mnie opuścił. Chciałeś mnie zdobyć, nie zaprzeczaj. Byłam kolejnym wyzwaniem, kolejnym podbojem na twojej drodze do rządzenia otaczającym cię światem.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Założę się, że gdybyś był przytomny, bez cienia skruchy zbyłbyś mnie wzruszeniem ramion. Może nie? Rozpaczam z twojego powodu, ale... ale jestem tobą zauroczona. Wtargnąłeś w moje życie, z determinacją dążyłeś do osiągnięcia wyznaczonego sobie celu i kompletnie zawróciłeś mi w głowie. Dzięki tobie znowu zaczęłam się śmiać. Wywróciłeś mój świat do góry nogami. Ja już się poddałam, postanowiłam się godnie zestarzeć, a ty pokazałeś mi, co to znaczy znowu być kobietą wzbudzającą pożądanie, kochaną...

Łzy zapiekły ją pod powiekami.

- Myślałam, że miłość już mnie nie spotka, ale ty dopilnowałeś, żeby było inaczej. - Pochyliła się i przyłożyła mu dłoń do policzka. - Udało ci się. Myślę tylko o tobie, widzę tylko ciebie. Więc obudź się, mój rycezu, żebym mogła ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Uśmiechnij się tym swoim zabójczym uśmiechem, któremu nie mogę się oprzeć.

W tym samym momencie powieki Williama drgnęły.

- Tak - szepnęła w napięciu - tak właśnie jest. Wracaj, Williamie. Niech zobaczę te twoje diabelskie niebieskie oczy. Nie musisz nic mówić. Tylko... Och, Williamie! - Łzy popłynęły jej po policzkach. - Tak bardzo cię potrzebuję. Tak bardzo cię kocham. -I nagle w szparce między powiekami dostrzegła błysk błękitu. - Kochany! Jestem tutaj.

Teraz William już całkiem otworzył oczy. Przyglądał się jej, jak gdyby próbował wyodrębnić ją z chaosu. Otworzył usta.

- Anne? - wychrypiął.

Zasłoniła usta dłonią. Zaśmiała się z radości.

- Tak, Williamie. To ja. Kocham cię. Wyzdrowiejesz, zobaczysz.

Nagle zjawił się przy nich Kevin i zmoczoną gąbką zwilżył Williamowi wyschnięte wargi. William obrócił na niego wzrok.

- To ja, Kevin, pamięta mnie pan? Robi pan postępy. Jeszcze nie mogę dać panu nic do wypicia, ale trochę pomoże. - Wręczył Anne szklanekę i gąbkę i poprosił: - Może się pani tym zająć? Ja muszę odczytać wskaźniki aparatury.

Anne niechętnie wykonała polecenie, ponieważ nie chciała puścić ręki ukochanego.

- Anne - odezwał się ledwo słyszalnym szeptem.

- Ciii... Nie musisz nic mówić.

William nieznacznie pokręcił głową, jak gdyby ze zniecierpliwieniem.

- Co z tobą?

Anne przełknęła łyzy radości. On przede wszystkim pyta o jej zdrowie!

- Nic mi się nie stało. A teraz, kiedy już się obudziłeś, jestem w siódmym niebie. ,

Powieki Williama opadły.

- Jestem zmęczony.

- Wiem, kochany. Śpij.

- Nie... nie wychodź.

- Zostanę. Obiecuję. Później przyjdzie Judith. Będzie uszczęśliwiona. - Odstawiła szklankę i gąbkę i znowu wzięła go za rękę. Drugą dłoń przyłożyła mu do policzka. - Cieszę się, że cię widzę.

- Przepraszam... nie chciałem... cię zranić.

- Ja też cię przepraszam. Nie martw się o nic. Odpoczywaj.

- Kocham cię. Bardzo.

- Ja też cię kocham. I też bardzo.

William zasnął z uśmiechem na ustach. Anne opadła na krzesło. Łzy ulgi i wdzięczności popłynęły z jej oczu. Będą mieli swoją szansę. Wykorzysta każdą daną im sekundę.

Kevin spojrział na nią i uśmiechnął się. Odwzajemniła jego uśmiech. Będzie czekać.

Będzie czekać na swoją przyszłość. Na mężczyznę, którego serce biło dla niej.

W drugim końcu miasta zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Sprowadź Corbinów. Zaraz - rozkazał Mike Blount. I skontaktuj się z Rickym oraz Lou. Od dziś ja tu jestem szefem.

- Tak jest.
- A panie Marchand muszą dostać nauczkę. Albo podpiszą tę umowę, albo...

scandalous